

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

*ELIZA*  
*ORZESZKOWA*

**PISMA**

---

**MELANCHOLICY**

G E B E T H N E R I W O L F F

MELANCHOLICY

TOM II

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

PISMA  
ELIZY ORZESZKOWEJ

REDAKTORZY

AURELI DROGOSZEWSKI  
LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

TOM XXIV



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

---

WARSZAWA

ELIZA ORZESZKOWA

# MELANCHOLICY

TOM II

82



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

---

WARSZAWA

884-3

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. PIOTROWSKI  
OPRAWĘ — E. MANTEUFFEL



COPYRIGHT BY GEBETHNER I WOLFF

68

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 9

ASCETKA



## I

Z szelestem grubego płótna rozchyliła się na dwie strony biała zasłona i odsłoniła ogromną, żelazną kratę rozdzielającą prezbiterium kościelne z klasztornym chórem. Wtedy organy rzuciły z wysoka wielką falę głębokich tonów, ołtarz zagorzał w olśniewającym świetle i u jego stopni wybuchnął potężny śpiew kleru, towarzyszącego wspaniałej celebrze biskupa.

Boże, ku wspomnieniu memu wejrzyj,  
Panie, ku ratunkowi memu pośpiesz się...

Z coraz głębszą i coraz przenikliwszymi tonami napojoną grą organów, we wzrastającym świetle, w migotliwych błyskach złocen okrywających smukłe kolumny ołtarza, złotem i srebrem naszytych kap, infuły, pastorału i podnoszonych, to opuszczanych ksiąg w drogocennych oprawach, w tłumnych ruchach białych komży, barwnie haftowanych stuł, aksamitnych biretów, szkarłatnych peleryn, a dalej spiętrzonych i wzajem zasłaniających się, to odsłaniających odkrytych głów męskich i wstęg, piór, woalów, szerokich skrzydeł kapeluszy na kobiecych głowach — w pierwszych kłębach dymu i jałowcowej woni wybuchających z rozkołysanych i w pozłoconym powietrzu rytmicznie pobrzękujących srebrnych kadzielnic — z tej i tamtej strony kraty brzmiały ogromne, tryumfalne chóry:

— Chwała tobie, o Trójco, jedyne i równe bóstwo, teraz i przez nieskończone wieki wieków!

Od paru szerokich wschodów rozdzielających kratę z posadzką, kunsztownie z drogocennego drzewa ułożoną, aż ku najdalszej głębi bardzo wysokiej i długiej sali, gdzie w głębokiej niszy róże i lampy otaczały ze srebra ulany posąg świętej patronki klasztoru, zakonnice stały dwoma z rzadka rozproszonymi szeregami, więcej niż połową ciał wyrastające znad ciemnych ławek, w czarnych sukniach, ostro przerzniętych złotymi liniami krzyży u piersi i śnieżną białością płócien opasujących czoła i szyje. Na białe płótna zarzucone zwoje czarnych welonów z głów ich spływały poniżej skórzanym pasów i zwisających u nich różańców, a opuszczonymi rąbkami ukrywały twarze, aż po rozmodlone i w śpiewie rozwarła usta.

U góry, prawie w zupełnym mroku, niewyraźnie majaczyły spiczaste linie sklepień i zarysy wysmukłych okien, z zewnątrz ciemnością wieczoru okrytych. U dołu z pośrodku sali wyrastał olbrzymi świecznik, niby mistyczne drzewo, podnoszący wysoko symbol wiecznej i ani na chwilę nie mającej ustawać adoracji: ani na chwilę od wieków nie gasnący płomień ogromnej świecy. U dołu także, przy samej ziemi, u samych stóp wyniesionych nieco nad poziom ławek, bieląły dwa rzędy lekkich woalów, przysłaniających setkę dziecinnych i dziewczęcych głów.

Od ciemnych poręczy wzdłuż ławek biegnących ostro odzynały się szeregi splecionych, białych rąk zakonnice, które teraz, z kolei, jedno po drugim rozplatały się i sięgały po zapaloną świecę, podawaną im przez równie białą, z czarnych zwojów habitu wylaniającą się rękę. W habitach, które od skórzanego pasa długą i ciężką falą opadały za nimi na żółte kwadraty posadzki, dwie postacie smukłe, ciche, ze złotymi krzyżami na piersiach, z twarzami aż po zamknięte usta zasłoniętymi rąbkami welonów, bez najłżejszego szelestu sunęły wzdłuż dwu szeregów ławek i z pęków świec na ramieniu niesionych, a woskową żółtością wśród czerni habitów pło-

nących, jedną po drugiej zapalały i podawały wyciągającym się ku nim znad ciemnej poręczy rękom. Teraz dwa rzędy płomyków, wydłużając się coraz, podobnymi stawały się do strumieni światła niecierpliwie dążących ku temu ich morzu, w którym nurzał się ołtarz. Leez nagle pochód jednego z nich ustaje, jedna z par rąk na poręczy ławek opartych nie rozplata się i po świecę jej podawaną nie sięga. Podająca czeka chwilę i cicho spod rąbka welonu szepce:

— Siostró Mechtyldo!

— „Będę cię wyznawał wszystkim sercem moim!...“ — po chwilowej ciszy wybuchają z dwu stron kraty dwa potężne chóry i organy z wysokości rzucają pełne, długie akordy.

Siostra Mechtylda nie śpiewa, głowę nisko ma pochyloną i silnie splecione ręce, a blade jej usta powoli poruszają się w szepcie:

— Panie, dlaczegoś mię opuścił? Chryste, czy łask Twoich godną być przestałam?

— „Wielkie są sprawy Pańskie...“ — śpiewają dwa chóry głosów i wtórzają im drżące tryle organów.

Ramię z ciężką świecą długo już wyciągnięte drzeć zaczyna.

— Siostró Mechtyldo!

Ona nie słyszy, nie podnosi głowy i rąk nie rozplata, a pomimo nieruchomości postaci niezglębiony smutek wieje z powolnego jej szepotu:

— Dusza moja zagasła i od ognia, w którym płonęła, odsunięta, drży z zimna i trwogi!

Po szczupłych jej ramionach przebiega lekkie drżenie, głowa niżej jeszcze opada i końce cienkich, splecionych palców głęboko wpijają się w liliowe żyły przebiegające białą i przezroczystą jak płatek lilii skórę rąk.

W pochodzie swoim powstrzymana i pochód światła ku ognisku ich powstrzymująca zakonnica dziwi się: „Co jej się stało? Co stało się tej najświętobliwszej, tej najhojniej

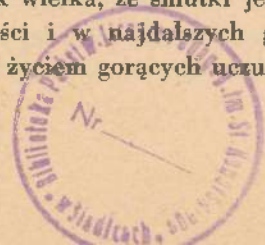
łaską Pana udarowanej siostrze zakonnej, tej najgorliwszej z pańskich służebnic? Głosu swojego ze śpiewem sióstr nie łączy, i jednego z obrządków wielkiego dziś nabożeństwa spełnić nie śpieszy! Może doświadcza jednej z tych świętych wizji, którymi ją, ją jedną spomiędzy sióstr, Pan niekiedy nawiedzać raczy? może jej dusza wnet, wnet przez blade usta krwawym płomieniem uleci i w tym ognisku światła, które za kratą ołtarz oblewa, utonie?“ Pełna pokory wobec duchowej wyższości tej siostry zakonnica z pękiem żółtych świec na ramieniu, a jedną zapaloną w rękę, chwilę jeszcze stoi i czeka, aż nieśmiałym ruchem habitu jej dotyka i znowu szepcze:

— Siostro Mechtyldo!

Na koniec usłyszała i nie podnosząc głowy, ruchem istoty w śnie pogrążonej rękę po świecę wyciągnęła. Z przenikliwymi tonami dzwonków, które teraz u stopni ołtarza rozbrzmiały, i światłami oszklonych pochodni, którymi sługi kościelne nad swoimi szkarłatnymi pelerynami wysoko w powietrzu chwieją, z drżącym głosem starca, który spod ciężkiej i błyskami diamentów migocącej infuły sam jeden śpiewa: „Beatus vir, qui timet Dominum“, łączy się niedosłyszalny, bezdennie smutny szepc jej błędnych, powoli poruszających się ust:

— Do łaskowości twojej przywykłam, Zbawco mój, i gdy mi ją odjąłeś, mdleję i konam!

Od dobywającego się z samego dna jej piersi westchnienia podnosi się i chwilę nad jej ustami drży w powietrzu rąbek welonu. Od dość dawna Pan duszę jej zamykać począł w twardej i suchej skorupie, w której jest ona jako łani zbląkana od źródła, z którego się poila. Zimnym stało się jej wnętrze, panuje w nim martwa senność i z kolei tęsknota tak wielka, że smutki jej czuje nieszczęśliwa w szpiku swoich kości i w najdalszych głębiach udreżonego mózgu. Tęskni za życiem gorących uczuć i wysokich wzlotów, które tak długo



było jej udziałem, za Boskim Oblubieńcem, którego oblicza, wejrzenia, ran namiętnie umiłowanych już od dawna, ach, od jak dawna, nie widzi... bo chociaż oczami ciała na ich wyobrażenia patrzy, oczy jej ducha oślepiły i leniwie do snu pokładły się tajemnicze jego natchnienia i siły...

Od małego ogniska świateł, które przed posągiem świętej patronki w głębokiej niszy płonie, aż do tego ich morza, którym ołtarz jest oblany, w całej długości u dwóch ścian chóru wyciągnęły się już dwa łańcuchy płomieni, do dwu strumyków ku morzu dążących podobne. Wszystkie u szczytów wielkich świec palą się prosto i równo, rzucając w górę cienkie nitki dymu, z którymi płyną w powietrze zmieszane wonie miodu i wosku; tylko z drżącej i pochylającej się w rękę siostry Mechtyldy świecy grube, żółte krople padają na poręcz ławki i usiewają rękaw jej habitu okruciami twardej skorupy. Ona usiłuje obudzić się, rozgrzać i jako ziarnko kadzidła roztopić się w brzmiającej dokoła chwale Pana.

Odmęt tonów, dźwięków, szmerów. Śpiewy umilkły, ale organy nieprzerwanie snują przedzę melodii, która kłębami opada na dół i głębokimi, to na przemian rozplakanyimi tonami bez przerwy i końca rozsnuwa się po świątyni. U ołtarza jęczą co chwilę wstrząsane dzwonki, brzęczą łańcuchy kołysanych w powietrzu kadzielnic, rozlegają się ciężkie stuki na pulpitach składanych ksiąg, wszędzie jak krótkie szumy wichru wzbijają się i opadają zbiorowe westchnienia i jak szemrzące strumienie płyną zbiorowe, rozmodlone szepty. W tym niezmiernym zbiorowisku dźwięków, na samym dnie jego, ucho siostry Mechtyldy rozróżnia jeden jeszcze, najmniejszy. Jest to ciche, małe, tuż w jej pobliżu, przy samej ziemi drgające łkanie. Przez myśl jej przebiegają słowa: „Ktoś płacze!“ i nikną pozostawiając ją tak oschłą i zimną, jaką była przedtem. Nic, nic! Ani jednego wzlotu myśli, ani jednego rzutu uczuć ku niebu i Bogu! Pod rąbkiem welonu oczy jej zgasłe i osłupiałe są, tak jak i dusza.

Chóry z obu stron kraty po chwilowym milczeniu budzą się i wybuchają śpiewem:

— „Chwalcie, dzieci, Pana, chwalcie imię Pańskie...”

Siostra Mechtylda śpiewa także, a gdy z piersi jej wychodzą uroczyste tony psalmu, ucho słyszy znowu ciche, niskie, wielkim odmętym dźwięków jakby do samej ziemi przytłoczone łkanie.

„Ktoś płacze!”

Nieszpory zbliżają się ku końcowi; tłum nuży się i coraz bliżej przylega do dolnej części kraty, przez którą, od chwili do chwili, gorący jego oddech, na kształt powiewu upalnego wiatru, wnika do klasztornej chóru, wzmagając i rozgrzewając w powietrzu napełniające je wonie jałowcu, miodu i wosku. Krata u samego tylko dołu wydaje się czarną, powyżej bowiem stoi cała w złotym blasku, którym ją oblewa zwiśający pośrodku prezbiterium na srebrnych łańcuchach świecznik, olbrzymim snopem płomieni będący. W dole, za czarnym szlakiem żelaznych wiązań, z pełną dokładnością zarysów uwypuklają się niektóre postacie z tłumu. Jakieś kapelusze kobiece, błękitne i białe, na kształt wiosennych motyli, nad ciemną masą kołyszają się w świetle; jakiś starzec przykląkł u załomu ściany i w żarliwym nabożeństwie trzęsie twarzą, jakby ołtarzowi, ku któremu ją podnosi, z zapalem opowiadał jakąś długą, żalowaną historię; bliżej jeszcze jakieś pary dziecinnych rąk z całej siły czepiają się żelaznych prętów i małe, rumiane twarze ciekawe spojrzenia w głąb klasztornej chóru zapuszczają; a dalej wyosobnione nieco chwieją się nad białymi komżami aksamitne birety, zbliżając się, to oddalając po stopniach ołtarza do tego jego środkowego punktu, kędy pośród smukłych i złotem opływających kolumn, nisko, u stóp wielkiego krzyża, a wysoko ponad wszystkim, wzbija się tęczyowy ostrosłup infuły.

— „Jam sol recedit igneus...” — spod infuły wypływa drżący głos starca.

— „Odchodzi słońce ogniste, o Trójco błogosławiona...” — słowa hymnu powtarza siostra Mechtyllda, a ucho jej u spodu modlitewnego szmeru, który napęlnia chór, łowi mały, cichy, od ziemi ku niej podnoszący się szmer czyjegoś łkania i przez myśl przebiega jej pytanie:

„Kto tam płacze?”

Zbyt dawno ziemskie płacze, zarówno jak śmiechy, są dla niej marnym pyłem; zbyt głęboko wpiło się w nią przeświadczenie, iż źródła jednych i drugich, jak zresztą wszystkiego, co ziemskie, są mętne i wzgardy godne, aby mogła ona teraz spuścić spojrzenie i zobaczyć, kto tam przy samej ziemi płacze. Jednak pytanie to bez jej wiedzy w mózgu jej pozostaje i kędyś, w niezmiernie oddalonym zakątku jej istoty budzi od dawna śpiącą strunę ziemskiej tkliwości. Gdy więc głos dostojnika kościoła spod tęczowego ostrosłupa rozchodzi się samotny, a w drżącym i śpiewnym jego szmerze, któremu głęboka cisza towarzyszy, małe, ciche łkania u ziemi wyraźniejszymi się stają, w myśli siostry Mechtylldy słowa: „Kto tam płacze?” powtarzają się ciągle, jak niepozbyty wtór tym, które szepeczą usta:

— Niech się wzniesie, Panie, modlitwa moja, jako kadzidło przed oblicze Twoje!

Daremnie! daremnie z wytężeniem wszystkiej swej woli usiłuje ona modlitwę rzucić jak kadzidło wysoko przed oblicze Pana; myśl jej, jak ptak z ociężałymi skrzydłami, opada ku ziemi z pytaniem: „Kto płacze?”

Myśl, nie wzrok; ten bowiem zza cienkiej zasłony utkwiony jest w jedyne źródło chwały i nadziei, w jedyne cel dla oczu nieba spragnionych, ziemią gardzących — w ołtarz.

Ale w tej chwili przy więcej niż kiedy pełnym, rozgłosnym, tryumfalnym hymnie: „Wielbij, dusza moja, Pana” rozlega się przeciągły szelest mnóstwa upadających na ziemię kolan, z tamtej strony kraty tłum jak opadająca fala zniża się i po ziemi rozściela, z tej zakonnice jedna za drugą,

z twarzami ku ołtarzowi zwróconymi, w ławkach swych klękając znad ich poręczy znikają, i widać tylko wśród czarnych habitów błyskające płomyki ich zapalonych świec. Klękając i ukrywając się w ławkach, podnoszą one rąbki welonów i odsłaniają śnieżnymi płótnami opasane czoła. Siostra Mechtylda klęka także i kiedy górną część twarzy odsłania, tuż, tuż przy sobie, w bezpośredniej już swojej bliskości, słyszy znowu na dnie rozgłośnego hymnu szlochające, małe, do ziemi przytłoczone łkanie. Jedno tylko, szybkie jak strzała wejrzenie rzuca w stronę i znowu z oczami wlepionymi w ołtarz powtarza słowa hymnu:

— „Iż wejrzał na pokorę służebnicy swojej...”

A przez myśl jej, jak strzała szybkie, przebiegają słowa: „Dziecko płacze!”

Było to małe, siedmioletnie może stworzenie, które klęcząc do samej ziemi przychyliło twarz w czerwonych, drobnych rączkach ukrytą i osłoniętą zsuwającymi się z ramion skrzydłami muslinowego woalu. Pensjonarski mundurek, ciemny i krótki, do połowy tylko zasłaniał jej nogi w białych pończoszках, u których końca drobne stopy, żółtą podszwą obuwia świecące, od chwili do chwili uderzały o siebie w spazmie płaczu, który ramionami jej wstrząsał i którego grube krople przeciekały przez drobne, czerwone palce. Płakała, jak płaczą małe dzieci, deszczem łez, z drżeniem całego ciała, z ciągłym, obfitym szlochaniem. Nagle uczuła, że czyjaś ręka dotknęła muslinu małego jej woalu i tuż przy swoim uchu usłyszała szept:

— Czego płaczesz?

Podniosła znad ziemi głowę, lecz była tak rozplakaną, że czerwonymi piąstkami oczy przyciskając, wydętymi w skardze ustami wymówić tylko mogła:

— Za mamą...

Zaraz jednak, jakby przypomniawszy sobie krzywdę ko-

muś wyrządzoną i nowy potok łez piąstkami, jakby korkami, tamując dodała:

— I za tatką...

Nad samem jej uchem bardzo cichy szept zapytał jeszcze:

— Kiedy tu przybyłaś?

— Wczoraj.

— Jak ci na imię?

Teraz dziewczynka, wszystkie łzy zatamować już zdoławszy, ku pytającej twarz odwróciła.

— Klarcia — szepnęła i oczami, w których zdziwienie i trwoga łzy osuszały, wpatrzyła się w zakonnice, która wśród ciemnych poręczy ławki, wysmukła i prosta, z zapaloną w ręku świecą klęcząc, wzrok w nią wpijała. Przez chwilę ascetka i dziecko twarzą w twarz na siebie patrzyły. Po delikatnych, chudością policzków i nosa zaostrzonych, białą jak opłatek skórą powlęczonych rysach siostry Mechtyldy przebiegło szybkie drgnienie; oczy jej, pod białą opaską głęboko zapadłe, nagle jak dwa ogniska bólu i trwogi zapłonęły. Imię dziewczynki jak strzała w pierś jej wpadło. Tak niezmiernie dawno już go nie słyszała, a tak niezmiernie często wymawiała je niegdyś... w innym życiu, na innym świecie!... Z innego życia i świata, z jej własnej, jednak odległej, z duszy wyrwanej, na śmietnisko wzgardy rzuconej przeszłości, przybywało to imię, niegdyś tak drogie jej, a potem tak ohydne? Ale kiedy dziecko, twarzą ku niej zwrócone, wpiło w nią wzrok ciekawy i nieśmiały, siostra Mechtylda zeszywniała w niewysłowionej grozie. Te oczy, duże, ciemne, od złotych rzęs i włosów nabierające wielkiej słodyczy i głębi, znanymi są jej także. To dwa źródła, z których niegdyś, w innym życiu, było dla niej zrazu szczęście bez granic, a potem niewymowna męka... Jej imię i jego oczy... „Czy w postaci tego dziecka zły duch... Czy to nowa próba, którą zsyłasz na mnie, Zbawco mój?...“

Pełna przestachu, jak jaskółka w szponach jastrzębia od

stóp do głowy drżąca, siostra Mechtylda ku ołtarzowi twarz obraca.

„Te ziemskie, obrzydłe, wzgardzone wspomnienia sąż karą, przestrogą lub próbą, którą zesłałeś na mnie, Panie mój, wtedy właśnie, gdy duch mój, oschły i roztargniony, leniwie i z udręczeniem skrzydła ku Tobie podnosił?”

Ale uwielbione imię Pana na ustach jej zamiera, z myśli ustępuje światło przytomności i ze świętym przestrachem, który miesza się z upajającą rozkoszą, czuje ona zbliżanie się jednego z tych zachwyconych widzeń, których już parę razy w zakonnym życiu swym dostąpiła. Ale wtedy widziała ona i słyszała to, co ją całą napelniało; teraz zaś oczom jej ukazuje się obraz, który dziś jeszcze, przed kilku minutami, tak był od niej odległym, jak od prehistoczonej do głębi istoty człowieka odległą jest jej własna, lecz falą czasu i własnych jej odmian odepchnięta przeszłość. Za ogromną, w złotych błyskach zdającą się drgać kratą, zamiast ołtarza, wysokich sklepień świątyni i nisko na ziemi rozesłanego tłumu, widzi ona pod błękitną kopułą nieba pole ścielące się złotem kłosów, kwiecistymi miedzami przerzięte, oświecone płonącym pośrodku kopuły wielkim, złotym słońcem... Na twarzy i ustach czuje przelatujący powiew upalnego wiatru i wraz z nim lecącą miodową woń kwiatów, a z oddali, z oddali — z głębi jej duszy, którą za umarłą miała, lecz która była tylko uśpioną, dobywa się głos dźwięczny, wołający: „Klarcu! Klarcu!” i tuż za jego dźwiękami spod słońca w rozpromienione powietrze, spływa para ciemnych, głębokich i słodkich oczu, które patrzą na nią... a ona od nich wzroku odwrócić nie może...

Krzykiem, który wydała z piersi, zgaszona świeca z ręki jej wypadła i czoło ze stukiem uderzyło o drewnianą podstawę ławki, lecz krzyku ani stuknięcia nikt nie usłyszał.

Przed ołtarzem, twarzą ku ludowi zwrócony, dostojnik kościoła w rękach owiniętych złotem przetykaną krepą trzyma

rozbłysła jak słońce monstrancję i powolnym, wspaniałym ruchem kreśli nią w powietrzu nad rozesyłanym przed nią ludem wielkie znaki krzyża. Głos jego wzmacnia się w brzmienie i siłę, coraz też głębiej, błagalniej wtórują mu organy, coraz gęstszymi powiewy wybuchają oddechy tłumu, a szepty jego, do szmerów morza podobne, coraz wyżej wzdymają się westchnieniami:

— „Salvum fac populum tuum, Domine!...”

W ławkach, w których głowy zakonnic pochylają się ku samej ziemi, biegną żarliwe półgłosy:

— „Zbaw lud Twój, Panie...”

Jeszcze jeden wybuch ogromnego, chóralnego śpiewu, jeszcze najpotężniejszy akord organów, jeszcze kilka słonecznych rozbłysków monstrancji, wielki w powodzi światel krzyż zakreślającej, głuche stuknięcie zamykanego cyborium, tłumie stąpanie kleru postępującego za odchodzącym od ołtarza swoim zwierzchnikiem i — z szelestem grubego płótna zsuwająca się biała zasłona zakrywa ogromną, żelazną, w gasnących światłach pociemniałą kratę.

Zakonnice powstają z klęczek, gaszą świece i z głuchymi stukami składają je na poręczach ławek. Wysoką i długą salę napęlnia zmrok, w którym nikną u góry spiczaste linie sklepienia, a u dołu mętnie na ciemnym tle drzewa rysują się dwa szeregi czarnych, złotem krzyży i białością płócien pobłyskujących postaci. Jaśniej i goręcej w zamian płonie teraz na tle zmroku pełna lamp i róż nisza ze świętym posągami, a w blasku od niej padającym z doskonałą wyrazistością zarysów wypukła się postać w najdalszej głębi chóru, w odosobnionej i najwyżej wyniesionej ławce siedząca. Jest to przełożona klasztoru, której oczy z dala nawet jaśniej pogodnym i czystym szafirem, a twarz, starzejąca się, ale jeszcze czerstwym rumieńcem obłana, z wyrazem powagi łączy przyrosły jakby do niej, wpółdobroduszny, wpółmądry uśmiech. Trochę energii i wiele dobroci jest w tej pełnej, rumianej twarzy, prze-

ślicznym szafirem źrenic oświeconej i która wyłaniając się z hieł opasek, po długich modlitwach zda się powracać z nieba na ziemię w pokoju i zgodzie z niebem i z ziemią. Ręce ma pobożnie splecione, ustami w cichej modlitwie porusza, ale wzrokiem, zdającym się pomimo jej woli uśmiechać i pieścić, ściga białe woalki dzieci, które gromadnie, z tętentem drobnych stóp wśród ciszy i zmroku chór opuszczają. Potem, gdy za ostatnim już ich rzędem zamykają się wysokie drzwi chóru, podniesionym głosem rozpoczyna modlitwę, którą półgłosami podejmują stojące w ławkach swych zakonnice. W jednym przecieź z ich szeregów istnieje szczerba; siostra Mechtylda pozostaje niewidzialną, bo nieruchoma klęczy ciągle w głębi wysokiej ławki, z czołem do podstawy jej przyściśniętym.

Po mrocznym chórze rozchodzi się tłumnym szmerem wymówione: „Amen“ i zapanowuje chwilowa cisza. Wtedy siostra Mechtylda podnosi się w swej ławce, powoli z podstawy jej zstępuje i jak wysmukły, cichy cień, ciągnąc za sobą długie zwoje habitu, szybko, a bez szelestu przesuwa się przez padającą od świętego posągu smugę światła i u kolan przełożonej z pokornie schyloną twarzą i splecionymi u piersi rękami klęka. Nie mówi jednak nic; zapytania, które ma być zarazem pozwoleniem mówienia, oczekuje. Przełożona nie daje długo na nie oczekiwać.

— Czego żadasz, siostró w Chrystusie?

Wtedy ona głosem słabym, ale tak wyraźnym, że każde jej słowo przez ostatnie z dwu szeregów sióstr usłyszonym być może, mówi:

— Upokarzam się przed tobą, matko wielebna, i przed całym zgromadzeniem moich sióstr w Chrystusie i wyznaję ciężki grzech, jakiego się dziś przeciw Panu mojemu dopuściłam. Oto zamiast roztapiać się razem z siostrami moimi w rozważaniu i chwale Jego wielkości dusza moja zajęta była ziemskimi myślami i wpatrywała się w ziemskie widoki, które

przed nią roztaczał duch złego. Dla tej to ciężkiej winy mojej, proszę cię, matko wielebna, w imię Jezusa Chrystusa Pana naszego, o pozwolenie przepędzenia całej nocy dzisiejszej na pokutnych modlitwach w kaplicy Najświętszego Serca.

Przy ostatnich wyrazach głos jej drżał łzami i przejmującym cierpieniem.

Przełożona nie zaraz odpowiedziała; na pogodną twarz jej wybił się wyraz niezadowolenia i frasunku. Wielce dbała o duchową czystość i doskonałość sióstr jej zwierzchnictwu poddanych, dla zdrowia ciał ich nie była także obojętną, a zbyteczne ich umartwianie niewiele zajmowało miejsca w prostym i łagodnym całokształcie głębokiej przecież jej wiary. Chudość i przezroczyista bladość siostry Mechtyldy od dawna już ją niepokoiły, i wiedziała ona dobrze, czym dla kruchego naczynia duszy musiała być noc spędzona bez snu i spoczynku, w roztkliwieniach skruchy i pokuty, na marmurowej posadzce najświętszej z klasztornych kaplic. Więc po chwilowym milczeniu pełnym powagi głosem zaczęła:

— Ułomnym człowiek jest, ale miłosierdzie Pańskie bez granic. Rozważ, siostrze, czy nie popełniasz grzechu zwątpienia o miłosierdziu Pana?

Siostra Mechtylda nieruchomą pozostała, ale na zaostzonych jej rysach i w zaciśnięciu się rąk splecionych odmalował się upór żelazny. Tym samym, co wprzód, cichym, ale wyraźnym głosem odrzekła:

— Święta reguła nasza rozkazuje nam za grzech popełniony czynić bezzwłoczną pokutę.

Miała słuszność, i przełożona wiedziała o tym dobrze. Wiedziała ona także, iż jej energia gięła się zawsze i ustępować musiała przed biegłym znawstwem klasztornej reguły i nieugiętą w duchowych sprawach wolą tej siostry. Inna, zrozumiawszy w radzie ukryty rozkaz, powstałaby od jej kolan w sumieniu swoim uspokojona; ta przypomniawszy jej, że zwierzchnictwo przełożonej i posłuszeństwo podwładnej mają

granicę, którą jest święta reguła klasztoru. Po chwilowym więc milczeniu końcami palców pochylonej przed nią głowy dotykając wymówiła:

— Idź i czyni w Bogu pokutę swoją.

Siostra Mechtylda, z klęczek powstawszy, prosta i wysmukła, choć z głową schyloną, przeszła znowu przez smugę światła i w prowadzących ku wyjściu mrocznych głębiach chóru zniknęła.

W kwadrans potem trzy lampy w żelaznych oprawach, od wysokich sklepień sufitu na grubych łańcuchach zwisające, mętne półświatło rzucały na wysokie ściany refektarza, na wąskie jego okna, posadzkę z kamiennych płyt ułożoną i cztery długie stoły grubym płótnem okryte, a przez siedzące dokoła nich zakonnice otoczone. Spożywając wieczerzę siostry powściągliwymi głosem ze sobą rozmawiały, tu i ówdzie nawet w półgwarze i półświecie zadzwonił mały, wnet stłumiony śmieszek. Miejsce siostry Mechtyldy było próżne. W połowie wieczerzy trudniąca się kuchennym dozorem matka Florianna, sztywna, koścista i żwawa, w swym wysoko podniesionym dla gospodarskich potrzeb habicie, z dwoma cynowymi talerzami w ręku, wstąpiwszy na wyniesienie, na którym wyosobniona i nad całym zgromadzeniem górująca siedziała przelozona, jadło na małym stole postawiła i z cicha rzekła:

— Zdaje mi się, matko Romualdo, że siostra Mechtylda zgrzeszyła dziś nieposłuszeństwem względem zwierzchności. Wszak wyraźnie do zrozumienia jej dawałaś, że odbywanie całonocnej pokuty dla błahych przyczyn sprzeciwia się twojej woli!

Matka Romualda podniosła na mówiącą swoje pogodne, szafirowe oczy i w znak porozumienia uśmiechnęła się do siostry, z którą długi, wspólny pobyt w klasztorze związał ją zażyłą przyjaźnią. Tym trochę żartobliwym uśmiechem matka Romualda zdawała się mówić: „Cóż poradzę z tą żarliwą i w znajomości reguły tak biegłą!“. Ale wnet uczuła skrupuł

sumienia. Jeżeli bowiem surowość siostry Mechtyldy dla samej siebie i w ogóle dla wszystkiego, co cielesne i ziemskie, zdawała się jej przechodzić nieraz granice przez wiarę i przez regułę zakreślone, to jednak czuła ona w niej i ceniła większy niż u innych żar i polot ducha. Więc i teraz po żartobliwym uśmiechu i wzruszeniu ramion spoważniała.

— W pokorze ducha wyznajmy, matko Florianno — rzekła — że spomiędzy nas wszystkich siostra Mechtylda posiada z łaski Pana najżarliwszą pobożność i najwyższą pogardę dla świata.

Z półgłównym szmerem wspólnej modlitwy zgromadzenie refektarz opuściło, a wkrótce potem przenikliwy odgłos dzwonka rozchodzący się po klasztornych korytarzach, salach, celach i przez grube mury wydostający się na dziedzińce i ogrody ogłaszał silentium, to jest porę, od której wszelkie rozmowy na całą noc ustać były powinny i w której siostry kładły się do niedługo, lecz spokojnego snu.

Potem na wieży kościelnej, na chórze, w różnych częściach rozległych klasztornych gmachów zegary godzinę po godzinie wybijały; o jednej z nich rozległy się słabe, ale gwarne dzwonki zakonnice na jutrznię budzące, a po jutrzni, której chóralne śpiewy melancholijnymi tonami płynęły w ciemnościach długich korytarzy, z rzadka palącymi się lampami tu i ówdzie rozpraszanym, znowu zapanowały sen i spoczynek. Ale w kaplicy, której ciemne ściany w skąpym świetle płonącej przed ołtarzem lampy mętnie, lecz ze stron wszystkich błyskały okrywającymi je złoceniami, przed ołtarzem, na którego ciemnych kolumnach i ramach wśród pąsowych aksamitów i atłasów pobożne wota rozwiesiły mnóstwo różnej wielkości złotych i srebrnych serc, siostra Mechtylda leżała na marmurowej posadzce, z grubym powrozem dokoła szyi po kilkakroć owiniętym, z czołem o zimny marmur opartym i rozpiętymi w znak krzyża rękami. Powoli, jedna za drugą wlokły się nocne godziny; gwałtowny wiatr marcowy z przeciągłymi

szumami uderzał o ściany kaplicy i ostrymi strugami wnikał do niej przez szczeliny wysokich okien; chłód podłogi przejmował leżącą, nieznośne kurecze zdejmowały rozciągnięte jej członki, ona jednak w tej męczącej postawie nieruchomą zostawała, w śmiertelnej trwodze i walce błagając Pana, aby przykrócił zesłaną na nią próbę i oddalił od niej te dźwięki i te widzenia, które z ust i twarzy rozplakanego dziecka wyłonione, nieustannie, nieprzeparcie otwierały na dnie jej duszy od dawna tam zamknięte i obrzydzone groby ziemskich wspomnień...

## II

Miała słusność matka Romualda: w psychicznej istocie siostry Mechtyldy sprężyną nad innymi panującą była pogarda dla świata. Posiadała ona żarliwą wiarę w rzeczy niebieskie i wielką zdolność do idealnych ku nim uniesień, lecz górującym nad wszystkimi jej uczuciami uczuciem, pierwszym źródłem ich wszystkich była — pogarda dla świata. Powstała w niej ona i niezmiernego wzrostu dosięgła wskutek całego szeregu przyczyn, częścią z jej własnej natury, częścią z zewnętrznego świata pochodzących. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości miała szczęśliwe; spędziła je w niezmaczonej rodzinnej harmonii, we wszystko upiększającym dostatku, w świeżości i ciszy wiejskiej. Ten doskonale pogodny poranek życia, rozłogami szerokich pól od różnorodnych spotkań i doświadczeń odsunięty, głęboko wpoił w nią wiarę w dobroć ludzi, w radość bytu, w konieczność szczęścia. Ani w życiu jej i otoczeniu, ani w jej własnej naturze nie było nic, co mogłoby dać jej poznanie, obudzić choćby przeczucie złego. Po prostu nie myślała o nim wcale i choć niekiedy przesuwwały się przed nią słabe jego cienie, w świetle, które ją otaczało, nie spostrzegła ich lub prędko o nich zapominała. Miała lat prawie dwadzieścia, a była jeszcze cała błękitną jak to niebo, które przywykła od krańca do krańca obejmować wzrokiem. Świeże, proste, bez granic ufne uczucia i nadzieje kipiały w niej i śpiewały jak srebrne wody w źródłu. Była prostą, świeżą, bez granic ufną i — nieświadomą.

Świadomość złego, które ostrym mieczem z oczu zdejmuje zasłony i serca rozdziera, nie spełniła względem niej swojej niezbędnej czynności stopniowo i powoli, jak bywa najczęściej, ale okrutnie, jak piorun. Nagle zobaczyła ona rzeczy, przed którymi mrużą się z przerażeniem i boleścią najświadowsze nawet oczy. Była to wojna, niosąca z sobą gromady ludzkich twarzy, przez mord i strach do piekielnych larw upodobnione, luny pożóg, popioły gwiazd, ruiny nadziei, krwawe szkarłaty gniewu i śmiertelne bladeści trwogi; występki słabości, szwały siły, gromy przerażeń. Moment dziejowy na zegarze czasu z krzykiem i jękiem wydzwaniał godziny zbrodni i zguby. Ona, jak istota z jednej planety na drugą przerzucona, zapytywała siebie i ludzi: gdzie się znajduje? i jestże jawą lub snem potwornym ta nagle przed nią zmieniona, najlżejszym nawet jej przecuciem nieodgadnięta postać życia i świata? Więc to tak, tak... Morze, wulkan, odmęt złego! Odmęt także i bezmiar smutku, kiedy ze wstrząśniętą aż do posad duszą znalazła się wśród mogił wszystkiego, co było dla niej święte, i wszystkich, których kochała. Jednak w ciemnościach nagle w koło niej i w niej powstałych świeciła jeszcze jedna gwiazda. Przed strasznym momentem, który na dwie zupełnie różne połowy przeciął jej życie, kochała i była kochaną. Jak ścigana sarna z obłąkanym od trwogi okiem, lecz niezgasłą jeszcze nadzieją ratunku pędzi ku swoim znanym, domowym, bezpiecznym zaciszom leśnym, tak ona zwróciła się ku temu, którego obraz wśród bezdennych jej rozczarowań i przerażeń chronił w niej od ostatecznego zgonu wiarę w dobroć ludzi i nadzieję szczęścia. Pomimo wszystko, ta wiara i nadzieja żyły jeszcze na dnie młodego jej serca i w siłę wzmagaly się przez to, że przed tym, którego kochała, przyszłość otwierała się pełna różnorodnych nędz i smutków. To właśnie pocieszało ją najwięcej. Cierpieć z nim i dla niego wydawało się jej powinnością i szczęściem. Na pustyni zwątpienia wiarę i nadzieję świeciły jeszcze przed

nią ciemne, duże oczy, które od jasnych rzęs i włosów nabierały wielkiej słodyczy i głębi, a niedawno jeszcze — choć razem i tak dawno! — rozkochanym wejrzeniem wtórzyły młodym ustom przyrzekającym jej wieczną miłość. Przyszła i obok tego, który jej wieczną miłość przyrzekał, znalazła inną, a tak jej z dawna bliską i drogą, że gdyby wśród nich dwojga wybierać jej kazano, serce jej długo pomiędzy miłością i przyjaźnią wahać by się musiało. Lekkomyślna, samolubna czy namiętna ta kobieta, która z nią dzieciństwo i młodość spędziła, bez wahania i skrupułu użyła jej nieobecności a swoich zalotnych, przemyślnych powabów, aby serce jego jej odebrać i ją przy nim zastąpić. Na ten widok nie powstała w niej nawet myśl o walce lub o dopominaniu się o swoje prawa pierwszeństwa. Usunęła się z pozorną obojętnością i przed wszystkimi w ciemnościach nocy ukrytym długim, strasznym płaczem, w którym skonała cała jej przeszłość. Gdy przestała płakać, śmiała się z własnego szaleństwa, które tak długo ją oślepiało. Jak to! Nie widywałaż i przedtem zawodów, krzywd, cierpień i śmierci? Owszem, teraz, gdy zaczęła pilnie w pamięci grzebać, przypomniawszy sobie, że je widywała, lecz za rzadkie i nikłe cienie poczytywała to, co właśnie było jedyną stałą prawdą świata i życia. Do obrazu tej prawdy, który stanął przed nią, niczego już nie brakowało. Patrzyła na ludzką niedolę, słabość i zmienność, widziała, jak umierają ludzie, idee i uczucia. Złość i znikomość dwoma mieczami przecięły w niej do ostatka korzenie dawnego jej życia; na krwawych ranach jej serca zasiały się nuda próżni i trwoga — przed wszystkim. Zaród melancholii, który istnieje w każdej istocie ludzkiej, gorące uczucia i umysł do zastanawiania się zdolny posiadającej, w pogodzie jej lat minionych bezpłodny, teraz zakiełkował i szybko wybujał. Ani zabawa pocieszyć, ani praca zająć jej nie mogły. Wśród zabawy ściagały ją wspomnienia widzianych i poniesionych cierpień, od pracy odrywała jej ręce wiedza o kruchości wszystkich celów

i marności wszystkich zdobyczy. Czyliż wobec powszechności zła wesołość nie jest największym złem, a wobec powszechnej znikomości praca najwyższym głupstwem? Jedna i druga należą do tych złudzeń, którymi człowiek sam przed sobą zasłania nędzę swoją i świata. Ona dość już miała złudzeń i rozczarowań, pięknych snów i okrutnych przebudzeń, nie chce więcej ani jednych, ani drugich, nie chce nic, nie ufa niczemu, nie spodziewa się niczego... jak atom po przestworzu, dusza jej w cielesnej swej powłoce błądzi po wzgardzonym świecie, nudą próżni przejęta i ani przeznaczeń swoich, ani dróg i końca nie rozumiejąca. Dostatek materialny posiadała, więc powszednie troski nie przybiegły jej ze swoją surową, lecz niekiedy zbawienną pomocą; nie była zaś z tych, którzy bez celu dla uczuć i myśli spokojnie i błogo tuczyć się mogą bezpiecznym, obfitym chlebem. Popadła w nędzę moralną, tym sroższą, że ją poczytywała za jedną tylko kroplę z oceanu nędzy powszechnej.

Wtedy kilka książek przeczytanych, parę wypadkowych, lecz przez nią skwapliwie wyzyskanych spotkań o całej przyszłości jej zdecydowało. Za młodą była i za prostą, aby mogła religijnej wiary nie posiadać, ale dotychczas była w niej ona więcej wyuczonym na pamięć wyrazem i powziętym od dzieciństwa przyzwyczajeniem aniżeli organiczną częścią moralnej jej istoty. Teraz ujrzała w niej przedmiot czci i miłości, którego na ziemi jej zabrakło. Należała do tych, którzy, ażeby móc żyć, muszą wierzyć, kochać, mieć ideał i ku niemu dążyć. Brak ideału zabijał ją; odnalezienie go było dla niej już niespodziewanym, więc niewysłowionym szczęściem. Nie była już samą, bo czuła wieczną, choć niewidzialną obecność Tego, który jest doskonałą wielkością, dobrocią i siłą; nie była zawiedziona, bo znowu wierzyła i ufała; przestała czuć zimno i nudę, bo kochała i widziała przed sobą wyraźną, widną drogę. Ta droga przez najzupełniejsze możliwe uduchowanie życia wieść ją miała, jako do ostatniego kresu swojego, do

przybytku zaziemskiej doskonałości i radości. Rzuciła się na nią z uniesieniem takim, z jakim tonący rozbitek wyskakuje na ląd niespodzianie wylaniający się z powodzi, i bardzo prędko, loicznym następstwem swoich okropnych wspomnień, nowych pragnień i nadziei i swojej namiętnej natury, zaszła nią do klasztoru.

Tu w ciężkiej porze nowiejatu doświadczała już takich zadowoleń i słodyczy, jakich nawet w najpogodniejszych i najweselszych latach przeszłości swej nie zaznała. Bywało to podówczas, gdy spełniała grube, mozolne, częstokroć wstrętne roboty, które napelniać były powinny czas tej srogiej próby. Fizycznie należała do rodzaju istot wątlých, wytwornych, do miękkiej pieszczoty i troskliwych starań stworzonych. Na cienkim, wysmukłym szkielecie miała cieką i prawie przezroczystą skórę, drobne i giętkie kończyny, lekkość chodu i elastyczność ruchów. Kiedy w szarej sukni i białym welonie próbantki ciężkimi miotłami wymiatała ogromne korytarze klasztoru, albo nad balią schylona myła naczynia gliniane i żelazne, albo z kuchni i oficyn przenosiła ku ściekom ciężkie naczynia pełne brudnych i cuchnących płynów, można by mniemać, że w delikatne jej członki wstępowała jakaś moc z zewnątrz i że przez nią tylko stawało się jej podobnym wykonywać to, co wykonywała. Czasem mniemać było można, że złamie się pod brzemionami, które na plecach swych nosiła, lub ze znużenia i skwaru omdleje wśród wielkich ognisk kuchennych albo dławiących par i swędów pralni. Jednak ona z tych prac, tak ciężkich, że trudy skazańców cięższymi nad nie nie bywają, wychodziła zawsze ze spokojnym rozpromienieniem na twarzy i doskonałym zadowoleniem w duszy. Wnet też śpieszyła do nowych, niezmordowana i niczego więcej nie pragnąca, jak tego znoju i bólu, wśród których zapominała o przeszłości, a pracowała na przyszłość. Bo istotnie, te trudy, które ponosiła teraz, nie były tylko wachodami do wyższych stopni uduchowiania się i pozbywania wszystkiego,

co jest troską o ciało i trwogą przed jego cierpieniem? Te wysokie rzuty uczuć i myśli ku niebu, których właśnie w strumieniach potu i bólach członków doświadczała, nie byłyż obietnicą i świtaniem tych najwyższych zachwyceń, których dostąpi kiedyś, gdy sobie na nie u Pana zasłuży? Na koniec, wiedziała o tym, że po jakimś czasie próby zwierzchność zakonna, stosownie do objawionego przez nią stopnia powołania i przysposobienia, miejsca jej w swoim przybytku udzielić albo odmówić będzie miała prawo. Więc możliwym to było, aby znowu wyrzuconą została na świat! Myśl ta przejmowała ją taką ohydą i grozą, że niżli wstąpić znowu we wzgardzony i przeraźliwy odnęt ludzi i ich życia, gotową była raczej w łzach i jękach skonać u stopni klasztornych ołtarzy. Ta trwoga i niepewność zdwajały jej gorliwość i były najlepszymi z mistrzyń uczącymi ją kruszenia w sobie szczątków własnej woli i wymiatania z myśli, pamięci i chęci aż do ostatnich pyłów przyniesionych z dawnego życia. Ale zakonnice nie miały chęci ani prawa oddalania tego tak wyraźnie objawiającego się powołania od świętego dla nich celu, i siostra Mechtylda w czasie przez regułę klasztorną oznaczonym wykonała swoją profesję, czyli złożyła śluby zakonne.

Dnia tego, gdy po złożeniu w ręce biskupa przepisanych przysiąg, w habit i welon już przyodziana, leżała ona pośrodku klasztornego chóru okryta całunem trupimi głowami bielejącym i gromnicami ostawionym; gdy kościół i chór rozbrzmiały żałobną, tylko u ludzkich trumien śpiewaną pieśnią, całun podnosił się i falował od lkań dwu jej współtowarzyszek i w tym tylko miejscu, w którym ją przykrywał, nieruchomymi liniami zarysowywał wysmukłe i delikatne jej ciało. Tamte w tej stanowczej i posępnej chwili uczuły może dla samych siebie niespodziewany grom przerażenia, ostatni bunt ziemskich żalów, tę instynktową grozę, która wszelką istotę żyjącą przejmuje wobec przypomnień śmierci, i gło-

śno, rozdzierająco płakały. Ona roztopiała się także, ale nie w żalu ani trwodze, tylko w niewysłowienie słodkim rozważaniu dobroci Pana, który do łona swego na wieki ją przygarniał. Nigdy już więc na podobieństwo liścia przez wichry gnanego błakać się nie będzie po zohydzonym świecie, ani duszy swojej plamić jego pyłem, ani serca ranić jego mieczami, o, szczęście!

Odtąd surowa reguła zakonna, której ciernie własny jej zapal pomnażał i zaostrzał, coraz silniej i szczelniej zamykała ją w swym ciasnym, lecz dla niej pełnym zajęć i radości kole. Raz tylko ujrzała była przed sobą groźbę zetknięcia się ze światem. Posiadając biegłość w rysunku i wykwinnych kobiecych robotach, otrzymała rozkaz udzielania nauki jednego i drugich dorastającym wychowankom klasztoru. Gotowa do posłuszeństwa, ukłękła przecież u stóp przełożonej i pokornie, gorąco błagała, aby to umartwienie, najsroższe dla niej pomiędzy wszystkich, to jedyne, które nicznośny wstręt w niej obudza, usuniętym od niej być mogło. Poprzedniczka matki Romualdy zrozumiała ją i wysłuchała. Zamiast do świeckich dziewcząt, siostra Mechtylda przeznaczoną została do nauczania rysunku i robót w klasztornym nowicjacie, gdzie celem pracy było przyozdabianie świątyni pańskiej, gdy tam udzielone przez nią umiejętności, na świat wyniesione, posłużyłyby tylko do pomnożenia jego marnych złudzeń i występnych ohyd. Dla niej więc nie istniały rozlegające się w znacznej części klasztornych gmachów gwary i śmiechy dziecięcej gromady, ani wychylające się z korytarzy lub po ogrodach rozsypane chóry dzieciennych i młodziutkich głów. Nie słyszała ich i nie widziała. W absolutnym oddaleniu od wszystkiego, co nie było dążeniem ku Bogu, nic i nikogo oprócz celi, chóru, ołtarzy i swoich sióstr w Chrystusie nie widując, z ciałem w przeróżne sposoby udręczonym, przedstawiała ona, sama o tym nie wiedząc, jedną z najdziwniejszych zagadek bytu ludzkiego: możliwość istnienia szczęścia na dnie tej naj-

posepniejszej z melancholii, jaką jest z pogardy dla ziemi powstały ascetyzm. Była zrozpaczoną przez ziemię i pocieszaną przez niebo melancholiczką. Była zbliżającą się do doskonałego unicestwienia w sobie wszystkiego, co nie było dążeniem ku niebu — ascetką.

### III

Miała już za sobą trzydzieści kilka lat życia i przeszło dwanaście pobytu w klasztorze, gdy zachodzić w niej poczęły niespodziewane zmiany. Uczuła nagle wyczerpanie sił, nie fizycznych, ale tych wewnętrznych, o które jedynie dbała i których nieustanna, wytężona praca była dotychczas źródłem jej szczęścia. Z wiary jej i miłości nie ubył najmniejszy atom, ale przestały ją one odżywiać. Modliła się z chłodem w duszy, wśród rozmyślań doświadczała przerw, w których bezmyślną skamieniałością ogarnięta, przestawała czuć, że żyje. Z nieznaną przedtem trudnością rozstając się ze snem, leniwie szła na poranne jutrznie; w wielkie msze południowe machinalnie wtórzyła ustami słowom kapłana, daremnie walcząc z nieprzewyciężoną siłą, która wzrok jej przykuwała do zawieszonoego za wysokim oknem kawałka białego obłoku lub do wlewającej się przez nie strugi słonecznych światel. Usiłowała spuszczać oczy ku ziemi albo zwracać je ku ołtarzowi, ale zupełnie nie wiedziała, jak i kiedy znowu wznosiła je ku górze i wlepiła w obłok lub w światło słońca. Były dni, kiedy w samotnej swojej celi albo w kaplicach, podobnych do wyzłoconych grobów, płakała potokami łez, i przyczyny ich, najsurowiej badając siebie, dojść nie mogła, tylko na sercu czuła nieznośny ciężar, spod którego ono wydobyć się i ku Bogu wzlecieć nie mogło. Co jednak w tych zmianach, którym duch jej to słabiej, to silniej ulegał, dręczyło ją najwięcej, to że utraciła tak jasne przedtem uczucie nadprzyrodzoności, a stało się to właśnie wtedy, gdy żarliwość jej nabo-

żeństwa przechodzić zdawała się granice siły ludzkiej i zdumiewała te nawet z zakonnice, które najbardziej oddawały się pobożnym ćwiczeniom, zarówno jak te, które, same do nich najleniwsze, widziały w nich jednak wyższy stopień zakonnej doskonałości. Nagle — osłabła, ostygła, usnęła i samej sobie wydawała się lampą zagasłą, trupem mechanicznie poruszającym jakąś obcą, przemieszkującą w nim siłą.

Z punktu widzenia przyrodzonego stan, w który siostra Mechtylda popadła, był prostym wynikiem długich i jednostronnych wysileń, znużeniem umysłu i potrzebą dla niego nowej strawy. Dla tego stanu, jak i dla tych, które go poprzedziły, nauka posiada nazwy i wytłumaczenia. Siostra Mechtylda nazywała go próbą, którą Pan dla doświadczenia jej zesłał na nią i którą tylko wola Jego przykrócić mogła. Jak Chrystus w Ogrójcu, błagała, ażeby kielich ten oddalonym od niej mógł zostać, lecz dopóki brzegi jego ręka Zbawcy przy ustach jej trzymała, piła z niego pokornie i cierpliwie.

Pokorna, cierpliwa, ale stanem duszy swojej zasmucona i strwożona, po przeczytaniu w swojej celi żywota patrona dnia, siostra Mechtylda szła ku tej części klasztornych gmachów, w której mieścił się nowicjat, na codzienne parogodzinne lekcje haftów i malowania, przez nią próbantkom i nowicjuszkom udzielane. Swoim szybkim, cichym chodem, z rękami na piersi u złotego krzyża splecionymi, zstąpiła z wysokich, pomiędzy dwoma grubymi murami ku jednemu z korytarzy spływających wschodów. Była to pora, w której jedne z zakonnice oddawały się zajęciom swoim na pensji, w nowicjacie, w gospodarskich oficynach, w ogrodach, inne po celach swoich czytały żywot patrona dnia i nad nim rozmyślały. Na klasztornych korytarzach panowała ta głęboka cisza, którą posiadać mogą tylko rozległe pola i grubymi murami obwiedzione miejsca. Szerokie albo wąskie, u góry spiczastymi sklepieniami wysoko zakończone, z białymi ścianami, wśród których tu i ówdzie czerniały stare obrazy lub wy-

sokie drzwi do sal zgromadzeń i przyjęć prowadzące, tu i ówdzie śmiejące się oszklonymi, wystrojonymi, wyłożonymi kapliczkami, w których stały ołtarzyki w śnieżne koronki owinięte albo ze srebra ulane posągi - korytarze klasztorne, liczne, w różne kierunki wydłużające się i załamujące, do sieci mistycznych dróg podobne, stały całe w głębokiej ciszy.

Jesienią i zimą od białych lub szarych płacht nieba rozwieszonych za oknami w potężnie grube mury oprawionymi padały tu wieczne półmroki, pod wysokimi sklepieniami zamieniające się prawie w ciemność. Ale teraz przez drobne szyby w gotyckie łuki żelaznych krat ujęte wpływało światło wiosennego słońca i szerokie, złote pasy kładło na podłogi, mnóstwem wąskich, ruchliwych promieni wspinało się po ścianach i w złotej powodzi topiło kapliczkę, szklannymi ścianami zaokrąglającą się pośrodku korytarza, na który weszła siostra Mechtylda. Weszła, postąpiła kilka kroków i uderzona niebywałym tu nigdy widokiem, stanęła. W kapliczce, przed ołtarzykiem w śnieżne koronki owiniętym i otoczonym kwiatami, klęczało dziecko. Była to siedmioletnia dziewczynka, mała i wątła, od której ciemnej sukienki odbijała śnieżnie białość pończoszek, fartuszka i krezy, obejmującej szyję. Jasne, w dwie cienkie koski splecione włosy mnóstwem złotych nitek, niby promyków, wznosiły się nad jej czaszką i opadały na małą, różową twarz, ku obrazowi świętego wzniesioną. Oczy także wznosiła w górę; małe, różowe ręce u samej prawie białej krezy splótła i w żarliwej modlitwie prędko, prędko wstrząsała głową i drobnymi usty poruszała.

Siostra Mechtylda była zdziwiona. Wstęp na ten korytarz, jak i na wiele innych, surowo wzbroniony był pensjonarkom. Skąd się ta wzięła tutaj? Gdyby choć drobny początek skrzydeł u ramion, można by mniemać, że była aniołem, który przed ołtarzyk, w koronki i kwiaty ustrojony, spłynął na słonecznej smudze, ukośnie przerzynającej wewnątrz kapliczki i w której zawrotnie igrały miliardy pyłków. Siostra Mech-

tylda zrazu, jakby do ucieczki przyśpieszyła kroku, lecz potem cicho, zwolna zbliżyła się i wśród szklanych ścian kapliczki za modlącym się dzieckiem stanęła. Dziewczynka więcej uczuła, niż spostrzegła, czyjąś bliską obecność, obejrzała się i z przestachem porwała się z klęczek. Wiedziała, że jej tu znajdować się nie wolno. Ale zakonnica końce białych palców na ramieniu jej kładąc zapytała:

— O co tak gorąco świętego Jana prosiłaś?

Ze spuszczoneymi powiekami, róg białego fartuszka w palcach kręcąc, dziecko po chwilowym wahaniu się szeptem zaczęło:

— Te niemieckie słówka, proszę pani, takie trudne, że żadnym sposobem nauczyć się ich nie mogę... Wczoraj panna Joachima gniewała się na mnie, że ich nie umiałam... Dziś z rana uczyłam się, uczyłam się... i nic... co nauczę się, to zapomnę...

— O cóż więc świętego Jana prosiłaś?

— Żeby mnie pomógł nauczyć się niemieckich słówek...

Usta siostry Mechtyldy miały wyraz surowego zamyślenia, ale we wzroku jej ku małej głowie spuszczoneym powstawał uśmiech.

— Jakim sposobem przysłaś tu? — zapytała.

Dziecko po raz pierwszy oczy ku niej podniosło.

— Starsze panny mówiły, że na klasztornych korytarzach jest taka ładna, ładna kapliczka świętego Jana. Poszłam jej szukać... Nie wiedziałam gdzie... ale szłam... szłam... takie ładne korytarze... Przed Najświętszą Panną, co tam taka śliczna stoi i z rączek promienie sypie, troszkę pomodliłam się i znów poszłam świętego Jana szukać... aż i znalazłam!

Bohaterski czyn swój opowiadając ożywiła się, drobnym palcem wskazywała stronę, z której tu przyszła i w której modliła się przed Najświętszą Panną z rączek sypiącą promienie. Z oczu siostry Mechtyldy uśmiech spłynął i na jej usta.

— Dlaczegoż tak gorliwie szukałaś właśnie kapliczki świętego Jana? — zapytała.

— Bo to patron tatki...

Ciężej na ramieniu dziecka oparły się palce zakonnicy. Jakby stwierdzając to, czego domyślała się już i wprzód, przeciągle szepnęła:

— Tak!

Spojrzeniem, które stało się dziwnie miękkim, we wznie-  
sionych ku niej oczach dziecka utonęła. Głos jej drżał trochę,  
gdy po chwili zapytała jeszcze:

— A matce twojej jak na imię?

— Klara...

— Tak! — powtórzyła siostra Mechtylda, dłoń jej od ramienia dziewczynki podniosła ku jej włosom, po których przesunęła się z pieszczotą, ale raz tylko... Nagle, jakby szc-  
lestem jakiegoś przypomnienia pchnięta, zakonnica wyprostowa-  
ła się i popędliwym ruchem dziecko od siebie odsunęła. Z roztkliwionych przed chwilą jej oczu posypały się iskry  
gniewu i z gniewem prawie krzyknęła:

— Czego tu przyszłaś? Pannom z pensji przychodzić tu  
nie wolno! Idź! idź! i pamiętaj, abyś nie przychodziła tu  
więcej nigdy, nigdy, nigdy!

Odwróciła się i wzdłuż korytarza pomknęła krokiem tak  
gwałtownym i nierównym, że zza załomu drugiego wychyla-  
jąca się zakonnica widokiem tej siostry w ten sposób biegną-  
cej zdziwioną została. Ona sama bowiem, mistrzyni pensji,  
chodziła zawsze prędko, z podniesioną twarzą i z takim roz-  
machem, że brzegi welonu jak skrzydła rozwiewały się u jej  
ramion. Długoletnie zarządzanie i kierowanie pensją wyra-  
zem śmiałości i energii okryło całą postać tej zakonnicy nie-  
młodej, silnej, o nieładnych, grubych, lecz bardzo ożywionych  
rysach. Dla potrzeb pensji czytywała ona wiele książek i pro-  
wadziła wiele rozmów z religią związku nie mających; przy-  
wykła rządzić, rozkazywać, krzątać się, głos podnosić, kroku

przyśpieszać, z odkrytą twarzą patrzeć na mnóstwo ludzi obu płci. Teraz także śpiesznie i z frasunkiem na twarzy dokądś biegła piętami głośno o podłogę uderzając i z rozwiewającym się u twarzy i ramion welonem. Tak jej było pilno i tak czymś myśl miała zajęta, że gdy siostra Mechtylda przy rozmijaniu się z nią z nisko pochyloną głową wymówiła zwykle pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — odpowiedziała tylko: „Na wieki!“ i resztę wyrazów połykając dalej bieć miała. Ale siostra Mechtylda drogę jej zastąpiła.

— Matko Norberto!

— A co? co, siostrze? Do matki wielebnej lece! Taki mam straszny kłopot... dwóch nauczycieli tracimy... aż dwóch od razu... i to w starszych klasach, gdzie siostry zastąpić ich nie potrafią... Jeden zachorował, drugi wyjeżdża... co tu robić? Do matki wielebnej radzić się lece, jakim sposobem jak najprędzej wynaleźć innych...

— Matko Norberto!

— Bo to, widzi siostra, lekcje przerywać się nie mogą... nie ma gadania, to na sumieniu naszym leży... Siostry dobre dla małych, ale tam, gdzie główki już rozgarnięte, porządnej nauki trzeba... A tu nagle aż dwóch... no, skąd my ich teraz weźmiemy? Kłopot! Ale co siostrze? Tak prędko szłaś, jakbyś pensję na swojej głowie miała, i takie kolory na twarz wybiły! Czy nie chora siostra, broń Boże?

Z ogniami na policzkach i z błyszczącymi oczami, głośniejsz, niż mówiła zwykle, siostra Mechtylda odpowiedziała:

— Zdrowie i choroba nasze są w ręku Pana, ale o czystość duszy troszczyć się On nam rozkazał, i ją to właśnie na niebezpieczeństwo narażają nieporządki na pensji panujące.

— Nieporządki! na pensji! a toż co? jakie? — z przerażeniem prawie zawołała matka Norberta.

— Panny z pensji dostają się na wzbronione im korytarze klasztorne... Tylko co jedną z nich w kapliczce świętego Jana widziałam...

Matka Norberta z przestrachu ochłonęła. Znać oskarżenie przez siostrę zanesione nie wydało się jej zbyt ważnym. Jednak zwyczajnym sobie ruchem poprawiając wiecznie podnoszącą się jej do połowy czoła białą opaskę, z rozmysłem zaczęła:

— Tak, tak, to niedobrze! Co zabronione, to zabronione! Nie ma gadania... Posłuszeństwo na pensji rzecz konieczna! I którąż to siostra tam widziała? jaką? dorastającą, małą?

— Malutką — odparła siostra Mechtylda i w głosie jej coś drgnęło.

— Ach, te malutkie! — westchnęła matka Norberta — najtrudniej z nimi... takie to słabe, nierozumne... ani karać, ani znowu na wszystko pozwalać... A nie wie siostra wypadkiem, jak się nazywa ta?

— Powiedziała mi swoje imię. Klarcia...

Po grubych wargach siostry Norberty przebiegł żartobliwy uśmiech.

— Ach, ta! z całej pensji najmniejsza! Nie ma jeszcze miesiąca, odkąd matka ją tu przywiozła, bo biedne dziecko chorowało i podobno hodować się nie mogło w tym klimacie, w którym mieszkają jej rodzice... Tęskni bardzo za rodzicami, i takie to wątle...

Zdawało się, że mówiąc to matka Norberta u surowej siostry dla malutkiej wychowanki swojej o przebaczenie prosiła. Ale siostra Mechtylda wyprostowała się; niezłomny upór wybił się znowu na delikatne i ostre jej rysy.

— Matko Norberto, święta reguła nasza rozkazuje zakonnicom, które od zajęć około pensji są wolne, usuwać się od wszystkiego, co obraży świata przed nimi stawiać może. Panny z pensji błakające się po klasztornych korytarzach przypominają świat... i budzą grzeszne wzruszenia...

Mowy tej matka Norberta wysłuchiwała z nogi na nogę przestępując i żółtą, kościstą ręką po wiele razy poprawiając

opaskę na czole. Potem z lekkim wzruszeniem ramion odparła.

— No, dobrze, dobrze, siostró, napomnę ją... nie ma gadania, za nieposłuszeństwo napomnę...

— Trzeba ją skarcić! — zawołała siostra Mechtylda, i namiętna zaciętość błysnęła z oczu jej i zasyczała w głosie.

#### IV

Tego wieczoru, gdy zakonnice po ostatnich w chórze modlitwach rozpierzchły się ku swoim celom, matka Norberta mijając siostrę Mechtyldę i kroku trochę zwalnając przemówiła:

— Stało się, jak żądałaś, siostrzo, malutka w obecności całej klasy w kącie za karę stała. Za nieposłuszeństwo ją ukarałam, i nie ma gadania! Dziecko płakało.

Mocno swoim pękiem kluczy zadzwoniła i głośno piętami o podłogę uderzając, dalej pobiegła. W ręku siostry Mechtyldy płomyk zapalki drżał długo, nim zetknął się z knotem malej lampy, która słabym światłem celę jej oświeciła. Malutka to była celka, ale schludna i nie bez wdzięku. Ściany wysokie, śnieżnie białe, wysoko nad nimi zaokrąglające się sklepienie sufitu, posadzka, jak w całym prawie klasztorze, kunsztowna i błyszcząca. Na białym tle ścian krzyż czarny, z białą postacią Chrystusa, kropielnica z wodą święconą, drzwi ciężkie, ciemne i okno z żelazną kratą, wyraźnie widzialną na tle zasłaniającej je z zewnątrz ciemności wieczoru. U dołu wąskie, białe zasłane łóżko, z twardym wezglowiem, stolik z lampką i nabożnymi księgami, dwa stołki, gliniany dzbanek z wodą — nic więcej. Ale ona czuła tu jeszcze urok rzeczy niewidzialnej, lecz niewymownie miłej, którą była — samotność. O tej porze zwłaszcza, po całodziennym, koniecznym zetknięciu się z zewnętrznym światem, choćby nim były tylko siostry w zakonie i najzwyklejsze widoki klasztoru, gdy wcho-

dziła do swojej celi, uczuwała się w zupełności sam na sam z duszą swoją i z Bogiem. Dla niej oprócz czystości jej duszy na ziemi i Boga w niebie nie istniało nic, więc najrozkoszniejszą jej była ta chwila, w której z jedynymi przedmiotami swojej miłości i troski nie czuła się już rozdzieloną żadnym szmerem i widokiem, w której posiadała doskonałą już pewność, że nikt i nic, choćby szelest sunącego po ziemi habitu lub z okna do stóp jej spadający promień słońca, nie zmąci jej cichych, nieskończonych rozmów z jej własną duszą i z Bogiem. Zamykająca drzwi jej celi zakonna reguła lepiej strzegła jej doskonałej samotności, niżby to gdzie indziej czynić mogły najmocniejsze wrznięcia i zamki. To jej sprawiało rozkosz doskonałego bezpieczeństwa, wśród której, długie godziny na swoim wąskim i twardym łóżku przesiadując, myślą zstępowała w swoje wewnętrzne, najdalsze i najskrytsze głębie. Były to nieskończone rachunki sumienia w których każdą chwilę, myśl, wzruszenie dnia ubiegłego rozbijała na najdrobniejsze atomy, ważąc je, zgłębiając, źródła ich dochodząc, poszukując pomiędzy nimi takich, które by tworzyły przyczynę i powinność pokuty i poprawy. W tym tak skrupulatnym rozglądaniu tak jednostajnego jednak życia była surowość niezmierna i szczerłość bez granic. Najbliższego pyłku tego, co w jej oczach było grzechem, nie przebaczała sobie, ani przed sobą i Bogiem osłaniać nie usiłowała. Jedno słowo, bez którego wymówienia obejść się mogła, jeden kąsek chleba już bez uczucia głodu przelknięty, jeden przelotny uśmiech lub jedna sekunda lenistwa były to dla niej plamy, które co prędzej z duszy swej ścierała pokorą, skruczą, prośbą o przebaczenie, czasem kolącą szatą z włosianej tkaniny na resztę nocy przywdziewaną. Bywały jednak dni, w których najmniejszego z owych pyłków grzechu pomimo najgorliwszego poszukiwania w sobie nie znalazłszy doświadczała takiego szczęścia, jakiego zwykle doświadcza człowiek, gdy za rąbek szaty pochwytuje swój wysoki, z uporem wiel-

kich miłości ścigany ideał. Czuli się wtedy lekką i białą jak płatek śniegu, bliską Boga, pełną nadziei. Gasząc lampkę wymawiała ciche, głęboko odczuwane słowa wdzięczności i na twardym posłaniu wyciągając ciało, od klęczącej albo leżącej na zimnych posadzkach postawy zbolale i zziębłe, zamykała do snu oczy z takim uśmiechem, z jakim to czyni dziecko na łonie łagodnej matki. Pokryta morzem cienia i ciszy usypiała w bezbrzeżnym spokoju dalekości świata, zgody z Bogiem, słodyczy jutra, pewności zbawienia.

Tak było przez lat dwanaście. Dziś przecież cisza i samotność celi nie wywarły na nią zwykłego wrażenia spokoju. Wnet po zapaleniu lampki rozpoczęła według zakonnego swego zwyczaju rachunek sumienia, ale że było ono obarczone ważnym grzechem, poznawała to po wielkim, bojącym ciężarze, który pierś jej uciskał i był podobnym do połączonych z sobą uczuć trwogi i żalu. I uczucia te, i grzech swój, wraz z ich źródłem, ona musiała określić przed sobą jasno i szczerze, aby nie popełnić zbrodni w jej oczach największej — obłudy względem Boga. Kłamać, ukrywać, osłaniać choćby cokolwiek przed Bogiem, więc oszukiwać Tego, który dał jej wiarę i nadzieję wówczas, gdy wszystkie wiary i nadzieje była postradała, który ją utulił w słodycz i wiekuistość nieba, wówczas gdy drżała i szalała z bólu nad goryczą i znikomością ziemi — byłoby czynem niskim, którego nawet zaczątku dopuścić się nie mogła. Więc twarzą w twarz z najgłębszą swoją myślą powiedziała sobie, że to dziecię, dziś w oszklonej kapliczce przed świętym obrazem ujrzone, wywarło na nią pociąg zupełnie ziemski i niezmożony. Nie, przed sobą ani przed Bogiem ukrywać ani osłaniać nie chciała, że wiedziała dobrze, kim jest to dziecię, jakimi oczami na nią spojrzy, jakie podobieństwo i przypomnienia widok jego ku niej przywoła, i dlatego właśnie, że to wiedziała, zbliżała się ku niemu coraz prędzej i nieprzewyciężonej, tak jak wszelkie ciało zbliża się do swojego magnesu, a człowiek do

cienia swojego straconego szczęścia. Kiedy dłoń na ramieniu tego dziecka położyła, na sekundę, na mgnienie oka uczuła, że małe to stworzenie bardzo kocha, i namiętnie zapragnęła ogarnąć je ramionami, do piersi przycisnąć, pocałunkami okryć, tak jakby ono było drogim cieniem jej straconego szczęścia. Więc choćby przez błyskawicę czasu kochać mogła coś, co nie było Bogiem i niebem, co było marnym zlepkiem gliny, brudną grudą ziemskiego błota, zjawiskiem, które wobec wieczności ma trwanie oddechu, a wobec prawa śmierci jest trupim szkieletem przyobleczonej w prędkiej czy później opaść zeń mające łachmany ciała i pozory życia.

Ale, niestety, całą tę nędzę ona przez chwilę bardzo kochała, dlatego że była ona czarodziejskim zwierciadłem, które nagle z nadzwyczajną wyrazistością i siłą ukazało w sobie odbicie jej dalekiej, wzgardzonej, znienawidzonej przeszłości. Więc oddalone powracać mogło, na dnie duszy śpiące — budzić się z głośnym krzykiem, z pamięci wyrzucone — być niezapomnianym! Więc po tak długich latach czuć mogła jeszcze za ziemskimi uczuciami żal gryzący i wielką, ciężką boleść wspomnień!... Uczuła się przerażoną, lecz uczucia tego zatrzymać w sobie nie mogła, choć usiłowała, bo utraciła całkiem świadomość miejsca, chwili i samej siebie, spadła na nią nawałnica wspomnień i całą jej istotę: myśl, pamięć, uczucie, uniosła w przeszłość. Można by rzec, że za olbrzymie walki, wśród których na długo zwyciężoną została, przeszłość w tej chwili mściła się nad nią, z taką siłą w nią uderzyła. Podała się jej, bo oprzeć się nie mogła. Nie wiedziała o tym, że należy do rzędu tych głębokich natur, których rany nigdy nie goją się zupełnie i wspomnienia nie umierają, ale tak było.

Na zakonnym łóżku swym siedząc, z ciałem nieruchomym, nie czyniła rachunku sumienia. Nie widziała ani ścian celi, ani krzyża, ani kraty... Była w swoim rodzinnym, cichym, ciepłym gnieździe, na szerokich polach zasłanych iskrzącym

się śniegiem lub falujących zielonym i złotym zbożem, na łąkach kwiecistych, w ogrodach cienistych, nad brzegami błękitnej rzeki, pod wielką kopułą nieba, w blaskach słońca, w promieniach księżyca. Wszystkie te miejsca i widoki pamięcią i wyobraźnią odwiedzała z kolei, spotykając wśród nich wszędzie, na każdej ścieżce, w każdym oświetleniu, tłum żyjących istot, miłych lub drogich, tak zapamiętanych, jakby rozstała się z nimi wczoraj. Widziała zwierzęta i ptaki, słyszała głosy pierwszych i drugich. Ze szczególną wyrazistością przypominała sobie rój strzałek na przezroczystych skrzydłach latający nad wodą i w wodzie rosnące lilie, nad którymi chyżo zwijały się jaskółki. Widziała także ludzi, ich kształty, rysy, ruchy, słyszała ich głosy, śmiechy, ulubione słowa, zwyczajne zwroty mowy. Siła jej wspomnień długim snem, do którego je zmusiła, spotężniona, z przepaści przestrzeni i czasu wywołała duchy dawno pomarłych pocałunków, które musnęły jej czoło, usta, policzki i mnóstwem drgnięć, z których każde niosło z sobą echo dawno pomarłych rozkoszy, rozbiegło się po jej ciele. Nade wszystko wyraźnie jednak i najdłużej widziała miejsce i chwilę, które swoim złotem wszystko gasiły, to samo miejsce i tę samą chwilę, których obraz stanął był przed nią za kratą rozdzielającą prezbiterium kościelne z klasztornym chórem wtedy, gdy po raz pierwszy mała dziewczynka podniosła na nią swoje zapłakane oczy i wymówiła swoje imię, a dostojnik kościoła wznosił u ołtarza rozbłysną jak słońce monstrancję. To miejsce i ta chwila były ostatnim szczytem jej ziemskiej miłości i jej ziemskiego szczęścia, których dalekie, lecz przenikliwe echa napełniły ją teraz, gdy wstąpiła nań znowu pamięcią i wyobraźnią. Powolnym, automatycznym ruchem podniosła z kolan swoją chudą rękę i chwilę na nią popatrzała. Ta ręka spoczywała podówczas w jego dłoni; rzuciła wzrokiem na swoją kibić; opasywało ją wtedy jego ramię. Stawały się wtedy na świecie i wkrótce dzieć się miały rze-

czy, które dla niego, zarówno jak dla niej, były wielkie i drogie. Więc dwoma najpotężniejszymi łańcuchami wzajemnej miłości i wysokich myśli z nim związana, długo spoczywała w jego objęciu cicha, ufna, jak w morzu szczęścia. Krople tego morza teraz także wysączyły się z siedliska wspomnień i w żyłach jej z krwią zmieszane, biegły po nich strugami wzruszeń. Ostre jej rysy złagodniały i zdawały się wypełniać, po ustach błędziły uśmiechy i nieruchome źrenice napępiały mgły upojenia. Było to na wąskiej polnej ścieżynie, w cieniu rozrosłych leszczyn, przy pełnym blasku południowego słońca. Płomień wstydu ją ogarnął; spłoniona, powstała szybko i na znajdującą się w pobliżu rówieśnicę zawołała: „Klarcu! Klarcu!” Teraz także po dwakroć cicho imię to wymówiła, a jednocześnie z jasnością, która z halucynacją graniczyła, ujrzała dobywającą się z gęstwiny zboża i po zielonej miedzy biegnącą różową dziewczynę z pękiem bławatków w rękach, w lekkich i jasnych muślinach. Biegąc, z leszczynowego krzaku spłoszyła stado drobnych ptaków, które z piskliwą wrzawą i trzepotem skrzydeł podniosły się w powietrze; duży motyl nad głową jej leciał, kłosa szumiały z cicha; daleko, w górze, płynęły białe obłoki i łagodziły żar słońca... Pogoda letnia, cisza polna, radość wszech istot, miłość, przyjaźń... Stwórcu! jakże pięknym jest Twój świat! Niebo jego — to na drogocennym bławacie haft diamentowy, ziemia — kobierzec z traw i kwiatów, powietrze — ocean świeżości i woni, serce człowieka — kielich po brzegi nalany szczęściem!...

Nagle z tą samą wyrazistością, z jaką ujrzała i uczuła rajski rozkwit swojego życia i świata, zobaczyła i uczuła okrutną ich ruinę. Słyszała huk wystrzałów, patrzyła na płonące ściany swego domu, na trupy ojca i braci, na ludzi, którzy wzajemnie tępiąc się w łunie pożaru mieli barwy, rysy, skręty żrących się szatanów — na sceny do tej podobne wszędzie dokoła... na tę na koniec ostatnią, gdy w dwu najdroższych dla niej dłoniach skruszyło się jej dawne, ufne, pogodne ser-

ce, i gdy ujrzała spadającą na całą już ziemię grubą, czarną, zupełną ciemność. Wszystkim, co pod tym płaszczem ciemności było i żyło, wzgardziła; od mąk wzdargy po rozkosz uwielbienia do Boga uciekła, a jednak teraz, gdy znowu ciemność pełna trupich bladości i krwawych przerażeń spadła w jej oczach na tak zwodniczą, ale tak rajską piękność ziemi, uczuła takiż, jak niegdyś, ciężki, gorzki żal. Był to jeden z tych żalów, z których wyrastają wysokie i chore kwiaty melancholii.

Jak melancholicy miała ona teraz w głębi myśli splątane jęki i skargi, a na dnje piersi kamień cierpienia, który jej z oczu łyzy wyciskał. Na swoim białym, wąskim łóżku siedziała jak senna, z członkami zdjętymi taką niemocą, że splecione jej ręce na czarnym habicie wyglądały jak rzeźba z marmuru. Z szeroko rozwartych jej oczu grube łyzy padały powoli, równo na wychudzone policzki i czarny habit, na złoty u piersi krzyż i marmurowe ręce, które piekły, tak były gorące, ale ona tego nie czuła. Nie czuła nic oprócz ciężkiego, gorzkiego żalu za rajsko piękną ziemią, na którą spadła ogromna ciemność z larwami znikomości i zła na dnje.

Zło, znikomość, grzeszenie, cierpienie i umieranie powszechne i konieczne, Stwórco, oto Twój świat! Niebo jego — obłudny błękit, z którego w ufnych spadają grady i gromy, ziemia jego — kretowisko, w którym tajemnie na stopy przechodniów czyhają zjadliwe gady, powietrze jego — ocean smutku i trwogi, serce człowieka — kielich, po brzegi nalany łzami. Ludzkość jest zbiorowiskiem mar, które zapominają o tym, że lada powiew rozwiać je może, szkieletów, niepomyślnych na to, że lada chwila opadną z nich łachmany ciała. To gromada szaleńców, wyobrażających sobie, że doścignie, co ściga, i o różne ściany roztrzaskująca sobie głowy i serca; głodnych nędzarzy żrących się o kości; głupich pawiów, pyszniących się kroplą barwniku, pierze ich zaprawiającą; dzieci, które z samych siebie wypuszczają bańki mydlane i kla-

szczą im z zachwyceniem, a przez to tylko żyć mogą, że zapominają o tym, co było wczoraj i co będzie jutro... W powietrzu, w wodach, w gęstwinach traw i drzew, w siedliskach zwierząt i ludzi — dobroci, litości, bezpieczeństwa nie ma. Wszędzie toczą się srogie boje i padają śmiertelne ciosy. Nawet polne kwiaty, niewinne i wspaniałe, ścina kosa i sierp, a te, które rosną w nieznanym samotnościach, umierają same i rozkładają się na niewiadome atomy — jak człowiek i jego uczucia, które wspaniałością i świeżością im są podobne, a w jego trującym oddechu zmieniają się w nagie i zgniłe badyle. Wszystkie zresztą płody i zjawiska ziemi, dobre czy złe, są cieniami, które płyną, płyną przez ocean czasu, wzajemnie zglądając się, i nikną w nieskończoności. Nic nie trwa. Nie ma na ziemi takiej rzeczy, w dziedzinie materii i ducha, która by mogła nie ulec rozkładowi, więc zgniliznie. Zarówno chmury, jak kwiaty, członki człowieka, jak jego uczucia, są obecną lub przyszłą, dokonywującą się lub dokonaną zgnilizną. Śmierć toczy wszystko, jak robak drzewo. Komórki składające tkaniny ciała nowonarodzonego umierają w pierwszym już dniu jego życia; zastępują je nowe, które jutro umrą, aż przyjdzie dzień, w którym nie przybędą już zadni zastępcy i obietnica trupa stanie się jego spełnieniem. Bo tylko śmierć obietnice swoje spełnia, ale czyni to już niezmiennie i powszechnie. Zresztą, wszystko ma usta pełne przyrzeczeń, a nic ich nie dotrzymuje. Całe stworzenie, od wierzchu do dna przestrzeni i od krańca do krańca czasu, przebiega nieunikniony, powszechny dech zniszczenia i przenika nieskończony, powszechny jęk zawodu. Stwórco, jakże ponurą i straszną jest ziemia!

Tak myślała i płakała ciągle cicho, nieruchomo, bez łkań, wielkimi łzami, które równo i powoli padały na czarny habit, na złoty krzyż u piersi i na ręce, które piekły, tak były gorące, ale ona tego nie czuła. Tak była przyzwyczajoną zawsze

i tylko z Bogiem rozmawiać, że i teraz myśl jej jak z dna otchłani do niego przemawiała.

— Panie Wszechmocny, dlaczego nie przemienisz? Ojciec najlepszy, czemu nie litujesz się? Bezmiarze światła, dlaczego nie oświecasz? Ręko najmocniejsza, czemu nie podźwigasz? Wiedzo doskonała, czemu nie naprawiasz? Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, czyż one są zgładzone? Chryste Zbawicielu, cóż jest zbawionym? Chryste Odkupicielu...

To imię wstrząsnęło nią i przywróciło jej przytomność. Spojrzała na krucyfiks, porwała się na nogi i śmiertelnie przeżona krzyknęła:

— Chryste! wszakże ja bluźnię!

Z załamanyimi dłońmi i obłędem w oczach myślała, że ten jeden dzień zniszczył długoletnią pracę jej serca i woli, oddalił ją od Boga, którego obraziła uczynkiem, myślą i słowem: uczynkiem, bo przez chwilę poddała się była pociągowi ziemskiemu; myślą, bo przez długie godziny tonęła w ziemskich wspomnieniach; słowem, bo, o zgrozo! spór z Bogiem toczyła. Tak; przez litość i żal nad ziemią czyniła wyrzuty jej Stwórcy i Panu. Naśladowała więc mędrków fałszywych i ohydnych bluźnierców świata, hańbiła święte miejsce, na którym się znajdowała, gubiła swoją duszę. Gdyby w tej chwili umarła — zakonnica występna — duch złego uniósłby ją do piekła, jak prawowitą swoją własność. Ale potępienie wieczne i jego męki wydawały się jej niczym wobec żalości, której doznała na myśl, że obraziła Boga i powiększyła przestrzeń dzielącą ją od tego jedyne go przedmiotu miłości jej i czci. Nie darmo była niekzemną grudą ziemskiej gliny. Wszystko, co o naturze ziemi myślała, i w niej istniało. Napelniała ją, zarówno jak ziemię, złość grzechu, uczucia ulegały powszechnemu prawu znikomości. Popelniła to, czym brzydziła się najwięcej: zdradę. Zdradziła Boga.

Nie płakała już tak, jak przedtem, cicho i nieruchomo, ale

ulewą łez, z piersią pełną jęków, z rozpacznie do krucyfiksu wyciągniętymi rękoma. Potem jednak płacz jej ustał, ręce w dół opadły, podniosła głowę. Nie; nie podda się powszechnemu prawu świata, głową przebiję powszechne brudne morze i wzniesie się nad nie, weźmie się za bary z powszechną znikomością i zdepcze tę marę. Stopą o ziemię uderzyła w taki sposób, jakby tę kulę z gliny i błota spod nóg swych wytrącała. Niech leci w bezdenną otchłań! Ona wzbije się nad nią samotna i zwycięska wzleci ku źródłu doskonałego dobra i zmiesza się z nim w krainie wieczności. Nie miała najłżejszego przypuszczenia, że w tej chwili ściślej niż kiedykolwiek łączyła się z naturą swego rodu w pysze i samolubstwie; czuła, owszem, ogromną żądzę wydarcia się spośród ludzkości, wyniesienia się nad nią, karcenia i gnębienia tego, co ją upodobiło z ludzkością i do ziemi przykuwało. Cóż to było, jeżeli nie ciało, ta szmata przepojona wyziewami ziemi, ten zbiornik pokus? Ono to było tym przyjacielem ziemi, który w niej litość dla ziemi obudzał, spółnikiem szatana, wrogiem Boga. Nie dość jeszcze surowo obchodziła się z nim dotąd, nie zdołała go jeszcze podbić. Upokorzyło się było wprawdzie, przycichło, ale było to znać tylko podstępne zaczajenie się, aby w chwili sposobnej tym skuteczniejszą napasć wykonać... Ach, kusicielu, wrogu, wiecznie odradzający się wężu!...

Teraz linia jej ust przybrała wyraz nienawistnej zaciętości, oczy błyskały ostro i srogo. Bardzo błada, stanowcza, prędkimi, ale pewnymi ruchy zdejmowała czarny welon, spod którego głowa jej ukazała się cała owinięta w białe płótna, zaledwie tu i ówdzie przepuszczające na szyję i czoło drobne pasma czarnych włosów; odejmowała od piersi krzyż złoty, rozpięła u szyi habit, aż nagle upadła na klęczki przed krucyfiksem, pod słabym światłem lampki, do połowy obnażona. Jednocześnie blade i delikatne, ale w tej chwili sprężyste i silne jej ramię wyciągnęło się nad pochyloną nieco głowę,

w powietrzu świsnęła i na białe, cienkimi kośćmi sterczące plecy, na kształtne, spadziste ramiona, na pierś dziewiczo szczupłą i drobną, na szyję wdzięczną linią dobywającą się spod białych płócien, raz po razie, szybko, miarowo, mocno opadać zaczęła — dyscyplina.

Tak, tak! Jeszcze częściej, jeszcze mocniej! Nigdy za często, nigdy za mocno... Gdyby to było podobnym i gdybyś Ty, Panie, na to pozwalał, jakże byłoby dobrze całkiem ten łaćman rozszarpać i z więzienia jego wypuścić ptaka — duszę!

Można by mniemać, że ta sama siła z zewnątrz, która dopomagała jej w spełnianiu ciężkich i wstrętnych robót, gdy była ona nowicjuską, wstąpiła teraz w jej ramię. Niezrównanie gibkie i zęczne, było ono niezmordowanym. Na plecach jej, ramionach, piersi i szyi powstawały długie różowe blizny, stawały się coraz gęstsze, zaogniały się, czerwieniały, aż sączyć zaczęły krople, potem wąskie strumyki krwi.

Ona z tym krwawym ciałem, tak niewzruszonym, jakby z kamienia wykutym ono było, z szybko i prawie rytmicznie świszczącą w ręku dyscypliną, w oczach tkwiących w krucyfiksie miała wyraz zachwycenia. W strasznym jej bólu była rozkosz, dla wszystkich, oprócz niej jednej, niepojęta. Cierpiała tylko nad tym, że więcej cierpieć nie może, i od czasu do czasu usta jej drgały szeptem:

— Niech więcej boli, o Panie, spraw, aby więcej bolało!

W myśli z zadawanych sobie ciosów składała Bogu ofiary.

— Za grzechy moje! Za to, że zamiast do Stwórcy, do stworzenia miłość uczułam. Za wspomnianie rozkoszy ziemskich! za litość nad ziemią! za spór bluźnierczy o niezbadane Twoje wyroki!

Jeszcze raz, jeszcze, jeszcze! Słabła przecież; mimowolne lzy dwoma sznurkami po jej policzkach ciekły i na piersi mieszały się z wysączoną przez blizny krwią; zachwiała się i znowu umocowawszy się na klęczkach, ze wzmożoną raz jeszcze siłą na plecy dyscyplinę opuściła.

— Za grzechy świata! Za nędze ziemi! Panie! Panie! Raz jeszcze, raz, raz... za grzechy świata! za nędze ziemi!

Znowu więc za światem wzgardzonym, za ziemią nie-szczęsną wołała, ale już nie mogła tego przed sobą zeznawać, ani modlić się, ani katować dłużej. Dokonała swego zamiaru, zgłębiła, pokonała ciało tak, że zgasły w nim siła, myśl i uczucie. Z ręki jej wypadła dyscyplina i ona sama z lekkim stukiem na podłogę celi runęła przed krucyfiksem, twarzą ku ziemi. Poranione jej plecy, rozpostarte z obu stron nagie ramiona i owijające nogi długie zwoje czarnego habitu nadały jej postać żalobnego i skrwawionego krzyża.

Wtedy za oknem, na którego pobielających szybach rysowały się czarne i twarde linie kraty, powstawać zaczął świt dnia. W wielkim klasztorным ogrodzie robiło się widno i błękitno, na skraj nieba wstępował rumiany obłok, lekkie wietrzyki latały po drzewach szemrząc w zieleni: słońce wschodzi! słońce wschodzi! W gnieździe zawieszonym u gzymsu okna, tuż przy jego szybie, obudziła się i wesoło zaszczebotała jaskółka.

## V

Od tego dnia siostra Mechtylda utraciła dręczące ją przez czas jakiś uczucia chłodu i lenistwa ducha. Owszem, doznawała większej niż kiedykolwiek żarliwości modlitwy i jaśniejszego jeszcze niż przedtem poczucia nadprzyrodzoności. Siostry zakonne spostrzegły, że miewała na policzkach małe, okrągłe rumieńce i niezwykle, ognisty połysk oczu. Były to wybijające się na zewnątrz oznaki gorączki, która przez kilka dni ogarniała ją na przemian dreszczami chłodu albo pięknym upałem. Czuła bóle w głowie i kościach; idąc, często chwiała się na nogach, a gdy na chórze w ławce swojej klęczała, zmuszoną była, aby nie upaść, ramieniem opierać się o ścianę. Nic dziwnego; na rany zadane sobie dyscypliną, włożyła włosiennicę, która gojenie się ich utrudniała. Była chorą, całe jej ciało zdawało się być jedną raną, ale przez ten stan właśnie sprawiane głębokie osłabienia, a także nadzwyczajne sny i widzenia niewymownie ją uszczęśliwiały. Kiedy bliska zupełnego omdlenia, do najbliższego ruchu chwilowo niezdolna, leżała na podłodze którejś kaplic, zdawało się jej, że już stała się czystym, wolnym duchem, który wnet, wnet utraci do reszty poczucie ziemi i wzleci w strefę nigdy nie objawiającą się jej dokładnie, którą przecież jakby w przelocie błyskawicy widywała niekiedy niezmiernie wysoko, w postaci jasności świetnej, łagodnej, niewyraźną melodią szmerów i śpiewów przepojonej. Posiadła teraz w najwyższym stopniu tę fantasmagorię widzeń, która napelnia za-

mknięte oczy ludzi z chorymi nerwami i podnieconą wyobraźnią. Dosyć jej było zamknąć powieki, aby na tle ciemnym albo ciemnopurpurowym zobaczyć blade oblicze Chrystusa, niewymownie piękne głowy i profile świętych, czasem pary oczu miłośnicie lub litościwie w nią wpatrzone, albo barwne i złociste linie, wypisujące tajemnicze jakieś hieroglify, splatające się w kielichy kwiatów o nigdy nie widzianych kształtach, w palmy, w głębokie perspektywy kolumn. Wszystko to szybko i niepochwytne pod powiekami jej płynęło, kołysało się, przekształcało i na kształt nikuących i wciąż odradzających się obrazów wywijalo się jedno z drugiego, a ona z zachwyconą i trwożną ciekawością w metamorfozach tego fantastycznego korowodu szukała zsyłanych jej przez niebo znaków obietnicy, rozkazu, łaski. W snach mistyczne widzenia jej wyraźniejszymi jeszcze stawały się niż na jawie. Była to czasem spływająca z nieprzejrzanymi wysokościami ku ziemi szeroka brama tęczy, po której pięły się duchy z lotnych mgieł i grały szmerem cudownej melodii niewidzialne skrzydła. Był to czasem płaszcz ogromny, dziwnie miękki, który ją całą ogarniał tak, że nie widziała nic, tylko czuła przejmującą rozkosz spoczywania na ciepłym, powoli kołyszącym ją łonie, które, jak wiedziała, było łonem Boga. Były to także zmieszane z sobą, nieujęte, lecz w rajskie harmonie zlewające się barwy, wonie, tony... Z tych snów budziła się z pierśią wzdymaną wielkimi westchnieniami pragnienia i tęsknoty, po czym długie godziny upływały jej bezsenność, w zachwyceniu, które upajało ją jak wino i jak ono dawało jej siły wstać, biec na jutrznię i z chóralnym śpiewem zakonnice łączyć swój głos, zrazu słaby, lecz w miarę tego jak powstający dzień oświetlał długą, wysoką salę błękitem świtu i różowymi blaskami wschodu, coraz silniej i srebrniej brzmący.

Kiedy w czasie cichych mszy codziennych i uroczystych, świątecznych nabożeństw klęczała pomiędzy ciemnymi poręczami swojej ławki, twarz jej w ramie welonu wyglądała

jakby była wykrojoną z białego oplatka, i tylko czarne, zapadle oczy świeciły pośród niej jak dwie nieruchome, żarzące się gwiazdy. Nieruchomo utkwione we wznoszący się za kratą ołtarz, miały one wyraz niezgłębionej tęsknoty i bezbrzeżnego zakochania.

Dość długi szereg dni upłynął, przez które nie spostrzegą wcale co dzień jednak wbiegających do chóru i dwoma długimi rzędami na pięknej, błyszczącej jego posadzce klękających pensjonarek. Nie spostrzegą ich tak, jak nie czuła najłżejszego wrażenia wszystkiego, co ją otaczało. Raz przecież przed rozpoczęciem się mszy, gdy kratę okrywała jeszcze wielka płócienna opona i po chóralnie odmówionej przez zakonnice modlitwie na chórze zapanowała cisza, siostra Mechtylda wzrok od rozwartej książki oderwała i zupełnie mimo woli spotkała się nim z małą dziewczynką, która w tej chwili właśnie nadbiegłszy tuż obok ławki jej uklękła. Klękając okręciła się tak szybko, że białe jej spódniczki swawolnie spod ciemnego pensjonarskiego mundurka błysnęły, a potem tłumiąc na twarzy igrające po niej uśmiechy i nadzwyczaj uroczyście ją układając, ze złożonymi rękami i nabożnym wstrząsaniem głowy, prędko, prędko szeptać zaczęła:

— Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiach...

Siostra Mechtylda uklękła. Wszystkie zakonnice stały jeszcze pod dwoma ścianami chóru i stojąc nabożną pieśń chóralnie śpiewać zaczynały. Ona uklękła i w ławce swojej ukryta, całą swoją siłą skupiała w modlitwie całą swoją duszę. Doświadczyła głuchego uczucia niebezpieczeństwa. Ta drobna istota, do różowych i złotowłosych aniołów podobna, była wrogiem, przed którym ona uciekać i zbroić się musiała. Zresztą, na dwie strony rozchyliła się teraz biała zasłona i za wielką kratą ukazał się ołtarz z kilku świecami palącymi się pośród wyłaczanych kolumn. Msza była cicha. Do chóru dochodził tylko stłumiony szmer modlitw księdza mszę odprawiającego i od czasu do czasu dźwięk trzykrotnie wstrząsane-

go dzwonka. Czyjeś ciężkie kroki rozległy się w pustym kościele i obudziły w nim długie echa. Z jednego z wysokich okien chóru struga słonecznych światła lała się na jaskrawe wieńce, otaczające niszę, w której połyskiwał srebrny posąg świętej i błyskała paląca się przed nim na srebrnych łańcuszkach lampka. Zakonnice modliły się po cichu, czasem tylko z dochodzącym od ołtarza szmerem łacińskich słów księdza mieszał się na chwilę czyjś szept wezbrany i głośny, po czym milkł i słychać było w górze trzepot bijącego się o szybę okna motyla, otwieranie się i zamykanie drzwi w głębi klasztoru, do bardzo oddalonego grzmotu podobny turkot kół, które otwarte wrota kościoła mijaly.

W tej ciszy siostra Mechtylda twarz swoją ku klęczącemu obok dziecku obróciła. Po sztywności i niemal automatyczności tego ruchu poznać było można, że był on mimowolnym odruchem bezwiednego, ale niezmożonego uczucia. Musiała spojrzeć na to dziecko, jak człowiek czujący, że ktoś na niego następuje, musi obejrzeć się. Ale zaledwie na nie spojrzała, uczuła gniew i zgrozę. Półgodzinna nieruchomość w klęczącej postawie znudziła dziewczynkę, nabożne intencje, z którymi modlić się zaczynała, uciekły z niej bez śladu, natomiast ruchliwe, filuterne jej rysy drżały całe od niezmiernie świecących prób i pokuszeń. Iskrzącymi się spojrzeniami po szeregach towarzyszek strzelając, ustami, brwiami, drobnymi palcami, które w szczególny sposób rozkładały się i składały, przesyłała im tajemnicze, lecz dla nich zapewne wyraźne znaki porozumienia, bo skądciś na jeden z telegraficznych tych znaków przybyć musiała odpowiedź, znać bardzo zabawna: mała parsknęła śmiechem i dla stłumienia go cały dół swojej roześmianej twarzy w obu różowych garstkach ukryła. W tejże chwili ujrzala dwa białe, cienkie palce dotykające jej rękawa i tuż przy sobie usłyszała półgłosem wymawiane słowa:

— Dlaczego nie modlisz się? Jak śmiesz w przybytku

Pańskim wyprawiać grzeszne śmiechy i swawole! Módl się! płacz i módl się! bij się w piersi i módl się! Jesteś lekko-myślnym, niewdzięcznym stworzeniem! Nie kochasz Stwórcy swego! Będziesz taką samą, jak twoja matka, grzesznicą!

Przełęcznione dziecko widziało z bliska ku niemu nachyloną twarz jak opłatek białą, czarne, rozżarzone oczy, usta prawie z nienawiścią wyświstujące srogie wyrazy i dwa cienkie, białe palce wstrząsające się w powietrzu z gniewem i groźbą. Ostatnie słowa zakonnicy rozżaliły ją najwięcej i głęboko. Szybko na klęczkach w tył się cofnęła i znalazłszy się obok starszej towarzyszki, jakby ochrony przed strasznym widzeniem szukając, przytuliła się do niej mocno i w fałdach jej sukni rozplakała się. Siostra Mechtylda zaś klęcząc w swojej ławce oddychała szybko i drżącymi palcami z szelestem głośnym przerzucała karty nabożnej książki. Była przeciw małemu stworzeniu temu tak oburzoną, że czuła, iż tym razem namiętnie je znienawidziła. Takie to jeszcze małe, a tak głęboko w grzechu zanurzone. Już jednej godziny Bogu poświęcić nie jest w stanie, już dusza jej jest gniazdem pustych myśli i swawolnych chuci. Takim samym naczyniem gotującym przyszłe grzechy musiała być niegdyś jej matka. Kiedy patrzyła na figlarne miny i ruchy tego dziecka, przed oczami jej jak żywa stanęła tamta...

— Panie, jakaż złość i gorycz rozlewa się we mnie, jakbym była naczyniem warzącym jady! Jad zawziętej urazy wylał mi się przez usta i teraz jeszcze uspokoić się nie mogą bicia rozkołysanego mego serca... tętna krwi jak dzwony biją mi w skroniach... Myśli jak wichry w tę przeklętą godzinę lecą, w której wspólny ich grzech poznałam... Bo nieprawdaż, Panie mój, nieprawdaż, że oni ciężko, okrutnie zgrzeszyli? Bo wszak zabraniasz zabijać to, co jest Twoim najdroższym darem: wiarę! Ojczy mój, wyjm ze mnie tę mękę gniewu, bo w Ciebie uwierzyłam najgoręcej wtedy właśnie, gdy zabito we mnie wszelką inną wiarę! Skróć czas próby, boś jeden li-

tościwy! Przebacz mi ten nowy, ciężki grzech, ho strasznie cierpię...

W tej chwili u ołtarza ksiądz po łacinie mówił:

— „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata...”

Po czym otworzyło się w kracie małe okienko, ukazały się w nim białe ręce księdza trzymające złoty kielich i wyjętą z niego hostię. Zakonnice ze spuszczonej po usta welonami powstawały w ławkach i zstąpiwszy z ich podstawy bez najłżejszego szelestu szły ku kracie, gdzie klękając, po najświętszy duchowy pokarm otwierały usta, a przyjąwszy go upadały na twarze i przed kratą rzędem rozciągniętych na ziemi czarnych postaci leżały. Nie wszystkie miały prawo tego szczęścia codziennie dostępować. Było ono przywilejem tylko garstki najświętobliwszych i najbardziej od wszelkich spraw i zajęć świeckich oddalonych, do której, naturalnie, należała i siostra Mechtylda. Dziś jednak, gdy złoty kielich błysnął w otworze kraty, nie powstała i nie poszła po najwyższą dla siebie uciechę. Zgrzeszyła i nie miała prawa przyjmować Boga do splamionego swego wnętrza. Gdy tamte, z twarzami przy ziemi i w krzyż rozciągniętymi rękami, tonęły w zachwycie takiego zjednoczenia się z Bogiem, że we własnym łonie Go posiadały, ona czuła się znowu więcej od Niego oddaloną i klęcząc, żarliwie odmawiała pokutną modlitwę — ustami tylko, bo po dnie jej myśli przepływały nieustannie złorzeczenia ziemi i jej wszystkim płodom. Cóż bowiem, jeżeli nie ona i jej zjawiska oddalały ją wciąż od Boga, w grzech wwodziły, stawały pomiędzy nią i niebem? Ach, gdyby zawsze i tylko być sam na sam z Bogiem! Gdyby za tym klasztorem istniała pustynia! Jakże szczęśliwymi byli ci Pańscy wybrańcy, których życie wypadło w miejscu i czasie pustyni!

Tego samego dnia, gdy na wieży kościelnej i w salach zgromadzeń wielkie zegary, jeden po drugim, wybijając dwunastą południową godzinę klasztor napępniały napowietrzną

rozmową przewlekłych dźwięków, w głębi chóru, w wysoko wzniesionej swojej ławce, przełożona z lekkim stukiem zamknęła klamrę swojej bogato oprawnej książki i śpiewnym głosem wymówiła: „Amen!“ Potem powstawszy welon spuściła po usta, na szyję gruby sznur zarzuciła, w rękę wzięła zapaloną świecę przez jedną z sióstr jej podaną i zstąpiwszy z kilku wschodów, które jej ławkę z posadzką dzieliły, zwołna i z nową, półgłosem rozpoczętą modlitwą szła przez długą salę. W miarę tego jak szła ona, z ławek swoich wychodziły zakonnice i z zakrytymi po usta twarzami, ze sznurami na szyjach, z zapalonymi w rękach świecami, półgłosem powtarzając mówioną przez nią modlitwę, postępować za nią zaczynały. Tak wyszły z chóru i szły wąskim, pełnym zmroku korytarzem, na którym minęły bogato wyłaczane drzwi najświętszej z klasztornych kaplic, weszły na inny, którego ściany okrywały przez czas pociemniałe, lecz tu i ówdzie jeszcze trupimi bładościami albo ognistą czerwienią świecące obrazy, miały szeregi gotyckich, w grube mury oprawionych okien, różne ciemne, ciężkie i zamknięte drzwi; kroki ich nie czyniły żadnego szelestu, w zamian kilkadziesiąt ich półgłosów odmawiających modlitwę sprawiało sunący po długich szlakach korytarzy monotony, nieustanny basowy szmer. W ten sposób reguła zakonu przepisywała im udawać się codziennie do refektarza na południowy posiłek. Żadnej wesołości ani pustoty, którym często w przedobiednich chwilach oddają się ludzie świeccy; żadnej rozmowy, przeciwnie, skupienie ducha przez zakrycie twarzy, wspólna modlitwa, na szyjach znak umartwienia i pokuty. Tak szły, aż z długiej i prawie zupełnie ciemnej arkady wyszły nagle na korytarz ogromny, szeroki, prawie olśniewającym światłem napelniony. Tu ściany były nieskazitelnie i śnieżnie białe, przez ogromne okna, z których niektóre były otwarte, lały się potoki słonecznego światła i wiosennego powietrza; zza długiej ściany, przerznętej kilku cienkimi drzwiami, szeroko rozlewał się przytłu-

miony, niewyraźny, młodością bijący gwar cienkich, donośnych głosów, śmiechów, fortepianowych dźwięków, tętentu przechadzających się i biegnących stóp. Na dwu tych tłach: słonecznego światła i młodzieńczego gwaru, niewzruszenie i jednostajnie, z jedną na przedzie, po kilka w dalszych szeregach, sunęło kilkadziesiąt czarnych postaci, z zakrytymi twarzami i szyjami zgiętymi pod ciężarem grubych sznurów, błyskając kilkadziesiątu płomykami gromnie i tyłuż złotymi krzyżami u piersi. Gdy mijały drzwi szeroko na wielki ogród rozwarte, dość długo przesuwwały się po zasłaniającej je gęstej i świeżej zieleni, a basowy szmer ich półgłosów złączył się z buchającym przez nie wielkim śpiewem i świegotem ptactwa. Ale niewiele za tymi drzwiami były inne, wysokie i pięknie rzeźbione, które teraz ostrożnie uchyliły się i w dość szerokiej szczelinie ukazały kolumnę czy piramidę dziecinnych ubrań, członków i twarzy. Było to zjawisko z powodu szczególnej architektury swojej dość ciekawe. Zupełnie małe i nieco podrastające dziewczynki, jedno na ziemi przysiadłe, inne stojące, inne jeszcze u ramion towarzyszek, u oddrzwii, u zawias uczeplone, jedno nad drugimi wznosiły się wysokim pasem, tak z sobą zmieszane, że nie podobna byłoby wyrażnie dojrzeć, która z tych małych głów należała do którego z tych giętkich, szczupłych ciał, i widać było tylko drobne ramiona opasujące cienkie kibicie, białe pończoszki na tle ciemnych sukienek i białe, szerokie krezy, które jak na talerzach podnosiły małe głowy, jasno i ciemnowłose, z których każda miała parę szeroko otwartych, ciekawych, błyszczących oczu. Były tam małe palce przyłożone do figlarnych ust z cichym wykrzyknikiem: cyt! ruchliwe, małe stopy deptające po białymi fartuszkami okrytych kolanach, pozy podane naprzód albo wspięte na palcach, zaczejone, z podniesionymi rękami, jakby ulatujące, a wszystko to razem, jakkolwiek milczało, wrzało ruchem barw i linii, swawolnym, wesołym życiem. W ten sposób prawie codziennie przez szczelinę nieco

otwartych drzwi dzieci tłumnie przypatrywały się pochodowi zakonnic do refektarza, którego pośępny i uroczysty widok obudzał w nich wieczną ciekawość, a którego zbliżanie się oznajmił im zasłyszany z dala szmer ich zbiorowej modlitwy. Dobre siostry spostrzegały to przekroczenie przeciw regułom zakonu i pensji, lecz pobłażliwie udawały, że go nie widzą. Czasem tylko, na tyłach ruchomej kolumny, odzywał się gruby głos matki Norberty, któremu wtórowało dzwonicie groźnie wstrząsanych kluczy, i wtedy w mgnieniu oka rozsypywała się gromadka i z rozbiegającymi się we wsze strony strumykami cichych śmieszków nikła. Dziś wszakże matka Norberta, gdzie indziej znać zajęta, nie nadchodziła i kolumna splełanych ubrań, członków i głów dziecinnych w wąskim otworze drzwi dość długo stała naprzeciw czarnego orszaku z zasłoniętymi twarzami i zgiętymi szyjami, z płomykami zapalonych świec i złotych krzyży, sunącego bez szelestu kroków, lecz z basowym gwarem półgłosów, długim korytarzem, w wielkiej światłości dziennej, przez smugi słonecznych blasków. Wtem coś tam stało się nadspodziewanego, jakieś małe stopy zbyt silnie przycisnęły jakieś szczupłe kolana czy ramiona, bo ze środka kolumny ozwał się przytłumiony, ale rozniewany krzyk: — „Klarcu, co robisz!“, u szczytu jej coś jednego, drugiego, trzeciego zaparskało śmiechem; podstawy jej zachwiały się i wszystko runęło rozsypując się na części i ze stukiem zatrząskując drzwi, za którymi dały się tylko słyszeć stuki upadków, krzyki przestrachu, ciche początki kłótni i górujące nad wszystkim długie, zanoszące się, szybko kędys z tętentem stóp oddalające się śmiechy. U brzegu spuszczonego welonu z pąsowych, wypukłych ust przelozzonej nieposkromiony uśmiech spędził na chwilę słowa modlitwy; koścista matka Florianna kilka razy mocno pociągnęła nosem, aby głośno nie zaśmiać się; z dalszych szeregów kilka spojrzeń z rozweseleniem albo czułością pod spuszczo-nymi welonami ku zatrząśniętym ze stukiem drzwiom i zni-

kającej za nimi żywej kolumnie strzeliło; ale były też tam głowy, które zatrzęśło oburzenie, usta, które wykrzywiły się niesmakiem, i oczy, które dla uniknięcia dalszych zgorzeń usiłowały nie podnosić się więcej znad ziemi. Siostra Mechtylda czuła teraz piekącą nienawiść dla młodości, wesolości, śmiechu, dla blasków dnia, zieleni drzew, śpiewu ptaków. Wszystko to było tylko jednym, wielkim naczyniem, w którym gotowały się grzech i śmierć, pułapką na dusze ludzkie, na jej duszę, którą... kusiły. Ach, tak; nienawidziła ich dlatego właśnie, że zaleciał ją ich powab. Gdy spod ciemnej arkady wyszła na olśniewająco jasny korytarz, uczuła spadającą w pierś jej kroplę radości; smugi słoneczne, które czarną swoją postacią przerzynała, ciepłą pieśczętą głaskały jej poranione plecy; od ogrodowej gęstwiny świeży powiew wkradł się pod spuszczone welon i błogo ochłodził jej płonące oczy; na koniec, na tę kolumnę z żywych, dziecinnych ciał zza rąbka wełnianej tkaniny patrzyła długo, przestając modlić się... Ach, nieszczęsna! Jakże mało, mało jeszcze klasztorne mury i kraty rozdzielały ją ze światem! Pustyni zapragnęła, takiej ciemnej, głębokiej groty, do której by nigdy nie zajrzało spojrzenie słońca ani człowieka. Nic, tylko ciemności, przy bladej lampce widoku trupiej czaszki, wiecznej ciszy i samotności... pustyni!

Dnia tego, może z przyczyny całonocnego czuwania lub że niedawno opuściła ją gorączka, czuła się bardzo głodną. Od pobliskich kuchennych do mrocznego i wiecznie chłodnego przed-sionka refektarza zalały zapachy jadła. Siostra Mechtylda w myśli mówiła swojemu ciału, że udręczy je w sposób dziś dla niego najdotkliwszy. Za to, że uczuło ono radość światła i pieśczętę ciepła, znosić będzie męczarnię głodu. Za to, że wnętrzości jego spłodziły dziś znowu grzech wspomnień i gniewu, rozedrze i skurczy je głód. Postanowiła nie jeść.

W refektarzu daleko widniej niż w dzień bywało wtedy, gdy paliły się w nim lampy, na żelaznych łańcuchach z wy-

sokiego sklepienia zwisające. Teraz, w wiosenne, słoneczne południe, tak mało światła przenikało doń przez wąskie, gęsto okratowane okna, że napełniał go zimny, szarawy zmrok, w którym bieleły płótna zaścieniające długie stoły i połyskiwała lampa zawieszona u świętego posągu, w głębi na kilku wschodach stojącego i tonącego prawie w koronkach i kwiatach. Na małej, kunsztownej, u jednego z okien wznoszącej się ambonce jedna z sióstr czytała głośno przypadający na dzień ten żywot świętego, a z leniwym i trochę nosowym jej głosem mieszały się lekkie dźwięki metalowych naczyń i ciche chody posługujących dokoła stołów nowicjuszek. U stołów siedzące szeregi zakonnice czarno odbijały na tle drewnianych poręczy ławek, przerzniętych szlakiem wymalowanych na nich scen niebieskich, czyścowych, piekielnych. Spożywając pokarm cielesny, każda z sióstr przy najlżejszym obejrzeniu się spotkać mogła wzrokiem wznoszącego się za jej plecami anioła albo szatana, kosę śmierci lub aureolę świętego. Takież same malowidła unosiły się nad refektarzem w najwyższej głębi sklepień, błyskając wśród zmroku złotem glorii, szafirem niebios, białością ciał potępieńców i czerwonością szat wniebobranych. Za szerokim oknem kuchennym, przez które posługujące siostry przyjmowały w swe ręce kociolki i misy z żywnością, widać było z dala pobłyskujące płomień kuchni; odpowiadały mu daleko bledsze, ruchome promyki słoneczne, które z zewnątrz wieszaly się i wiły po kratkach okien, przez drobne szyby i głębokie nisze do wnętrza refektarza dostać się nie mogąc.

O kilka kroków od świętego posągu, na tym samym co on wyniesieniu, przełożona siedząc w samotnej swojej ławce powoli czerpała zupę z cynowej miseczki srebrną łyżką, na której wraz ze swoją dziewięciopalkową koroną znajdował się wyróżniony herb jej rodu. Córka wielkopańskiego domu, za mało piękna i bogata, aby z łatwością znaleźć mogła w świecie położenie urodzeniu swemu odpowiednie, z natury i wy-

chowania głęboko wierząca, przywdziała zakonne suknie ze spokojem pewności, że tym sposobem godzi skłonność swojej duszy z wymaganiami swego imienia i świata. Uwiadomiono ją i w głębi sama była tego pewną, że zarówno przynoszone przez nią klasztorowi wysokie stosunki, jak osobiste jej przymioty wczesnie zdobędą dla niej w klasztorze miejsce naczelne. Ta zachęta, która jej przebycie tych progów ułatwiła, teraz w rzeczywistość zamieniona, sprawiała jej zadowolenie spokojne, ale wystarczające. Z umiarkowaniem sprawując władzę, lubiła ją i rzeczom niebieskim nieskończoną wyższość nad ziemskimi przypisując, mniemała, że i w tych drugich może znajdować się niekiedy coś niewinnego a miłego. Było w niej połączenie doskonałe uczciwej zakonnicy z wytworną a energiczną kobietą. Idealistyczny kierunek myśli i bardzo czysta wyobraźnia chroniły ją od wszelkich pokus i chęci ze stanem jej niezgodnych; natomiast nie myślała wcale, aby Bóg wielki mógł czuć się obrażonym tak drobnymi przekroczeniami reguły zakonnej, jak posługiwanie się srebrną łyżką z wrytym na niej herbem, na który, żadnej wagi do światowych wielkości nie przywiązując, lubiła jednak czasem popatrzyć, albo użycie pięknego kobierca pod stopy i miękkiej poduszki pod głowę, bez których zdawałoby się jej, że już za życia i bez bardzo widocznej przyczyny popadła w szpony diabelskie. Nie wyobrażała też sobie, aby w upieczonym udzie indyka czaił się i na nią czyhał grzech śmiertelny; lubiła pieczone ptastwo i słodkie ciastka, nie wierząc, aby duch złego mógł być wynalazcą tak dobrych rzeczy. Dla jednych ze swoich sióstr zakonnych uczuwała serdeczną przyjaźń, dla innych tylko miłość w Chrystusie, ale dobrobyt i zdrowie wszystkich mocno na sercu jej leżały. To właśnie było przyczyną, dla której energicznie i gorliwie zajmowała się materialnymi sprawami klasztoru, krzątając się po nim we wszystkich wolnych od koniecznych nabożeństw godzinach, w parloarze klasztornym długie rozprawy tocząc przez kratę ze świeckimi

doradcami i pomocnikami swymi, często na długie godziny zatapiając się w rachunkach. Ta nieustanna prawie czynność ustalała jej dobry humor, który też i u innych lubiła, nieśmiało myśląc, że dobre zdrowie i przystojna wesołość milszymi wydawać się muszą dobremu Bogu nad udręczone ciało i zasepioną duszę. O zbawienie swojej była dość spokojną, o miłosierdziu Pana myśląc daleko częściej niżeli o jego sprawiedliwości. Ilekroć zaś uczuła, że popełniła błąd lub grzech, po wiele razy wołała w myśli: „O Panie, Panie, któż się przed Tobą ostoi!“, a porównanie niezmiernej wielkości Boga z niezmierną jej małością zupełnie ją uspakajało. Alboż tak wielka istota mścić się może nad tak małą? Alboż ona mściłaby się na mrówce, boleśnie nawet przez nią ukąszona? Dokonywała przepisanej przez regułę pokuty, niczym jej nie łagodząc i niczym nie zaostrzając, po czym znowu na długo napełniał ją zupełny pokój z niebem i z ziemią. W świecie za nieładną kobietę poczytywana, stała się bardzo ładną zakonnicą. Światowe jej krewne i znajome, które niekiedy ją odwiedzały i które ona w kapitulnej sali przyjmowała na adamaszkim obitych fotelach i częstowała czekoladą z biszkoptami lub wybornymi z klasztornego ogrodu owocami, mówiły jej to nieraz, a ona z uśmiechem odpowiadała, że Bóg, który stworzył motyle i tęczę, nie może przekładać grubiaństwa nad wytworność, szpetoty nad wdzięk. Istotnie, jej twarz różowa i pąsowe usta, a nade wszystko szafirowe jak bławatki oczy z czarnych osłon welonu wyglądały świeżością i wdziękiem, a kibić, w starannie zawsze ułożonych fałdach habitu, nieco ciężka, miała miękką okrągłość kształtów i taką powagę ruchów, że same jedne zdradzały w niej one dostojniczkę kościoła, z domu księżniczkę.

Taką była matka Romualda. Teraz nie podobna byłoby zaręczyć, czy z należytą uwagą przysłuchiwała się żywotowi świętego Aniceta męczennika, czytanemu na pięknej ambonce, nosowym i nudnym głosem apatycznej i wiecznie zdającej

się usypiać siostry Elżbiety. Z bardzo małym upodobaniem jedząc rosół, który też miseczki wszystkich zakonnice napełniał, niespokojne trochę spojrzenia rzucała na okno kuchenne, za którym spostrzegła matkę Floriannę w podniesionym habicie i zawiniętych po łokcie rękawach krzątającą się wśród próbantek, które jej w kuchennych zajęciach dopomagały. Jeszcze trochę, a rozkazałaby której z posługujących nowicjuszek przywołać matkę Floriannę, ale ona sama, zza okna zniknąwszy, po krótkiej chwili do refektarza weszła i w całej długości go przebywszy przed matką Romualdą dwa przyniesione talerze postawiła. Jak zwykle bywało, z przyjaznym kiwnięciem głowami uśmiechnęły się do siebie. Szafir oczu matki Romualdy nabrał żywszego blasku. Żywot świętego Aniceta nie był jeszcze skończonym, więc cicho szepnęła:

— Pieczone kurczątko! Oho, siostró, skądże wzięłaś je tak wcześniej? I sałata z oliwą... Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Ale wiesz co? rosół był nie dość mocny; dla mnie to nic, ale dla tych naszych świętych, które umartwiają się, każda potrawa powinna być pożywną. Tak, tak! popatrz tylko, siostró! Niektóre takie słabe, że ledwie żyją. Biedaczki! Wiem dobrze, że to dla chwały Pana, ale boję się o zdrowie tych owieczek. Mocniejsze rosóły każ gotować, siostró, mocniejsze! Jak siły do reszty tracą, nie będą mogły Pana Boga chwalić, co zaś najważniejsze (tu szeptała jej stał się jeszcze cichszym), to że nie można na pewno wiedzieć, czy w głodnym ciele pośpna dusza może bardzo podobać się Panu, który stworzył ciepłe i jasne słońce!

Matka Florianna podzielała znać tę wątpliwość, bo kilka razy potwierdzając głową zatrzęsła, po czym ku przelożonej pochylona, z kolei zaszeptowała:

— Na piątek i sobotę pud ryb kupiłam... Szczupaki i okonie. Z białym sosem przyrządę, matce wielebnej usmażyć pewno? prawda? I znowu sałatka z oliwą? Na drugie jarzynka. Dla matki wielebnej może parę jaj faszerowanych, co?

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — odszepnęła matka Romualda, ale uczyniła to z roztargnieniem, uparcie w jeden punkt refektarza zapatrzona. Brwi jej zsunęły się, miękkie, różowe ręce nad rozkrojonym na talerzu kureczkiem zawisły nieruchomo, trzymając nóż i widelec, na których znajdowały się wyrżnięte herby książęce z dziewięciopalkową koroną.

W tej samej chwili po refektarzu rozległo się głośnie, nosowym głosem wymówione: „Amen“ i siostra Elżbieta, skończywszy czytanie, leniwym chodem i z senną twarzą z ambonki zstępować zaczęła. Wtedy matka Romualda sztuce na talerzu położyła i spokojnie, ale nieco podniesionym głosem wymówiła:

— Siostró Mechtyldo! Tak słabą jesteś, że idąc chwiejesz się na nogach; onegdaj w kaplicy Najświętszego Serca siostra Wincenta zaledwie zdołała otrzeźwić cię z omdlenia, teraz znowu zadajesz sobie umartwienie zupełnego postu...

Sama jedna w szeregu zakonnicy, które poruszały ustami i rękami, a nawet, pomimo świętego Aniceta, nachylały się czasem ku sobie i z cicha szeptały, siedziała ona z welonem po usta spuszczone, ze sznurem na szyi, z rękami wsuniętymi w szerokie rękawy habitu, plecami o poręcz ławki oparta i tak nieruchoma, że za posąg nocy wziąć by ją można. Jadło na dwóch talerzach nieporuszone przed nią stało; pod rąbkim welonu usta zaciśnięte i tak prawie jak widzialny dół policzków blade, zarysowywały wąską i nieprzewyciężonym cierpieniem wykrzywioną linię. Słowa przełożonej usłyszawszy, powoli, w całej wysokości swojej wysmukłej postaci wstała i w znak, że pokornie słucha, nisko pochyliła głowę. Matka Romualda mówiła jeszcze:

— Są tylko pewne godziny i okoliczności, w których święta reguła nasza nakazuje nam zakrywać twarze. W innych dozwolonym nam jest bez przeszkody patrzeć na światło i oddychać powietrzem bożym. Dobrze jest patrzeć na światło i oddychać powietrzem, które Bóg stworzył. Słabe

ciało nasze pokarmu także potrzebuje, aby z nim razem nie omdlała dusza. Bóg stworzył i ciało, i duszę. Dobrze jest dzieło jego strzec od zniszczenia. Zdejm, siostrze, powróz z szyi, odsłoń twarz i spożywaj pokarm w spokoju, z wdzięcznością dla Tego, który cię nim obdarzył.

Pierwszej części tego rozkazu, tonem życzliwej rady wymówionego, siostra Mechtylda natychmiast usłuchała; ruchem, który zdradzał wielką fizyczną niemoc, zdjęła z szyi sznur i nad twarzą podniosła welon. Matka Romualda z zadowoleniem wymówiła:

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

I już srebrne sztućce z talerza podjąwszy w piersi kurczęcia zatopić je miała, gdy spostrzegła, że siostra Mechtylda stoi jeszcze, i usłyszała wyraźnie wymówione przez nią słowa:

— Uczyniłam pokutną intencję skarcenia ciała mego głodem za grzech dziś popełniony.

Teraz z dala patrzyły na siebie jednostajnie ubrane, jednostajnemu powołaniu oddające się, lecz gruntownym niepodobieństwem swoim przedstawiające bogactwo natury, które z ludzi, wszystkimi pozorami jednostajności obleczonych, tworzy nieprzebranie różne zjawiska. Siostra Mechtylda, jak zwykle w okolicznościach takich, miała na zaostrożonej i białej jak opłatek twarzy wyraz zaciętej surowości i upor. W matce Romualdzie zmieszanie pochodzące z czci, którą miała dla tej najświętobliwszej, walczyło przez chwilę z tym głuchym gniewem, który towarzyszy zawsze starciu się dwu natur wręcz i gruntownie ze sobą sprzecznych. To pieczone kurczę, zresztą, tak długo już przed nią stało, i ta święta siostra tak wyglądała, że patrzeć tylko jak obłożnie zachoruje, może jeszcze i na zaraźliwą jaką chorobę. Wszystko to sprawiło, że wyprostowała się i z postawą wyniosłą, z roziskrzonym szafirem oczu, rozkazująco przemówiła:

— Nie najmniej ważnym punktem świętej reguły naszej jest posłuszeństwo dla zwierzchności. Prawem zwierzchności

udzielonej mi przez wolę Boga i wybór siostr naszych zdejmuję z ciebie, siostrze, intencję twoją i rozkazuję ci, abys jadła.

Rzekłszy to nóż i widelec znowu w piersi kureczęcia zatopiła, ale nie uspokoiła się wcale. Uczuła, że zgrzeszyła dumą i gniewem i po kilkakroć w myśli zawołała: „O, Panie, Panie, któż się przed Tobą ostoi?“ Po czym jeszcze pomyślała: „Trzeba to będzie jednak odpokutować!“ i do stojącej dotąd obok niej matki Florianny szepnęła:

— Nie trzeba na jutro jaj faszerowanych, siostrze, nie, nie trzeba! Na jarzynce poprzestaną...

Siostra Mechtilda jadła, ale bardzo powoli, tą powolnością usiłując jeszcze drażnić i dręczyć zgłodniałe swoje ciało. Z oczu jej do miseczki z jedzeniem spadło kilka łez. Wrzała buntem, który jednak na zewnątrz objawił się tylko tymi kilku niepodobnymi do powstrzymania łzami. Ze wszystkich przepisów zakonnej reguły posłuszeństwo było najtrudniejszym dla tej duszy tak ognistej, że zawsze rwała się do krańców, i tak dumnej, że pogardzała wszystkim, co nie było nią. Dziś szczególnie aktu posłuszeństwa dopełniała z wrzącym buntem i głuchą krytyką tej zwierzchności, która jej wolę ugięła. Jakże mało sama ta zwierzchność urzeczywistniała ducha wyrzeczenia się i umartwienia! Jakże niedostatecznie klasztor ten zaspakał dusze spragnione absolutnego rozbratu z ziemią i doskonałej spójni z Bogiem! Kędyż więc szukać ich miały? dokąd od ziemi uciekać? którądy dążyć do nieba? O pustyni! ciszo doskonała, zupełna nieobecności istot, słodkie, nieprzerwane, wieczne sam na sam z Bogiem... o pustyni!

Jadła niedużo, bo przecież dużo jeść jej nie rozkazano, i z gwałtem woli jeść przestawszy, nagle przypomniała sobie celę siostry Kajetany... Ach, tak, widziała raz tę celę i słyszała o niej wiele... Z ponurych jej oczu błysnęła radość. W klasztornych głębiach dojrzała rąbek pustyni...

## VI

O tak zwanej celi siostry Kajetany krążyły po klasztorze cicho i głośno opowiadane legendy. Pierwsze nosły, że było to więzienie, w którym niegdyś, bardzo dawno temu, zamknięto zakonnice o stosunki z szatanem obwinioną i w którym ona o chlebie i wodzie żyła czas jakiś, opętana, wyjąc, szczekając i straszne bluźnierstwa wyrzucając przeciw Jezusowi i Jego Matce. Innym razem inna występna siostra, także bardzo już dawno temu, za zbrodnię złamania ślubów zakonnych i oddania się ziemskiej miłości, ponosiła tam podobno karę, u której końca jednak przez samego biskupa rozgrzeszona, umarła we łzach skruchy i na równi z tymi, które w niewinności ze świata schodziły, do trumny na głowę otrzymała wieniec z białych róż. Czy podania te zawierały w sobie prawdę lub tylko część jej — trudno było dowiedzieć się na pewno, ale w sali nowicjatu o zmierzchu szeptane, grozą powlekały młode twarze nowicjuszek i posępne ogniki krzeszały w zagasyłch źrenicach opowiadających je starych, zgarbionych, zeschłych zakonnice. Były to może tylko ciemne sny fantazji, które w ludzkie głowy splywały spod sklepień napęcznionych wiecznymi zmrokami, ale być może także, iż zawierały one w sobie mniej lub więcej wierne echa tych krzyków, którymi rozlegały się tu niegdyś istotne, bardzo dawne tragedie. Co przecież było pewnym, to że w celi siostry Kajetany oprócz dwóch owych mglistych i wółbajecznych przemieszkiwały w ciągu dwuwiekowego przeszło istnienia klasz-

toru trzy inne istoty, również, choć w sposób całkiem odmienny, tragiczne, z istnieniem dobrze już udowodnionym przez akta klasztorne, a względem ostatniej przez naoczne, świeże świadectwa. W przeciągu dwustu przeszło lat trzy tylko siostry zakonne dosięgły takiego stopnia zaparcia się ciała i podniesienia ducha, że zapragnęły miejsce to zamieszkać. Ostatnią z nich była siostra Kajetana, która od lat dwudziestu zastępczyni już nie miała i której imię dotąd cela ta nosiła. Spośród młodych zakonnice prawie żadna nie widziała jej nigdy, starsze zaledwie przypomnieć sobie mogły parę razy dostrzeżone jej wnętrze i drogi do niej już nie pamiętały. Wiedzano tylko powszechnie, że w najdalszej głębi klasztoru jest jakieś ciasne, nigdy nie uczęszczane podwórko, z bardzo wysoko wznoszącym się, gęsto okratowanym okienkiem, za którym w wiecznym zmierzchu i nieprzerwanej ciszy żyły i cierpiały dwie zbrodniarki i trzy święte.

Powszechnym też było zadziwienie i wzruszenie na wieść, że siostra Mechtylda prosiła przełożoną o pozwolenie zamieszkania celi siostry Kajetany i wstąpienia w ślady trzech doskonałych ascetek klasztornej przeszłości, o których istniały podania, że włosiennicy nie zdejmowały z siebie nigdy, po kilkadziesiąt dni z rzędu nie jadały, w trumnie sypiały, a przez ostatnie lata swych istnień nie przestąpiły ani razu progu schronienia swego i do żadnej istoty ludzkiej ani jednego słowa nie wyrzekły. Wszystko to przechodziło wyobraźnię i możność bardzo nawet nabożnych i dość srogo umartwiających się siostr, inne, chłodniejsze, wprost grozą napęliło. Nie zdziwiły się też wcale wiadomością, że matka wielbna, na swoją tylko odpowiedzialność sprawy tej brać nie chcąc, dla rozstrzygnięcia jej do kapitulnej sali na naradę wezwała matki, czyli starszyszną zgromadzenia, złożoną z zakonnice, które już około lat dwudziestu przeżyły w zakonnych ślubach. Co tam podówczas w wysokiej sali, dokoła marmurowego stołu, otoczonego adamaszkim obitymi fotelami i na

kosztownej posadzce stojącego, mówiono, jakie pytania zadawano stojącej przed starszyzną i wyroku jej oczekującej siostrze Mechtyldzie i jakie uczucia budziły jej odpowiedzi, pokorne, lecz pełne nieugiętej woli i dokładnej praw zakonnych znajomości — nie wiadomo; ale na parę godzin przed wieczorem wszyscy wiedzieli, że starszyzna przystała na jej żądanie, z tym jednym zastrzeżeniem, aby nie przestawała ona udzielać, jak dotąd, codziennych lekcji rysunku i robót w nowiejacie. Była to zapewne matka Romualda, która przymocą pozostawiła jej to jedyne już okienko otwarte na światło i powietrze — które Bóg stworzył.

Przed wieczorem, niewiele przed chwilą, w której dzwonek silentium nakazujący rozlec się miał po klasztorze, stara, kaszląca matka Gertruda, która przechowywała klucze od strychów i spichrzów, jeden z nich w dawno znać nieotwieranym zamku obróciła i na wpół otworzywszy małe drzwi do małego wnętrza wiodące, zadyszana od przebytych wschodów, zgarbiona, niska, ciężka, twarzą zwróciła się do stojącej za nią wysmukłej, bladej jak opłatek siostry. We dwie zajmowały całą szerokość korytarzyka, tak wąskiego, że podobnym był do szczeliny wyrźniętej w chropawych, potężnie grubych murach. Przez chwilę nie mówiła nic. Czoło jej było zakryte płócienną opaską, ale po szerokich, żółtych, zgrzybiałych policzkach zmarszczki tak drgały i biegały, jakby zaraz rozpląkać się miała.

— Niech Pan Jezus dopomaga i sił dodaje... — szepnęła na koniec.

Pomilczała chwilę, potem równie cicho mówić zaczęła:

— Ciężkim jest życie nasze. O Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz? Pięćdziesiąt lat już w klasztorze przeżyłam... a pamiętam pokój, w którym tatko huśtał mię na swoich kolanach... Od trzydziestu lat nie wiem, co stało się z Jasiem i Ludwisiem, z Manią, Julką i Elżunią, a pamiętam ich, jak wyglądali, co do jednego... Trudno zapomnieć, że człowiek

ze świata jest i z gliny ziemskiej... Pięćdziesiąt lat modłę się do Jezusa i Jego tylko kocham... a pamiętam... O Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz?

Trzęsła głową i ku wysmukłej towarzysze wznosiła oczy ze starymi, mrugającymi powiekami. Ta z dzbankiem w jednym ręku, a paru nabożnymi książkami w drugim, wyprostowana, odpowiedziała:

— On tylko jest dobrem i wiecznością; wszystko, co ludzie, wraz z ludzką pamięcią — to zło i znikomość.

Po czym z pokłonem wymówiwszy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ przestąpiła próg drzwi tak niskich, że głowy nieco ugiąć musiała.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedziała matka Gertruda za zamkniętymi już drzwiami, zza których dość długo jeszcze słyhać było głośnie posuwanie się jej starych nóg po podłodze korytarza, chrypliwy kaszel, a potem wraz z ciężkim zstępowaniem ze wschodów zdające się wic i czepiać po chropawych, potężnych murach westchnienia: „O Jezu, czy ty ofiary nasze przyjmujesz?“

Siostra Mecztylda słuchała przez chwilę tych dziwnych ech, które budziło chwianie się wiary w piersi tak jednak dawnej i wiernej jej służebnicy, potem przyniesiony dzbanek z wodą na ziemi postawiła i obejrzała się po nowym swoim siedlisku. Łatwo je było obejrzeć. Pięć kroków wzdłuż i wszerz, sufit tak niski, że wyciągniętą w górę ręką dotknąć by go mogła, pod nim w jednej z poszarzałych od starości i wilgoci ścian wpółokrągłe zakratowane okienko, przez które nad kawałkiem ciemnego dachu widać było wąski pasek nieba. Wspięła się na palce i przez malutkie, żelaznymi prętami przysłonione szybki spojrzawszy ujrzała, że znajduje się u wierzchu czegoś, co miało pozór studni w ogromnych murach wydrążonej. Był to niezmiernie ciasny czworokąt, powstały z zetknięcia się czterech kilkopiętrowych murów, z których dwa posuwając się dalej, tworzyły zamieszkiwane

części klasztoru, a dwa inne, w malutkie otwory zamiast okien zaopatrzone, zawierały stare, opuszczone składy i spichrze. Nigdzie żadnego okna, żadnej istoty żyjącej. W głębokim dole dawno znać rozrzucone kamienie i cegły, u szczytu, nad załamami dachów, mały płatek nieba, po którym jakby nigdy nie przepływało słońce, bo spomiędzy kamieni i cegieł wyglądała czarna, wodę sącząca ziemia.

Znowu zwróciła się do wnętrza i po ramionach jej przebiegło drżenie. Wywołał je ten instynkt nieprzewyciężony, który w żyjącej istocie budzi wstręt do grobu. W tej zaś ciasnej i niskiej izdebce, w ten dzień majowy i gdy słońce pełną tarczą nad zachodem jeszcze wisiało, panował przejmujący chłód i prawie gęsty zmrok, w którym u dołu odrzynały się od ściany zarysy stojącej na ziemi trumny. Wszystko tu od śmierci siostry Kajetany nieporuszone pozostało. Obok tej trumny, w której sypiała ona i może jej poprzedniczki, prawie do sufitu wznosił czarne ramiona wielki, ciężki krzyż, a u stóp jego, na niskim stołku, obok dziś postawionej tu lampki, bielą trupa głowa. Nic więcej.

Drżenie siostry Mechtyldy było instynktowe, lecz trwało długo.

„Bóg jest ze mną i tylko On“ — myślała i drżała ciągle.

Raz, niegdyś, pozwolono jej do tego miejsca zajrzeć; zapamiętała je i wiedziała, co w nim znajdzie. Dlatego też, że wiedziała, zapagnęła go w chwili niespodziewanego łamania się na dwoje wewnętrznej swej istoty. W gęstym zmroku przed czarnym widmem krzyża z opuszczonymi rękoma stojąc myślała o tym, co ją tu czeka. Opowiadano jej, że do tego miejsca nie dochodzą żadne odgłosy panującego w klasztorze ruchu. Za tymi drzwiami żadna droga do niczego nie prowadzi, nie mija ich też i nigdy nie zastuka do nich nikt. Za tym oknem nigdy żadna roślina nie zaszeleści z wiatrem i żadne ptaszę nie zaszelebiece. Wieczna cisza, wśród której tylko nocami słychać rozlegające się i przewlekłe echa, budzące

stuki, upadki, tętenty. To szczury, nietoperze i całe gniazda robactwa, żyjące w znajdujących się na dole i naprzeciw rozległych, pustych strychach i spichrzach. Wieczny także zmierzch i chłód, bo ani jeden promień wschodu lub zachodu tu nie przenika, a same upalne południa letnie nie osuszają dna tej studni, ani rozgrzewają potężnych, wiekową wilgocią i pleśnią przepojonych murów.

Tu pokutę swoją spełniały grzesznice i na niebo zapracowywały święte niezbyt długo. O tych drugich zupełnie pewne daty i świadectwa opowiadały, że przez ostatnie lata swoich istnień dla braku sił nie opuszczały już wcale dobrowolnego swego więzienia i wcześniej pomarły. Inaczej być nie mogło; siostrę Mechtyldę przypomnienie to nappełniło radością. Wkrótce zapewne i dla niej przyjdzie czas, w którym będzie miała prawo nie wydalac się stąd wcale, nie już stworzonego nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć i nigdy ani na chwilę nie przerywać swego sam na sam ze Stwórcą. Potem, jak poprzedniczki jej, rychło umrze... Na klęczki przed krzyżem upadła i z dziwnym wybuchem uśmiechów i łez wołała:

— Panie, prędeż weź mię do siebie... Racz wziąć! litości!... prędeż! prędeż!

Nigdy żarliwsza modlitwa o rychłą śmierć z niczyich ust nie wyszła, może dlatego, że na dnie niczyjej piersi nie leżał cięższy i silniej w nią wrosły kamień cierpienia. Wyobrażała sobie, że pochodzi on od zbytecznej jeszcze w klasztorze bliskości ziemi i że go w tym miejscu, tak do pustyni podobnym, z siebie wyrzuci. Teraz czuła, że nie było ono jeszcze tym, czego pragnęła, i że z jej udęczenia, w którym mieszały się z sobą pierwiastki tęsknoty, żalu, głuchych pożądań i niepokojów, nie ubył nic.

— Bóg jest ze mną i tylko On — szeptała i nie czuła żadnej pociechy. Pocieszyła ją dopiero myśl o rychłych śmierciach poprzedniczek i nadzieja dostąpienia takiejże łaski. Przez nią uspokojona, długo modliła się w ciemności, przez

chwile wśród modlitwy przysłuchiwała się dzwonnkowi, który po klaszorze silentium ogłaszał, a do niej dochodził z takiej odległości, że za brzęczenie komara wziąć by go mogła. Potem z klęczek powstawszy zapaliła lampkę, która na tej ma-  
lutkiej przestrzeni dość obficie oświeciła ogromny, czarny krzyż, trupa czaszkę i na ziemi stojącą trumnę. Na tę ostatnią siostra Mechtylda, z podaną naprzód postacią i rozszerzonymi oczami, długo patrzyła. Zdało się jej i może tak było, że płótna wyścielające jej wnętrze i leżąca u jej wezglowia poduszka zachowywały jeszcze pogłębienia i rysunek tego ciała, które ostatnie wśród nich umierało. Miały one zresztą barwę żółtawą i zalatywała od nich woń stęchlizny. Trumna była bardzo starą, brzegi jej tu i ówdzie kruszyły się od spróchniałości, trochę też próchna usypywało przy niej ziemię. Może w niej nie jedna tylko siostra Kajetana sypiała i sko-  
nała, ale i tamte także, jej dawne, bardzo dawne poprzedniczki? Siostra Mechtylda zaczęła szybkie spojrzenia rzucać po ma-  
lutkiej przestrzeni zewsząd grubymi murami zamkniętej. Z murów tych zdawały się wydobywać dziwne i rozmaite dźwięki: szczekanie opętanej, głębokie szloch grzesznicy ziemskiej miłości, roztesknione westchnienia miłośnic nieba. Duszne powietrze przerzynały świsty dyscypliny, pod niziutkim sklepieniem przeciągały litości wzywające szmery. Siostra Mechtylda drżała. Nigdy ani włosienica, ani dyscyplina, ani srogie posty i bezsenne noce nie budziły w niej takiego wstrętu, takiej trwogi, jakie czuła wobec myśli położenia się w tej spróchniałej trumnie, na tej zbutwiałej pościeli, pośród zamieszkujących tę czeluść widm jej przeszłości. Zaczynała zdejmować z głowy welon i z przejmującym dreszczem opuszczała ręce. Ciało jej zebrało wszystkie swoje siły, aby odepchnąć ten kielich, przed którym wzdrygało się w najgłębszych swoich wnętrznościach. Ale było to ciało, i siostra Mechtylda z oburzeniem i wzdrgną obróciła się przeciw niemu. Pokona je; dlatego tu przyszła, aby ostatecznie je pokonać.

Niech wzdryga się od wstrętu, niech drży i kurczy się od trwogi, tym lepiej, tym większym będzie zwycięstwo duszy i łaskawszym zwrócony ku niej wzrok Boga. Drząc, wzdrygając się, kurcząc, pomimowolne szybkie spojrzenia za siebie rzucając, zdejmowała welon i habit, oblekała włosienicę i prędko szeptała:

— Dla miłości twojej, Panie! Za zbawienie moje! Za rychłą śmierć moją! Za grzechy świata! Panie, Panie, za grzechy i nędze świata!

Gdy niedaleko stąd, w samym klasztornym ogrodzie, światła zachodu purpurą i złotem jeszcze oblewały białym kwiatem oblane akacje, ona w grubej ciemności wyciągnęła się na pogłębieniach i załamaniach pościeli po konającym ciełe poprzedniczki jej pozostałych i z powstrzymanym w piersi oddechem słuchała — ciszy. Była ona zupełną, grobową; nawet złudy szczekań, szlochów i westchnień pomilkły; tylko z dala jakiś szum wielki i nieustanny, do toczącego się w oddaleniu grzmotu podobny, dochodził tu tak głucho, jak do podziemia dochodzą wrzawy wznoszące się nad powierzchnią ziemi. Siostra Mechtylda wiedziała, że były to głosy wielkiego miasta zlane w ten jeden, nieustanny, głuchy szum, który tu więcej niż do innych części klasztoru dochodził. Był to szum świata. Znała go niegdyś z bliska, była niegdyś jednym z milionowych jego drgnień, jednym z listków miotających się w tym huraganie. Umiała więc teraz rozłożyć go na pojedyncze obrazy, które też długim sznurem przesunęły się przed nią na tle ciemności. Ulice pstre od śpieszących po nich tłumów ludzi, rozległe ogrody pełne ludzi, wielkie sale napełnione światłem, muzyką i ludźmi, wysokie domy od dołu do szczytu nalane życiem ludzkim, mrowisko uwijające się, śpieszące, zdyszane, którego jednostki rodzą się po to, aby umierać, kochają się, aby obojętnieć, przysięgają, aby zdradzać, gonią za blaskiem, który jest błotem, szczęście ścigają, a chwytają boleść. Jedna

gromada szaleńców, nie myślących o jedynej, ważnej swojej sprawie; sam grzech i szal, sama znikomość. Jak to szumi! Ile w tym szumie kłamstwa, chciwości, zdrady, zawodów, płaczu, westchnień! Jak to daleko szumi! O Panie, dzięki ci, że tak daleko!

Świat miał nad nią podwójną siłę wpływów: ilekroć przypomniła go sobie w postaci czystej, cichej natury i swoich własnych, pomarłych złudzeń o miłości, przyjaźni i enocie, powstawała w niej burza wspomnień i żalów; ale przed szumną, pstrą, śmiejącą się, grającą, za blaskiem i rozkoszą gonącą jego postacią czuła ten sam przestrach i tę samą wzdętkę, z jakimi po raz pierwszy w klasztorne progi wstąpiła. Teraz od dalekości tego drugiego świata, którego szumu w ciemnym wnętrzu swojej czeluści słuchała, spłynął w nią dawno nieznanym spokojem. Uczuła się wobec tamtych: ślepych, poplamionych, zagrożonych, oświeconą przez Pana, czystą, bezpieczną. Z dna jej piersi zniknął kamień cierpienia. Odetchnęła szeroko. Uczuła na sobie okrywające ją do snu skrzydło boże i wyraźnie, z jasnością zupełnej halucynacji, ujrzała wzrok Boga w postaci łagodnego promienia przebijającego mur sufitu i spływający na nią.

„Bóg jest ze mną i tylko On!“ — myślała, i cicho, głęboko, jak dziecko, usnęła.

Spokój ten nie opuszczał ją przez pewien szereg dni, w czasie których siostry widywały ją już tylko na chórze i niekiedy w refektarzu. Do tego ostatniego nie zawsze przychodziła; było bowiem rzeczą wiadomą i z góry niejako postanowioną, że mieszkanka celi siostry Kajetany, którą teraz całą siostry Mechtyldy nazywać zaczęto, zadawać sobie musiała pośród wielu innych umartwienia częstych postów. Na korytarzach i wschodach klasztornych nie spotykano już jej nigdy; z czeluści bowiem, w której mieszkała, wiodły wszędzie przejścia przez nikogo nie uczęszczane, wąskie jak szczeliny, pełne zupełnie ciemnych załomów i jak drabiny wą-

kich, kołyszących się pod stopami wschodów. Na chórze nawet, do którego przychodziła zawsze, rozległa się dokoła niej samotność. Siostry sąsiednie miejsca zajmujące rzadko tylko i nieśmiało podnosiły na nią oczy; żadna z małych albo podrastających dziewczynek obok jej ławki nie klękała, bo nuż którąkolwiek pochwyciłaby ona, tak jak Klarcie, na gorącym uczynku roztargnienia i swawoli! Gdzie indziej zbijały się w gęstszą nieco kupkę, to miejsce pośród wszystkich innych pustym pozostawiając. Siostra Mechtylda spostrzegła to i spokój jej wzrastał. Świat usuwał się i oddalał od niej w jedynych już chwilach i w jedynym miejscu wzajemnych ich spotkań. Przez wszystkie te dni mogłaby była tu do żadnej żyjącej istoty jednego słowa nie wymówić i usta otwierać tylko do rozmowy z Bogiem, gdyby nie codzienne, stanowczo jej przez zwierzchność nakazane lekcje w nowicjacie.

## VII

Nowicjat był wielką, czworokątną, wysoką salą, z którą łączyły się sypialnie próbantek i nowicjuszek wraz z całą zakonnicą pełniącą czynność dozoru ich i odpowiedniego kształcenia, a noszącej tytuł mistrzyni nowicjatu. Kilka jej okien i oszklone drzwi wychodziły na dziedziniec ze starymi drzewami i sporym ogródkiem, w którym lekarskie zioła zasiewano. W zimie nawet, przy zaścielającym obszerną przestrzeń śniegu i okrywających drzewa brylantowych szronach, było to jedno z najweselszych miejsc w klasztorze. Teraz od góry do dołu sala napęczniała była powietrzem i światłem wchodzącym przez drzwi i okna szeroko otwarte na dziedziniec, cały zasłany zielonością gęstej murawy i na którym ptaki świegotały w drzewach, a z ogródka buchały mocne wonie mięty, czombru, szalwii, rumianku. W otaczających dziedziniec murach okna do cel zakonnic należące na oścież były pootwieranymi; niektóre miały za żelazną kratą wazonik z kwitnącą rośliną lub klatkę z ptaszkiem. W ogródku zaś, pochylając się, to prostując, wyrывая z ziemi chwasty albo kroplistą strugę wody z blaszanej polewaczki na dobre zioła lejąc, pracowała młoda, maleńka, z drobną i rumianą twarzą zakonnica. Pośrodku sali dokoła okrągłego stołu siedziały próbantki, w szarych sukniach i białych welonach, i nowicjuszki, które po wykonaniu pierwszych zakonnych ślubów nosiły już habit, lecz ani czarnego welonu ani złotego krzyża na piersi jeszcze nie miały. Jedne z nich białą materię okry-

wały splotami aksamitnych gron i liści, inne na aksamicie wyszywały złote hafty, inne jeszcze cerowały drogocenne, stare koronki lub zręcznie obracały w rękach narzędzia i materiały do wyrabiania sztucznych kwiatów przeznaczone. Stół piętrzył się pokrojonymi w różne kształty i wielkości kawałkami materii i aksamitów, złotymi i srebrnymi niemi, blaszkami, galonami, mnóstwem płączących się z sobą pasm różnobarwnych jedwabów, zwojami starych koronek, mającymi pozór wzorzystych, żółtawych puchów.

Dokoła stołu robotnice siedziały na twardych stołkach, nad robotami pochylając głowy w białych welonach. Milczały. Cisza w sali panująca pełną była szelestów jedwabiu, skrzypów igieł przez grube materie przesuwanych lub krojących je nożyczek, postukiwania młotków wybijających krochmalne muśliny, z których robiono kwiaty. Zza okien wpadał świegotliwy gwar ptastwa i basowy brzęk owadów; za jednymi z zamkniętych drzwi śpiewały przyciszone, długie akordy pokojowego organu. To mistrzyni nowicjatu, najlepsza w klasztorze muzyczka, uczyła na instrumencie tym jedną z próbantek grania ku chwale bożej.

Siostra Mechtylida, w stojącej postawie nad dwoma próbantkami pochylona, bacznie przypatrywała się ich robocie, którą było pysznie aksamitnymi liśćmi i gronami przyozdabiane antepedium. Czasem biały jej palec przesunął się po materii wskazując drobną do poprawienia usterkę, czasem wymawiała kilka cichych słów wskazówki lub biorąc ze stołu ołówkę jednym jego pociągnięciem rysowała jakąś nową czy ozdobniejszą linię. Tylko co była tu przyszła, ale nie przez dziedziniec, jak dawniej, tylko przez drzwi z wnętrza gmachu prowadzące. Nie potrzebowała już teraz, tak jak dawniej, idąc tu przebywać pięknego, jasnego dziedzińca, ale ciemnymi korytarzykami, po ciemnych wschodach spuszczała się prawie pod same drzwi tej sali, na której słoneczne okna, mijając je, nigdy ani jednego spojrzenia nie rzuciła. Rysy jej,

bardziej jeszcze przez zwiększoną chudość zaostrome, i całą postawę okrywał surowy spokój; z ruchów, spojrzenia i dźwięku głosu wiał doskonały chłód. Od tego chłodnego i surowego spokoju dziwnie odbijał żar gorączki napelniający jej zapadłe oczy, nad którymi często mrużyły się i przymykały od światła odwykłe powieki. Od próbantek wyszywających antepedium przeszła do nowicjuszek, która na czerwonym aksamicie złotymi nićmi haftowała ozdobny krzyż. Żar jej oczu wzmógł się, ale usta surowszymi jeszcze się stały, gdy na ten znak zbawienia długo patrzała, po czym wzięła ze stołu zwój żółtych jedwabów, którymi brzegi stuly, ze złotymi krzyżami u końców, wydzierzganymi być miały.

Wtedy z drugiej strony dziedzińca, z drzwi przeciwległych tym, które w sali nowicjatu na oścież były otwarte, wyszła matka Romualda i powoli, z niepozobawioną wdzięku powagą ruchów, po zielonej murawie dziedzińca iść zaczęła. Zamyśloną była, może nawet czymś stroskaną — klasztor miał wiele materialnych i moralnych interesów, które jej głowę i sumienie obarczały — jednak skoro tylko spojrzenie jej upadło na małą zakonnicek pracującą w ogródku z ziołami, uśmiechnęła się i ku niej iść zaczęła. Wiedzieli wszyscy, że przed rokiem za ledwie wyświęcona, od jakiejś dalekiej wsi i rodziny tu przybyła, siostra Wincenta była ulubienicą całego zgromadzenia, zarówno jak przełożonej. Nade wszystko inne lubiła ona pielęgnować chorych i kwiaty. Matka Magdalena, aptekarka i zarazem ogrodniczka, wzięła ją od razu na uczennicę i przyszłą zastępczynię swoją. Uprawiała więc ogródek z ziołami, suszyła je, przyrządzała z nich leki, w wielkim klasztornym ogrodzie oczyszczała wiosną liście z robactwa, jesienią wykopywała i na świeże miejsce przenosiła krzewy, wszystko to pełniąc z tą samą gadatliwością, z jaką modliła się na chórze. Tam odmawiała modlitwy tak prędko, śpiesznie, że dziesiątą już kończyła wtedy, gdy inne siostry za ledwie rozpoczynały trzecią; tu także prędko i wiele mówiła do każ-

dej dostrzeżonej istoty ludzkiej, a w braku jej, pomimo woli, do drzew lub ziółek. Przy tym śmiała się często, śmiechem przyciszonym, przez habit jakby przytłoczonym, lecz w którym dźwięczała naiwna wesołość i młodość. Chodziła równie prędko, jak odmawiała modlitwy, cichym, zwinnym, do mysiego podobnym krokiem. Zakonne siostry, nawet stare i surowe, bądź dla małości wzrostu, bądź dla dziecinnej wesołości, nazywały ją „siostrzyczką“. Przełożona, z powodu małej, okrągłej, rumianej jej twarzy, dawała jej czasem nazwę „rózyczki“.

Teraz ujrzawszy zbliżającą się ku sobie przełożoną, z radością zaszczębiotała:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Mateczka wielbna idzie na moje ziółeczka popatrzeć! Dobry Pan Jezus zesłał im tej nocy śliczny deszczyk, a Matka Najświętsza dzisiaj słoneczkiem je ogrzała. Jak ślicznie zakwitły! Niech mateczka będzie łaskawa zobaczyć, co tu kolorów, i powachać, ile tu zapachów! Czomberku najwięcej, ot, jak dużo, taki liliowy, jak te ametysty, które moja siostra Zosia w wyprawie ślubnej od mamy dostała. Dla niej ametysty, dla mnie czomberek, na chwałę Pana Jezusa i na zdrowie siostrzyczek kwitnący. Wolę czomberek i Chrystusowi za swoją cząstkę dziękuję. A ślasy moje, jakie pyszne, widzi mateczka! Rozrosły się jak króle, rozkwitły jak malwy i cały płótek tak zakrywają, że ani go widać. Takie te kieliszeczki delikatne i bladuróżowe, a liść aksamitny, jakby srebrem pokropiony. Chwała niech będzie Bogu za cudne twory Jego! W tym kątku, mateczko, rośnie piołunek i będą jeszcze kwitły nasturcje, a w tamtym rumianeczki, jak białe gwiazdki, rozsypały się po trawie. Tu nasiałam troszkę mokrzycki dla kanarków matki Magdaleny, bo stworzenia te przecież śpiewają na chwałę boską i klasztor rozweselają, więc myśleć trzeba i o nich. A tu... chi, chi, chi, chi, chi, chi, niech mateczka wielbna zgadnie, co w cieniu tej gruszy rośnie!... Aha! widzi

teraz, mateczka! niezapominajki! Nigdy tu jeszcze ich nie było, ale tak prosiłam matki Magdaleny, aby mi pozwoliła kąciczek mały nimi zająć, że pozwoliła. Niech mateczka wielbna popatrzy, jakie to ma błękitne ze złotym oczka! Na nic to jest, do niczego nie przyda się człowiekowi, ani najeść się tym, ani napić się tego nie można, ale pięknością swoją chwałę Stwórcy głosi i rozwesela ludzkie oczy. Chwała niech będzie Bogu za cudne Jego twory!

Chodziły obie, czarne od habitów i welonów swoich, wśród rozkwitłych ziół: jedna poważna i nieco ciężka, druga ma lutka, szczupła i zwinna. Zatrzymywały się przy krzakach ślazu i dotykały ich aksamitnych liści, zrywały srebrny piołun i wciągały w siebie ożywczy jego zapach, nachyliły się nisko nad niezapominajkami i długo patrzyły w ich liczne błękitne oczy. Gadatliwy szczebiot siostry Wincenty dolatywał do wnętrza nowicjatu, wtórzyły mu z rzadka trochę bawosowe odpowiedzi matki Romualdy, po schylonych nad robotami twarzach próbantek mknęły uśmiechy; w zamian usta siostry Mechtyldy zacisnęły się jeszcze mocniej i strudzone, różowe jej powieki nie podniosły się ani razu znad rozplątanych pasem jedwabiu.

Pogłaskawszy twarz młodej siostry i z uśmiechem nazwawszy ją różyczką, matka Romualda do sali nowicjatu weszła i po wymówieniu zwykłego nabożnego pozdrowienia, któremu wszystkie obecne osoby chórem głosów odpowiadały, usiadła przy stole na stołku zupełnie takim, na jakich siedziały próbantki i nowicjuszki. Przychodziła tu na jakąś jedną poobiednią godzinę zawsze, ilekroć nie przeszkodziły jej w tym pilne klasztorne sprawy lub reumatyzmy, na które wskutek wilgoci murów cierpieć zaczynała. Lubiła to miejsce widne i słoneczne, z dużą przestrzenią za oknami, w zimie białością śniegu, a w lecie zielonością trawy usłaną. Lubiła też może patrzeć na niezgasłe jeszcze rumieńce młodych próbantek i godziny codziennej obecności swojej tutaj używała

dla nauczania niektórych spomiędzy nich roboty sztucznych kwiatów, w której posiadała smak wytworny i wielką wprawę. Dziś pomiędzy dwoma próbantkami robiącymi kwiaty usiadłszy wzięła do rąk odpowiednie materiały i narzędzia i pilnie zajęła się układaniem cieniutkiej materii w kształt różowego kielicha, ale milczała. Widokiem i szczebiotem siostry Wincenty na chwilę rozweselona, zamyśliła się znowu głęboko, kto wie, czy nad sprawami klasztoru, lub duszy własnej, lub na zawsze opuszczonego świata? Nie była posępną ani zagniewaną, tylko trochę stroskaną i smutną. Po dość długiej chwili podniosła głowę i we wzniesionym nieco ręku ukazała przedziwnie kształtny i delikatny kwiat powoju, który do zielonej gałązki drucikiem przymocowany, łudził wyborynym pozorem natury.

— Bardzo dobrze. Girlanda z takich powojów pięknie przyozdobi ołtarzyk Najświętszej Panny Łaskawej.

Rozpogodzona, uśmiechała się do swojej roboty. Potem nieco monotonnym, do odmawiania modlitw widocznie przyzwyczajonym głosem mówiła dalej:

— Praca uspakaja, praca pociesza, praca uspasabia serce do cierpliwego znoszenia cierni życia i lepszego cieszenia się z jego darów. Bóg stworzył smutek, troskę, pokusy, potrzeby i naprzeciw nim wysłał pracę mówiąc jej: „Pocieszaj, uciszaj, broń, karm, przyodziewaj!“

Powieki siostry Mechtyldy podniosły się i wnet znowu opadły, ale w tym mgnieniu oka strzelił spod nich ku matce Romualdzie surowy i ostry błysk. Z ust jej wyszły też ciche, pokorne, lecz trochę syczące słowa:

— Praca bywa często służebnicą grzechu, a owoce jej są znikome. Wszystko jest zagrożonym przez zło i wszystko przemija. W Bogu tylko obrona, pociecha, nasycenie i wieczne trwanie.

Matka Romualda nie odpowiedziała. Może od wszczęcia kontrowersji z tak pokorną, a jednak tak śmiałą podwładną

powstrzymała ją myśl o jej świętobliwości albo obawa narażenia wobec uczennic nowiejszego powagi. Pąsowe jej usta na chwilę tylko przybrały wyraz niezadowolenia, które wnet w sobie zwyciężyła czując, że znowu świętość tej siostry przyprowadza ją do grzechu. Ręce z robotą na kolana opuściła i ze wzrokiem w otwarte okno utkwionym rzekła:

— Popatrzcie, dzieci, jak wdzięcznie kołyszą się z wiatrem gałęzie tego drzewa, i posłuchajcie, jak wesoło szczebioczą ptaki... Bóg stworzył drzewa i ptaki, dobrze jest kochać i podziwiać dzieła Jego!

Gdy zaś młode głowy w białych welonach, podniósłszy się znad robót, z wdzięcznością za udzieloną im chwilę spoczynku zwróciły się ku pływającej w słonecznym świetle zieleni, ona głosem cichym i trochę śpiewnym, który ożywiał się coraz bardziej, mówiła:

— W kraju, nad którym Bóg rozciągnął szafirowe niebo i którego ziemię usiał czerwienią kaktusów i zielonością laurów, żył wielki święty, imieniem Franciszek, od rodzinnego swojego miasta Franciszkiem z Asyżu nazwany. Ciało jego było mizerne, odzież nikczemna, lecz w sercu płonął mu brylant czystej, potężnej miłości dla wszechżycia i wszechstworzenia. Ilekroć świat ubrał się, tak jak dzisiaj, w wiosenne klejnoty i hafty, on taką odmawiał modlitwę:

„Bądź pochwalony, Panie, za wszelkie stworzenie swoje, a zwłaszcza za najjaśniejszego brata naszego, Słońce, które sprawia dzień i światło; pięknym jest ono, promiennym wielką światłością i Twój obraz widzimy w nim, Panie!

„Bądź pochwalony, Panie, za siostry nasze, gwiazdy, które świecą na niebie, jasne i piękne.

„Bądź pochwalony, Panie, za wiatr i chmury, za niebo pogodne, powietrze czyste i za wszystkie czary, które stworzeniom dają byt i wsparcie!

„Bądź pochwalony, Panie, za siostrę naszą, wodę, pożyteczną, drogocenną, skromną i czystą.

„Bądź pochwalony, Panie, za brata naszego, ogień, który oświecła noc, pięknym jest, błogim i potężnym.

„Bądź pochwalony, Panie, za siostry, jaskółki, niewinne, wesołe, lotne!

„Bądź pochwalony, Panie, za Matkę Naszą, Ziemię, która rodzi owoce, trawy i kwiaty...”

— Tak modląc się, gdy spostrzegł glistę wijącą się pośród drogi, prznosił ją na murawę, z dala od stóp przechodniów. Jagnię bronił przed napaścią kozłów; z pastki dobywał pochwyconą w nią lisicę; pokarm nosił ptakom na niezżyte grunta; kochał czyste krople wody i strzegł, aby zdeptanymi lub zbrudzonymi nie były. Toteż gdy umierał, chmura skowronków na dach lepianki jego zleciała i chociaż noc zapadła, ci kochankowie światła jeszcze go swoją pieśnią kołysali do snu wiecznego.

Przestała mówić, a po chwili w milczeniu, które napełniło salę i mieszało się tylko ze świegotem ptaków za oknami i przeciągłym akordem organu za ścianą, rozszedł się szmer z cicha, lecz dobitnie wymawianych słów:

— Próżność nad próżnościami i wszystko jest próżnością! Wspaniałe słońce oświeca ciemną ziemię. Drzewo usycha i zmienia się w próchno, na jaskółkę spada jastrząb, wodę czystą zatrzuwa ślina pijącej ją gadziny. Ten tylko, kto nad tym wszystkim mieszka, jest czysty i wieczny.

Słowa te wymówiła siostra Mechtylda, i spojrzenie jej znowu na mgnienie oka spotkało się ze spojrzeniem matki Romualdy, którego szafir schmurzył się i dumnie błysnął. Widocznie wyzywano ją do walki. Czyżby w głowie tej siostry powstał zamiar wytworzenia w klasztorze rodzaju dysydemizmu, narzucenia zgromadzeniu swego całokształtu wiary, przez walkę z tym, który szerzyła jego zwierchniczka? Podniosła głowę i już odpowiedzieć coś miała, gdy widok biegnącej przez dziedziniec matki Norberty uwagę jej w inną stronę skierował. Mistrzynie pensji biegła przez dziedziniec

po swojemu, więc jak wichur, z rozwianymi skrzydłami welonu, tak piętami o ziemię mocno uderzając, że na murawie nawet sprawiało to głośny tętent. Wielki kłopot i niemniej-  
sze zmartwienie malowały się na jej grubych, energicznych, żółtą skórą obleczonych rysach, a biała opaska aż do połowy czoła podniesiona ukazywała brwi czarne i gęste, gdy szerokim krokiem próg przestępując mówić zaczęła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A to szczęście, że na koniec matkę wielebną znalazła! Byłam w celi — nie ma, na chórze — nie ma! No, myślę sobie, pewno w nowiejacie kwiaty robi i o świętych opowiada. To na chwałę Pana Boga, nie ma gadania, ale na pensji nieszczęście... co tu robić? co tu robić?

Zdyszana na stołek upadła, białą opaskę na brwi ściągnęła i zapytań matki Romualdy nie słuchając, dalej mówiła:

— Nieszczęście wielkie i niebezpieczeństwo... jedna z małych zachorowała... jeszcze zawczoraj niedobrze jej było, ale myślę sobie: nic, to przejdzie! Od lekcji uwolniłam, tęgim rosółem karmić i herbatą poić ją kazałam, myślałam, że to tak sobie... Aż dziś bieda! Przychodzę z rana na pensję, mówią mi: „Klarcia bardzo chora!...”

Tu przerwała sobie mowę i instynktowo spojrzała w stronę, w której rozległ się brzęk stali o stół uderzającej. Widząc jednak, że to tylko nożyczki wypadły na stół z rąk siostry Mechtyldy, która też nie wróciła już do nich, lecz w ręce wzięła znowu zwój żółtych jedwabów, matka Norberta dalej i śpiesznie ciągnęła:

— Przychodzę, patrzę, leży na łóżeczku swoim jak żużel rozpalona, z błędnymi oczami, nie bardzo mnie nawet pozna-  
je... ciężko chora, nie ma gadania! Strzałą posłałam po lekarza. Przyszedł, obejrzał i coś powiedział? Jezu Chryste, miej nas w świętej opiece swojej... Niech matka wielebna bardzo się nie przeraża, ale to rzecz straszna, dla pensji szczególnie

straszna... no, nie ma gadania, powiedzieć trzeba: tyfus plamisty!

Wyrzuciwszy z siebie dwa ostatnie słowa, pot z długich i żółtych policzków otarła i powolnym ruchem przeżegnała się szepcząc:

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha...

Matka Romualda słuchała opowiadania wyprostowana, uważna, teraz zaś wstała ze stołka i rzekła:

— Trzeba tę małą jak najprędzej od innych dzieci odłączyć, stanowczo i jak najprędzej.

— Nie ma gadania — wstając też i podniesioną znowu opaskę na brwi ściągając zawołała matka Norberta — lekarz powiedział także: „Absolutnie i jak najprędzej odłączyć“... Śliczna rzecz, gdyby zaraza po tych niebożatkach poszła... Nie ma gadania, że odłączyć, ale gdzie umieścić?... W infirmerii pensyjnej za blisko pensji... w tej znów klasztornej...

Zawahała się.

— Za blisko sióstr...

Matka Romualda przez kilka sekund milczała, aż powzięła silne znać postanowienie i zwolna mówić zaczęła:

— Dzieci te powierzone nam są przez rodziców i opiekunów, klasztor nasz fundowanym został z warunkiem, abyśmy nad nimi czuwały wedle najsurowszych wymagań sumienia. Jeżeli niebezpieczeństwo zarażenia się grozić ma im albo nam, my je przeciw sobie obrócić powinniśmy. Rozporządź się, siostrze, aby biedne maleństwo w infirmerii klasztornej umieszczonym zostało.

Postanowienie to widocznie matkę Norbertę ucieszyło, ale nie załatwiło jeszcze wszystkich jej kłopotów. Mówić zaczęła, że Pan Jezus widać zesłał matce wielebnej takie mądre i święte natchnienie, bo istotnie przecież one, zakonnice, wyrzekły się już świata i dóbr jego, a poświęciły się na umartwianie ciała. Jeżeli więc straszna choroba spaść ma na kogo, niech lepiej spada na nie niż na te dzieci, które jeszcze swo-

jej woli nie mają i wyboru czynić nie mogą. Rzecz słuszna, loiczna, i nie ma gadania! Ale nie koniec na tym! Trzebaż biedactwo to pielęgnować! Na ręce służących zdać się nie podobna. Rodzice tak daleko, że paru tygodni trzeba, aby list z wiadomością do nich doszedł, a drugich paru, aby drogę tu przebyć mogli. Żadna z nauczycielek świeckich nie zechce i obowiązku nie ma... Koniecznie więc jedna z sióstr poświęcić się musi... tak poświęcić się, że przez cały czas pielęgnowania małej nie bywać już nigdzie, ani na chórze, ani w re-fektarzu, ani nigdzie, aby nie opuszczać chorej i po klasztorze zarazy nie roznosić. Któraż jednak byłaby do tego sposobną i chętną, bo przecież takiego rozkazu nawet matka wielebna wydać nie ma prawa...

— Bardzo dobrze — odpowiedziała matka Romualda — ale pewną jestem, że pomiędzy siostrami znajdzie się nie jedna do tego ochotniczka. Wszakże — dodała ciszej nieco — wiemy wszystkie, jak i za co cierpieli rodzice tej małej... Niech Bóg, który stworzył niesprawiedliwość i naprzeciw niej wysłał odwagę, wynagrodzi im te cierpienia; co do nas, zwiększają one obowiązki nasze względem ich dziecka...

Matka Norberta z energicznym twierdzeniem trzęsła głową i końcem palca łą z kątką oka ocierała...

Matka Romualda zaś uspokajała ją upewnieniem, że zaraz po nieszporach przywoła do siebie wszystkie odpowiednie zadaniu siostry i w imię Chrystusa wezwie, aby jedna z nich dopełniła ziemskiego, ale świętego obowiązku. Tak naradzały się; za nimi przysłuchując się stały w gromadkę zbite, nieco przerażone, próbantki i nowicjuszki; przez drzwi od dziedzińca zaglądała różowa twarz siostry Wincenty, która o chorobie jakiejś zasłyszawszy, zwinnym swym krokiem przybiegła; w innych znowu drzwiach, tych, za którymi niedawno rozlegał się organ, stanęła wysoka, z uwiedłym i uduchowionym profilem, a dłonią u złotego krzyża na piersi złożoną, mistrzyni nowicjatu. Nikt nie zauważył dość szczególnej jed-

nak postawy, jaką miała siostra Mechtylda. Od początku toczącej się obok niej rozmowy zdawała się jej nie słuchać, bo usiłowała nie słuchać, ale wysmukła, jak posąg nieruchoma, stała przy stole z powiekami spuszczoneymi i obwisłymi rękami, z których na habit jej opadały długie, żółtości wszystkich odcieni pasma jedwabiu. Można by rzec, że w niezmiernej jakiejś walce skamieniała, tylko na blade jak opłatek jej policzki wybijały się powoli małe, okrągłe rumieńce.

W niespełna godzinę potem matka Romualda uprzedzając wkrótce mające rozpocząć się nieszpory kończyła w dużej rachunkowej księdze dodawanie długiej kolumny cyfr. Siedziała ona w swojej celi na dość skromnym, ale wygodnym fotelu, przy biurku z pięknego drzewa, przyrządami do pisania i papierami okrytym. Cella była niezbyt obszerną, ale i niezbyt ciasną, z dwoma oknami za kratą na ogród otwartymi, ze ścianami przyozdobionymi parą religijnych obrazów dobrego pędzla, rzeźbioną z kości słoniowej sceną ukrzyżowania i porcelanową, o świeżych barwach kropielnicą. Przy jednej ze ścian białe firanki ukrywały łóżko, u którego na pięknej posadzce leżał puszysty dywanik; w oknach, za kratami, kwitły miesięczne róże i fuksje. Pogrążona w rachunkach, które widocznie sprawiały jej nieco troski, matka Romualda usłyszała jednak lekkie pukanie do drzwi i podnosząc głowę zawołała:

— Proszę wejść!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ozwał się we drzwiach przyciszony głos siostry Mechtyldy, która cicho za sobą drzwi zamknęła i cicho przeszedłszy celę przed zwróconą ku niej i widokiem jej wyraźnie zaniepokojoną zwierzchniczką stanęła, zapytania jej oczekując. Otrzymawszy je, z plamkami rumieńców na policzkach i z drżeniem ust rzekła:

— W imię Jezusa Chrystusa proszę cię, matko wilebna, abys mnie powierzyła pielęgnowanie tego ciężko chorego

dziecka. Ze wszystkich sił ciała i duszy, o których użyczenie mi błagam Pana, usiłować będę jak najlepiej zadanie to spełnić.

Matka Romualda nie zaraz odpowiedziała, była bowiem bez granic zdziwioną i ze zdziwieniem wpatrywała się w stojącą przed nią siostrę. Po chwili dopiero wahającym się głosem zaczęła:

— Ty, siostrze, ty, pielęgnować chcesz to biedactwo! Bardzo dobrze, ale skądże to?... dlaczego? jakie pobudki? Mam prawo i powinnam wiedzieć o przyczynach, które wstręt twój ku stworzeniu zmieniły w chęć złożenia mu w ofierze może... własnego życia?

Tamta stała wciąż przed nią ze splecionymi u piersi rękoma, z twarzą pochyloną, w której nie tylko już usta, ale wszystkie, zda się, mięśnie drżały i po chwili dopiero, wzroku znad ziemi nie podnosząc, bardzo cicho zaczęła:

— Zwyciężoną jestem, matko, cierpienie tego dziecka i grożące mu niebezpieczeństwo pokonały mię... Ach, jakże trudno zapomnieć, że człowiek ze świata jest i z gliny ziemskiej... Może Pan nie opuści mię, bo idę tam, aby o jedną kroplę umniejszyć powszechne morze goryczy zalewające ziemię i o jedną chwilę od jednego życia oddalić śmierć... Idę tam, bo nie mogę... nie mogę... zapomnieć!

Bez najlżejszego szelestu osunęła się na klęczki i ramionami kolana matki Romualdy obejmując, a twarz kryjąc w fałdach habitu, w cichym, głębokim płaczu dokończyła:

— To jego dziecko i tej, przez którą go utraciłam...

Matka Romualda z podniesioną twarzą i wzniesionymi w górę oczyma milczała, myślała. Zrozumiała znaczenie jej słów. Po raz pierwszy w tej chwili zrozumiała także to śmiertelnie zranione serce i przyczynę jego bez granic namiętnych ucieczek od świata — ku niebu. Wielką litością napełniły się jej oczy, gdy na opartej o jej kolana i cicho rozplakanej gło-

wie obie dłonie swoje położyła i z łagodną powagą rzekła:

— Bóg stworzył grzech i cierpienie i naprzeciw nim wysłał dobroć mówiąc jej: „Czyń, lecz, przebaczaj!“ Bądź, siostrze, wyrazem miłosierdzia życia stojącego naprzeciw jego okrucieństwu i od srogiej boleści usiłuj obronić tych, którzy ci zadali najsroźszą boleść.



W I E L K I



## I

Przez lat wiele miałem oddech tak szeroki i swobodny, że mniemałem się ptakiem szybującym po przestworzach rajskich. Jako ptak cudnie śpiewający byłem podziwiany, uwielbiany, żywiony słodyczami najwyborniejszymi. Śpiewałem nie gardłem, lecz — skrzypcami.

Skrzypce były mi kąpielą z wina i promieni, ich struny nićmi, na których podnosiłem się wysoko nad pospolitość. One mi były mennicą królewską, butami stumilowymi, rogiem obfitości, sypiącym rozkosze różnorodne.

Bardzo szybko posiadałem sławę wielką i bardzo długo czułem się jej godnym. Kochałem sztukę; w pożarach zapału napelniających mię i często aż żrących widziałem dowód, że jestem kapłanem jej uroczyscie wyświęconym. W głowie mojej wrzało nieustannie morze myśli muzycznych, które z łatwością niesłychaną przekładałem na tony, a tony utożsamiały się z istotą moją tak zupełnie, że nie umiałbym być powiedzieć, czy w piersi mojej serce biło albo grało. Wszystko mi grało na ziemi i niebie, w ludziach i w chmurach. Motywy muzyczne jak motyle wiosenne oblatywały mię rojami i jak orszak za królem szły za mną wszędzie, kędym się obrócił. Przebierałem pomiędzy nimi, przesiewałem je przez palce, jak bogacz bajeczny diamenty Sezamu. Wybrawszy najpiękniejsze rozpoczynałem pracę jubilerską, a jakie nektary praca taka sączy w serce jeszcze nie tknięte trucizną, ten tylko wiedzieć może, kto sam się poił nimi. Powtarzam: w serce nie tknięte trucizną...

Nektary niebieskie płem pełną piersią, gdy w białe świtanie poranków i przed złotymi gwiazdami nocnymi ze skrzypcami i smyczkiem w rękach oglądałem swoje diamenty, szlifowałem, rzeźbiłem, ujmowałem w oprawy misterne i rzadkie. Pod rękoma moimi z atomów rozproszonych wytwarzał się organizm, z chaosu świat, ten świat osobny, od wszystkiego innego wyodrębniony, sam w sobie pełny, którym jest dzieło sztuki. Porywałem skrzypce w dreszczach przebiegających ramiona i plecy, opuszczałem je w ogniach palących policzki i dłoń. Grywałem aż do takiego zmęczenia rąk i głowy, że w pierwszych czułem ból przeszywający, a w drugiej gasła mi myśl przytomna. Bywałem wtedy jak pijany albo powracający z podróży czarnoksięskiej: w piersi miałem fizyczne uczucie czegoś z niej wyjątego, czegoś wyprzędzonego z płuc, z serca, z mózgu, czy ja wiem? może z tego, co w języku ludzkim nazywa się duszą... Czułem fizycznie, że z siebie samego, ze swojej materii i ze swego ducha, wyprzędłem coś ode mnie wyodrębnionego, że mnie samego przez to ubyło i że zarazem stałem się przez to większym. Byłem szczęśliwy!

Shczęśliwy i dumny! Czułem, że dzierzę moc wywoływania na świat objawów piękna i układania z nich kombinacji mądrych; to uczucie potęgi przetwarzało się w uczucie dumy. Ten tylko wie, czym jest duma taka, kto sam tworzył. To nie pycha rodowa albo pieniądze. Bo że przed setkami lat ktoś zdobył taką glorię, iż jej promienie połyskują nad czołami dalekich potomków, że Midas wygrzebał z Paktolu tyle złota, iż przyodziewa się w nie i po nim stąpa — to frazski, które schylają głowy tylko służalcze. Twórca wie i czuje, że sam, przez własną naturę wyjątkową i przez własną pracę odbywającą się w dreszczach i ogniach, krzesze nad czołem swoim światła glorii; wie i czuje, że żywi się, a nade wszystko żywi innych nie kruszczem z ziemi wygrzebanym, nawet nie chlebem z ziemi dobytym, lecz samemu niebu i wnętrzo-

ściom swoim wydzieranym pierwiastkiem piękna. Ta дума nie zawiera w sobie podłego składnika wzgardy, ale owszem, jak gleba rodzajna rosą, przeniknięta jest miłością. Ród ludzki — to źródło i zarazem ujście pieśni wszelkiej. Z niego ona wytryska i przeszedłszy duszę twórcy do niego powraca. On jest pierwotną przyczyną jej bytu, a powrotne w niego wsiąknięcie — jej celem ostatecznym. Łączność śpiewaka ze słuchaczami, niezbędna i ścisła, jak tarcie się drzewa o drzewo, wykrzesuje ogień miłości.

Kochałem ludzi ze szczerością, z wylaniem, z naiwnością artysty, który tak ciągle spogląda w górę, że nie przychodzi mu na myśl przypatrywać się nizinom. Wrodzony instykt życzliwości, ogromny głód sympatii otwierały mi usta do uśmiechów, ramiona do uścisków, sakiewkę do wysypywania mamony, którą zdobywałem z łatwością, rozrzucałem z rozkoszą. Serce, nawet głów ludzkich, nie poddawałem rozbirowi ścisłemu; mój zmysł krytyczny omijał je tak lekko, tak, powiem, głupio, jakbym nie posiadał go wcale, a przecież, gdy szło o przedmioty oderwane, zwłaszcza o sztukę, budził się czujny i przenikliwy. Ale do krytykowania bliźnich nie miałem czasu ani ochoty. Przywara w człowieku sprawiała mi przykrość taką, jak nuta fałszywa w akordzie. Wolałem tedy być ślepcem dobrowolnym, czego dokonywał tym łatwiej, że pośród ludzi i bez nich pochłaniała mię sztuka, praca nad nią, myślenie, mówienie, marzenie o niej. Łatwo nie dostrzegać pyłów temu, kto ma duszę pod gwiazdami; łatwo kochać, gdy serce z przyrodzenia miękkie — serce artysty, na wpół spiżowe, na wpół woskowe, topnieje w ogniu natchnienia i warzących się przy nim słodyczach. Na koniec, czy podobna nie kochać tych, którzy tworzą sławę i nam przynoszą ją w podarunku?

Sława! Ach, był to obok rozkoszy twórczych składnik szczęścia mego bardzo ważny. Nie lękam się przygan; owszem, nieraz wyzywałem je śmiałością pomysłów nowych,

zdzieraniem osłon z indywidualności własnej, walką z formułami zwietrzalymi i martwą literą piękna. Lecz w imię tego, com mniemał prawdziwym, stawiając czoło naganie byłem żądny chwalby, tej wielkiej chwalby, na którą się składają uderzenia serc wzruszonych, podziw umysłów wzniesionych nad poziom codzienny, oklask dłoni miotanych wichrem mego ducha... Miałem to wszystko. Miałem wszystko, co tylko w rzędzie uciesh tego rodzaju istnieć może: od radości, która rozsadza mózg i serce, do zabawy prawie dziecinnej.

Ileż razy bawiłem się jak dziecko, gdy w wagonach, w restauracjach, w różnych miejscach zgromadzeń przelotnych dźwięk imienia mego wypadkiem rzucony jak elektryczne dotknięcie zmieniał rysy i postacie ludzkie! W tłumie roztargnionym, śpieszącym się, znudzonym rozmowy milkły, znużenie pierzchało, pośpiech ustawał, a wszystkie te dusze stroskane, płóche lub poważne rzucały się naraz ku swoim oknom i patrzyły na mnie z tą bojaźną nieświadomą, którą na wszystkich szczeblach stworzenia ucuwa drobiazg, gdy oko w oko spotyka się z wielkością. Była to także ta gminna ciekawość, którą na szarym tle powszedniości budzi osobliwość wszelka. Ale ja wówczas o tym nie myślałem. Nie myślałem, że coś podobnego zaszłoby wśród zajęcy na widok zjawiającego się słońca i pośród ludzi wobec człowieka z trojgiem oczu lub uszu. Objawy wrażeń doznawanych na mój widok bawiły mię ogromnie, a roztkliwiały dostrzegane wśród nich niekiedy uczucia natury głębszej. Te ostatnie zdarzały się nieczęsto. Raz przecież...

Było to na dworcu kolei żelaznej, w sali pospolitej, dusznej, tłumnej, nazajutrz po jednym z występów tryumfalnych w wielkim moim mieście rodzinnym. Z bliska otaczało mię mnóstwo znajomych. Pożegnania, kwiaty, wykrzyki, szepty, nawet łzy. Owacja. W tłumie nieznanym, pстрыm, dalekim rozróżniłem twarz jedną, należącą do kobiety młodej, wątłej, ani ładnej, ani szpetnej, ubożuchno wyglądającej. Miała do-

koła szyi wąski kołnierz popielatego futerka, czarny kapelusik nad warkoczem bardzo prostym i bardzo złotym. Była w niej cisza i wątłość cienia. Stała przy samej ścianie, jakby lękała się stanąć na czyjej drodze. Stworzonko ubogie i najpewniej zapracowujące się na śmierć dla przechowania biednego życia sobie lub innym; jedna z tych figurek drobnych, których nikt nie zna i po poznaniu za chwilę już nie pozna. Spośród twarzy, może i ładnej, lecz bladej i chudej, podnosiło to na mnie wzrok zdumiony, złęczony, który wnet po spotkaniu mojego odwrócił się i znowu powrócił ku mnie, skrył się pod powiekami, nie śmiać patrzeć, lecz żądny patrzenia błysnął znowu roziskrzony, echiwy, tęskny... Aż na koniec oczy duże, szare, przejrzyste jak kryształ, głębokie jak jeziora, przylgnęły do mnie jak żelazo do magnesu, zatopiły się w rysach moich z zapomnieniem całkowitym o sobie i świecie, z czułością coraz głębszą, same coraz głębsze i piękniejsze. Zarazem ręce w rękawiczkach u palców podziurawionych wzniosły się nieco i splotły u piersi nieświadomym ruchem uwielbienia. Nie trudno było odgadnąć słuchaczkę wczorajszej gry mojej. Ta dusza nieznajoma napiła się pieśni moich i teraz modliła się do mnie. Była przy tym taką cichą i biedną! Dziewięć ciała i ducha wybijało się na jej skronie delikatną siecią nitek liliowych; wielka słodycz spoczywała na ustach. Coś silnego, niepodobnego do powściągnięcia pociągnęło mnie ku niej. Sympatia nagle, ale mocna, litość, wdzięczność. Wyczytała to w oczach moich, bo różowa luna oblała jej twarz szczupłą, od włosów złotych do popielatej opaski na szyi. Z roztargnieniem odpowiadając na otaczające mnie gwary i szczebioty postąpiłem parę kroków, miałem zbliżyć się ku niej, przemówić, zapytać, wziąć w dłonie te biedne rączki w dziurawych rękawiczkach, modlące się do mnie, zajrzeć z bliska przez te śliczne oczy w tę śliczną zapewne duszę, gdy nagle — dzwonek odchodzącego pociągu... Tłum nas roztrzącił, owacyjne szwały mię porwały, ona kędyś

przepadła, nie mogłem nawet obejrzeć się za nią, bo z prawa, z lewa, z tyłu, na przodzie — wielbiciele, pożegnania, kwiaty, okrzyki, szept, lzy... W wagonie pierwszej klasy jechałem wśród towarzyszy, którzy przed kilku minutami jeszcze nieznanymi śpiesznie teraz tworzyli mi świętą usługę, i długo miałem ją przed oczyma, ją, cień biedny i cichy, przyciśnięty do ściany, aby nie stanąć na drodze czyjejkolwiek. Potem zapomniałem, a po kilku godzinach przypomniałem znowu i dość długo myślałem: jakby mię ta kobieta kochała! jakby kochała! Cóż to? Czy nie syt byłem miłości? Miałem jej przecież wiele, w gatunkach i stopniach różnych, do wyboru. Jednak po raz pierwszy podówczas uczułem, że czegoś nie miałem i że to coś objawiło mi się w tej dziewczynie dalekiej i biednej... Było to podobne do tych snów uroczych, po których zostaje tęsknota mglista za jakimś światem mglistym, lecz lepszym... Jak to lepszym? Więc ten świat nie był dla mnie najlepszym ze światów? Mętnie uczuwałem to niekiedy, ale byłem wielki, posiadałem rozkosze sztuki, sławy i — władzy. Bo sztuka moja czyniła mię mocarzem nie tylko duchów, ale i ciał ludzkich. Z estrad, na których grywałem, przypatrywałem się metamorfozom i bawiłem się ich wywoływaniem. Nikt nie pozostawał do końca gry mojej takim, jakim był u jej początku. Tony moich skrzypiec rządziły grą mięśni, kurcząc je do płaczu i rozciągając do uśmiechów; rządziły obiegami krwi w żyłach, rzucając ją do twarzy lub skupiając w sercach, z czego powstawały rumieńce rubinowe i bladeści opłatkowe. Młodzieńcy wąтли i pochyli pod zakłębieniem tych tonów przybierali postawy bohaterskie, mężom surowym dziecięce lzy ciekły przez palce, którymi zasłaniaли oczy, kobiety z ciałami i duszami w gorsetach drżały w spazmatycznych płaczach i śmiechach. Były takie, które mdlały. Kiedy raz wynoszono z sali taką zemdloną, suknia jej zamiotła ziemię prawie u stóp moich, a włosy wymknąwszy się z więzów spłynęły strugą czarnego jedwabiu i pereł. Ale nikt

poruszeniem żadnym nie zerwał czaru, od którego to serce na chwilę bić przestało, i nad salą upalną, od światel gorejącą, jak świątynia cichą, gra moja upojona i upajająca ani na mgnienie oka unosić się nie przestała, aż gdy umilkła, tłum zagrzmiał oklaskiem nieskończonym, wściekłym, zmieszonym, już nie z krzykiem, ale z rykiem piersi, które w jednym, lecz bez końca powtarzanym słowie: brawo! wyrzucały z siebie część namiętnej burzy.

Radość z tej władzy mojej więcej niż królewskiej, bo żaden król nie może, tak jak muzyk, rzucać serca jak piłki do piekła i raju; radość z tryumfów sztuki ukochanej; radość z coraz nowych dowodów mojego w niej mistrzostwa; radość głęboka ze związku łączącego duszę moją z duszą ludzkości. Bo przecież nie ci jedni znali mię, którzy mię słuchali. Mnóstwu istotom oddalonym, po różnych punktach ziemi rozsianym, które gry mojej nie słyszały i nigdy słyszeć nie miały, utwory moje czyniły życie lżejszym i wyższym. Z iluż samotni, z iluż miejsc pogrążonych w cieniu i ciszy wiecznej na dźwiękach pieśni leciały ku ich twórcy nieznanemu westchnienia wdzięczne i tęskne! Ileż serc w oddaleniach rozmaitych uwielbiało mię i kochało! Dla iluż byłem źródłem, z którego tryskają tęsknoty za ideałem! Myśl o tym wzmagła uczucie związku mego z powszechną duszą ludzkości do stopnia prawie mistycznych omamień. Bo gościć w mnóstwie serc i umysłów nieznanych nawet z imienia, wypowiadać serce i dolać świata we frazesach tak przenikliwych, że słuchając ich świat drży ze szczęścia i zgrozy nad tym, iż odgadniętym został — to coś na kształt wszechobecności i wszechpotęgi bóstwa...

Oprócz tych rzeczy kapitalnych mnóstwo pomniejszych. Uczty tłumne, toasty huczne, mowy głoszące cześć moją w językach rozmaitych, przysmaki stref wszelkich, pocałunki ust niezliczonych — pyłki przelotne, coraz nowe, od których życie iskrzyło się jak pas brylantowy przesuwany pod świa-

tłem słońca, gdy w pobliżu trąby i kotły grają fanfary tryumfalne. Było ono jeszcze podobnym do tych win greckich, w których ogień Falerna mieszano z miodem Hymetu. Paziowie z twarzami amorów podawali je biesiadnikom, wyciągniętym na purpurach, z kraterów złotych, pod deszczem róż, przy dźwiękach luteń, skokach tancerek, zefirach roznoszących wonie mirtów i migdałów — oko w oko z roziskrzonym glorią wieczną szczytem Parnasu!...

## II

Nagle — pokój ze spuszczoneymi sztorami, napełniony zmrokiem, z żółtym płomykiem kuchenki naftowej, nad którą jakaś kobieta nieznana, w białym czepku i fartuchu przyrządza jakąś mieszaninę apteczną z ohydną wonią. Leżę w pościeli; oczyma, których powieki ciężkie, słabe przymykają się co moment, spoglądam na obicie ścian, po którego tle amarantowym wiją się jaśniejsze nieco arabeski. Myślę, że to obicie kiedyś już widziałem, tylko nie pamiętam kiedy i gdzie. Nagle przypominam sobie, że to jest pokój hotelowy, w którym zamieszkałem na czas pobytu mego w mieście rodzinnym. Nic nie rozumiem. Dlaczego leżę? Czy to noc jeszcze? Ale ulica wre i turkoce pełnym ruchem dziennym! Kto jest ta kobieta, po co tu przyszła i co robi? Z tej maszyny rogatej i żółtym płomykiem błyszczącej w zmroku dobywa się woń ekliwa i wstrętna. Pani! Pani! Kto pani... czego tu... Nie mogę mówić! Mówię i czuję sam, że tylko ustami poruszam; głosu swego nie słyszę. Nic nie rozumiem. Na koniec błysk pojęcia... Ach, tak! Prawda! Przypominam sobie! Po tym wielkim koncercie uczułem się bardzo źle... dreszcze, bóle... Zapewne chory jestem. Dziwi mię to. Miałem zawsze zdrowie żelazne. Ależ i teraz dobrze mi już zupełnie i gdyby tylko ktośkolwiek był łaskaw podać skrzypce... Pani! Proszę mi podać skrzypce... tam... na stole... Nie słyszy! Prawda, że i ja głosu swego nie słyszę. Sam wezmę... dobrze tylko ręce wyciągnę i wezmę skrzypce... Co to? Prawej ręki nie ma! Gdzie moja

ręka? Prawej ręki nie mam! Pani! Pani! ręka moja! Gdzie moja ręka? Proszę mi oddać rękę! Ja bez niej nie mogę... Muszę ją mieć... bez ręki nic nie mogę! Słyszysz pani? ręka! ręka!... Przecież! Mogę nie tylko mówić, ale i krzyżeć. W przerażeniu ogromnym, w grozie, od której włosy na głowie powstają, krzyżę, że odebrano mi rękę i że muszę ją wynaleźć, odebrać, odzyskać... Kobieta, strwożona bardzo, przybiega, uspakaja, prosi, upewnia, że ręka jest, znajdzie się, nietknięta, cała... Kto to? Czyje to oczy patrzą na mnie z trwogą i litością? Czy to ty, Oktawio? Oktawio! Oktawio! ukochana moja! Ty, o narzeczono moja, prawie żono moja! Wiedziałem, że ty jesteś, musisz być ze mną, gdy... Nie, nie! To nie Oktawia! Rozumiem... to dozorczyńni chorych... jedna z tych, które za pieniądze... Dlaczego nie Oktawia? Ona powinna, musi być przy mnie, gdy ja... Gdzie ona? Chyba umarła, bo gdyby żyła, byłaby tu... byłaby tu... Pani! dlaczego tu nie ma Oktawii... panny Oktawii... narzeczonej mojej... wie pani... taka wysoka, piękna panna... bardzo piękna! Gdzie ona? Może nie żyje? Boże! Boże! Boże! Gdzie Oktawia? Pójdę do niej! Puśćcie mię! Pójdę do jej ojca, dowiem się, gdzie... Ach, i ręki nie mam... Gdzie moja ręka? Puść mię, pani, puść! Pójdę szukać mojej ręki. Puść... Konie załóżyć! Pojadę! Muszę ją widzieć... muszę... Ok...ta...wię!...

Mętny widok dwóch zjawiających się drabów, niejasne uczucie staczanej z nimi walki, śmiertelny przestрах o zgubioną rękę, niezgłębione zdumienie nad nieobecnością kobiety ukochanej, wściekła żądza odszukiwania obu — i koniec wszystkiego. Znowu czarna noc bezmyślności, którą nurtuje do dna męka niema, a napęlnia od krańca do krańca zapach cklivy, odrażający...

Takie błyskanie i gaśnięcie przytomności powtarzało się wiele razy, płomyk świecy zapadał na dno świecznika, wybuchał znowu, chwiał się nad mglistą rzeczywistością i znowu znikał w czeluści...

Na koniec przyszedł dzień, w którym powiedziano mi, że o mało nie umarłem, ale że teraz na pewno już żyć będę. Bakcylny tyfusowy nie wiedzieć skąd przywędrował do organizmu mego; w dodatku, przez drzwi wypadkiem otwarte mroźny wiatr owiał mię po wyjściu z upalnej sali i... o mało nie umarłem.

O mało nie umarłem! Więc mogę umrzeć? To, czego unikałem wczoraj, może mię spotkać jutro, za rok, za lat kilka? Wiedziałem przecież, że jestem istotą podległą prawu śmierci; ale jak wiedziałem? Mętnie, dorywczo, można powiedzieć bezmyślnie, gdyż na tym wyobrażeniu nigdy nie zatrzymywałem myśli. Życie porwało mi myśl, jak potok gałązkę, i niosło tak chyżo, rwało tak gwałtownie, że ani razu nie spuściła się na dno otchłani.

Ktoś powiedział, że każdy wie o umieraniu w ogóle, ale nikt nie wierzy w to, że sam umrze. To nie ściśle. Wierzyć, każdy wierzy, lecz są tacy, którym wartki potok życia nie pozwala o tym myśleć. Widywałem niekiedy umierających i umarłych, lecz ani razu nie zastosowałem był tej okropności do samego siebie. Ten lub ów umarł, szkoda biedaka! Przez chwilę mąci mi to radość życia, serce mam ciężkie, ale... ale... Trzeba mi przygotować się do wystąpienia jutrzejszego, przerobić szczegół pewien w utworze swoim, wyrozumieć do dna utwór cudzy, złożyć wizytę, pójść na ucztę, odpisać przyjacielowi, podziękować wielbicielom, widzieć się z kochanką... Potok rwie i nie daje czasu ani chęci do zastanawiania się nad rzeczą wiadomą, ale dla mnie tak odległą i niepewną w czasie, że prawie niemożliwą. Wiem, że jest konieczną, ale ta świadomość martwo spoczywa na dnie mego umysłu napełnionego po brzegi wirem i szumem niezliczonych zjawisk świata, nieustannych wrażeń własnych...

Nagle wir ustał, szum ucichł, zjawiska świata zniknęły i przestały budzić w istocie mojej echa wrażeń. Leżę w ciszy ustawicznej, bo towarzystwo ludzi jest mi wzbronionym,

i w nieruchomości prawie zupełnej, bo siły nie wracają mi dość długo. Tylko mózg pracuje, zrazu z trudnością, z przerwami, potem coraz łatwiej i ciąglej.

Przede wszystkim zajmuje mię ogromnie ten bakcyłus i to dmuchnięcie wiatru. Ileż razy słyssałem, że jestem wielkim artystą, i jakże mocno w to wierzyłem! Wielki mistrz! wielkość! przedmiot miłości świata! A istotka nieskończenie drobna o mało mię nie pożarła. Podmucha wiatru o mało mię ze świata nie zrzucił. Któż mi teraz powie, co jest większym i silniejszym: ja czy bakcyłus? Podmucha wiatru czy miłość świata? Ten podmucha dotarł mię przez drzwi otwarte przypadkiem. Oto więc czynnik trzeci: przypadek. Nieskończenie mały bakcyłus, przelotny wiatr, bezmyślny przypadek — trójprzymierze, które o mało nie pogrążyło w nicość mojej wielkości. A jeżeli tym razem jeszcze tego nie uczyniło, może uczynić lada dzień, lada rok, albo wyręczy je w tym jaka inna, równie dostojna spółka. Otóż i wielkość! Lada jaki grzybek, gołemu oku niewidzialny, lada jaki sługus głupi czy roztargniony, który swojej łapy dobrze na klamce nie oprze, i — już po niej! A zdarzyć się to może nie wiadomo kiedy, właściwie zawsze: wtedy gdy walczę z trudnościami sztuki w pocie czoła i gdy je zwyciężam z szaloną radością, kiedy smyczek mój jak laska czarnoksiężka czaruje tłumy i kiedy usta moje płoną na ślicznych ustach narzeczonych...

Do tego stopnia przywykłem poczytywać siebie za istotę, że tak powiem, wierchołkową, to jest, u samego szczytu stworzenia istniejącą, że długo nie mogłem zgodzić się z pojęciem, aby żyjątko niesłychanie lichy, u samego spodu świata niewidzialnie istniejące, dzierżyło nade mną prawo życia i śmierci. Zdumiewało mię to i upokorzało ogromnie. Raz na myśl o tym, jak byłem dumny ze swych natchnień i umiejętności, ze swego tytułu twórcy, z całego siebie, zaśmiałem się tak głośno, że pocziwa kobiecina w białym fartuchu mnie-

mała, iż tracę znowu przytomność, i co prędzej posłała po lekarza. Przyszedł, znalazł wszystko w porządku i zapytał: co mię przed godziną tak bardzo rozśmieszyło?

— Mój konsyliarzu — rzekłem — byłem świadkiem widowiska szczególniejszego: sam w oczach własnych malalem, malalem, aż stałem się mniejszym od mikroba...

— A myśmy się przypatrywali panu przez mikroskop? co? — zażartował.

— I w ten sposób przypatrując się, jeszczeście nie mogli widzieć tego, co stawało się we mnie...

— Z panem? — poprawił.

— Nie, we mnie. Chmura zasłoniła słońce, i boję się, że nigdy już nie będzie takim pogodnym i świetnym jak przedtem.

— Majaczenia wzroku i umysłu; skutek wielkiego osłabienia! Zachowuj się pan spokojnie, jedz swój beefsteak, pij wino, a wkrótce będziesz nam znowu tak wielkim, jak byłeś!

Wam, może, ale nie sobie. Beefsteak nie jest plastrem gojącym dla blizny powstałej na mózgu. W kieliszku wina nie utopisz największego w świecie zapytania.

Zapytywałem: czymże będę po tym? Po czym? No, po tym, gdy mię grzybek pożre albo zefirek z ziemi zrzuci. Posiadałem niejaki wyobrażenie o procesie chemicznym przebywanym po katastrofie przez tę część człowieka, która nazywa się ciałem. Na nieszczęście swoje znałem trochę z rozmów i książek różne fazy metamorfozy nieuniknionej i odtwarzałem je wyobraźnią w sposób przerażająco jasny i plastyczny. Po prostu kwadrans, godziny upływały mi na przypatrywaniu się rozkładowi swego ciała w różnych jego stopniach i postaciach, aż nabierałem do samego siebie ohydy graniczącej z szaleństwem. Były to halucynacje chorobliwe i które przejść musiały z powrotem do sił i ruchu, lecz na dnie ich spoczywała prawda, spomiędzy wszystkich prawd najoczywistsza i najwiekuistsza: nieuniknioność śmierci

i w każdej minucie prawdopodobna jej bliskość. Widmo, którego przedtem zaledwie niewyraźne zarysy spostrzegałem, wyskoczyło z głębi perspektywy, chwyciło mię za gardło i krzyczało: „Jestem! Muszę być! Przypatrz się, jakim jestem!“ Przypatrywałem się ze zgrozą jeżącą włosy na głowie, z uczuciem chmury ciężkiej, ciemnej, wsuwającej się do mego wnętrza i kładnącej się zarówno na mózgu, jak na sercu.

A w pokoju hotelowym z amarantowym obiciem było puisto i cicho. Lekarze zabronili obecności osób obcych. Obecność bliskich i kochających byłaby dozwoloną, zapewne nawet pożądaną. Cóż to? Ja, wielki, ukochany i niemal ubóstwiany przez świat, nie miałemże nikogo bliskiego i kochającego? Gdzie Oktawia? Gdzie jest Oktawia? Dlaczego ona...

Po upływie pewnego czasu, jak tonący brzytwy, uchwyciłem się myśli następującej: Dobrze, to wszystko stanie się z ciałem moim. A duch?

Ileż razy słyszałem i sam wymawiałem słowa: natchniony, ognisty, głęboki, twórczy, wielki duch! Co to takiego? Myśli, uczucia, natchnienia moje, nade wszystko pieśni moje, ach, te pieśni, które przeszywały mi mózg, jak błyskawice niebo, i lejąc się spod mej ręki porywały w niebo tylu innych — co to takiego? Czy to także składało się z białka, tłuszczu, kwasów, oddychało tlenem i azotem, miało pochodzenie wiadome, wymierzone, odważone?

Sam nie wiem jak, zapewne pod wpływem wielu czynników, rozstałem się był od dawna z doktrynami religii objawionej, i pojęcie nieśmiertelności duszy było dla mnie zagadnieniem, którego w kierunku żadnym rozwiązać nie mogłem. Przedtem zresztą, ani nad nim, ani nad innymi zagadnieniami tego rzędu nie zastanawiałem się nigdy, choćby przez minut kilka. Potok niósł gałązkę na falach tak wartkich, że nie spuszczała się wcale na dno otchłani. Jednak otchłań była. Samotność i bezczynność trzymały mię teraz nad jej krawędzią; w jej głębie czarne wpijałem oczy osłupiałe, ślepe, nie wi-

dząc nic, zazdroszcząc szalenie tym, przed którymi oświećlała je pochodnia wiary.

Były chwile, w których śpiesznie, rozpacznie chwytałem się myśli, że jednak... jednak może jest w człowieku coś takiego... coś innego niż ciało, jakiś pierwiastek niewiadomy, niepoznany, nienazwany, który nie zginie... Zginąć nie chciałem. Niech tam już ciało! Ale to, co we mnie myśli, czuje, śpiewa, aby zginąć miało, sprzeciwiało się temu wszystko, co było we mnie młodością, twórczością, siłą, żalem, oburzeniem! Doświadczałem takiego uczucia, jakbym wpadał w ogromną próżnię. Była to bezdenna, bezbarwna, cliwa nicłość. Zwłaszcza cliwa, bo biła od niej bezmyślność i bezcelowość, tak wstrętna dla myśli, jak wstrętnymi dla podniebienia bywają płyny nie posiadające żadnego zapachu ani smaku. Poznałem prawdę orzeczenia, że natura ma wstręt do próżni. Moja istota myśląca i czująca nie chciała wpaść w próżnię. Powstawanie rzeczy świadomych siebie, rozumnych, wrażliwych, szczytnych, z tym przeznaczeniem, aby niktęły w brutalnym, głupim, ohydny Nic, wydawało mi się niesprawiedliwością tak olbrzymią i bezsensownością tak niepojętą, że ani pogodzić się z nimi, ani zrozumieć ich nie mogłem.

Lekarz mój, człek z inteligencją i nauką dużą, popatrzysz raz na mnie z niepokojem, zapytał: czy wypadkiem nie dręczy mię jaka troska albo chęć nie zadowolona? Odpowiedziałem, że istotnie, dręczy mię żal wielki nad tym, iż zamiast artystą nie urodziłem się uczonym.

— A toż dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem.

— Wiedziałbym teraz, czy bakcyllus może zjeść wraz ze mną i mój talent.

— Geniusz — poprawił lekarz.

— Geniusz — powtórzyłem. — Otóż wiedziałbym teraz, czy mój geniusz, zarówno jak wątroba, prędzej lub później zmieni się w gazy i sole?

— Ależ, panie kochany, wcale nie wiedziałbyś o tym, tak samo jak teraz nie wiesz...

— Jak to? Gdybym był uczonym? Wielkim uczonym?

— Gdybyś był nawet większym uczonym, niż jesteś artystą, nie wiedziałbyś o tym ani słowa. Nikt o takich rzeczach nie wie. Na takie zapytania odpowiada tylko religia.

Gniew mię zdjął.

— Religia! Szczęśliwy po stokroć, kto ją ma! Ale po cóż ślęczycie nad naukami!

— Szukamy prawdy.

— Skoro jednak nie objaśnia ona tego, co najważniejsze?

— Ważnym dla nas jest słuzenie człowiekowi...

— Którego ostatecznie bakcylus zje albo wiatr zwieje z ziemi.

Doktor był niezadowolonym.

— Mój drogi panie, o tych rzeczach najlepiej jest nie myśleć. To są absoluty niedoścignione, i przypatrywanie się im zbyteczne może umysł najtęższy przyprawić o szaleństwo. Z dala od majestatów wszelkich! Wiekuistość to majestat. Kto próbuje patrzeć w twarz słońcu, oślepnie. Kto nie wołany nawija się pod rękę mocarzowi, może berłem w łeb dostać. Po co? Człowiek jest istotą ograniczoną w środkach swoich i musi mieć do czynienia tylko z rzeczami ograniczonymi. Jesteśmy otoczeni żelazną obręczą tajemnicy i powinniśmy powiedzieć sobie raz na zawsze, że nigdy jej nie przekroczymy. Nie walczy z nieprzezwyciężonym. Mamy i bez tego dość roboty. Jest na świecie mnóstwo rzeczy dostępnych do obejmowania i do deptania. Obejmujmy z miłością, co pożyteczne, depcmy z energią, co szkodliwe. Życie jest faktem, zarówno jak umieranie. Jednostka umiera, ród trwa. Planeta ginie, system planetarny obchodzi się bez niej. Żyjmy i do miary możliwej wzrastajmy. Dźwigniami wzrostu, pośród wielu innych, są nauka i sztuka. Uprawiajmy je. Doskonalamy narzędzia, którymi sporządzamy sobie i innym szczęście

względne, ale nasze, krótkie, ale zapewne jedyne. Oto wszystko. Nic innego nauka nie ma do powiedzenia panu o tym, czegoś tak ciekaw.

Dziękuję! Wyleczyłeś, uczony człowiecze, ciało moje, ale dla duszy nic nie możesz. Nic nie możesz dla tego, co we mnie trwoży się, oburza, nie chce... Gdybyś sto lat przekonywał mię, że powinienem ograniczyć się tym, co względne, ale nasze, krótkie, ale jedyne, nie spełnię tej powinności, bo mam w sobie coś, co bez końca i bez ratunku zapytuje o bezwzględność i pożąda wiekuistości. Szczęśliwy sto kroć, kto tego czegoś nie ma w sobie! Ale któż nie ma? I jam nie miał długo. Ograniczałem się, nie myśląc nawet o tym, że się ograniczam. Lecz wartki potok stanął, gałązka opadła nad paszczę otchłani. Co tam w jej wnętrzu? Boże! Wielki Boże! Co we wnętrzu, co w tych bezdennych dla oka mego głębiach? Nic? Tylko nic? Nie chcę... właśnie tego ze wszystkich sił nie chcę. Dajcie mi Boga, wieczność, nieśmiertelność, bo inaczej, bo jeśli ich nie ma, plunę ze wzdargą i nienawiścią na tę siłę ślepą, głupią, okrutną, która przywołała do życia mnie i mój geniusz, o, mój geniusz przywołała do życia dlatego, aby po chwili trwania przemienił się — w wodór!

Nie myśleć! Nie myśl szczęśliwie, jeżeli możesz; dla mnie to nie podobna. Zbyt wysoko cenilem zawsze pochodnię palącą się w głowie mojej, abym ją gasić miał teraz, gdy wyrzuciła z siebie blask ponury. Nie trzeba było zaczynać. Szczęśliwy sto kroć, kto nigdy nie zaczął o tym myśleć. Czy jest zresztą taki? Może. Co do mnie, skoro bakcyllus sprawił, że zacząłem, muszę, co więcej, chcę, pomimo udręczenia, które życie obrzydza, chcę zanurzać się w myśleniu o nędzach życia — jak w czarnej wodzie...

### III

Wielkie to jeszcze pytanie: czy ten uczony człowiek choćby ciało moje tak wyleczył, abym po tysiącokroć nie zlorzeczył temu, że było leczonym? Bo jeżeli mam nie grać, po tysiącokroć wolę nie żyć. A ręka moja jest chorą. Prawa ręka. Już w czasie choroby miałem błyski pojęcia o tym, że dzieje się z nią coś niedobrego. Teraz doświadczam niepokoju ciąglego, a niekiedy trwogi przeszywającej. Bo to narzędzie moje. Po raz pierwszy zjawia mi się w myśli pytanie: com wart bez tego narzędzia? Po raz pierwszy próbuję zajrzeć w oczy nie artyście, ale człowiekowi. Bo poza muzykiem jest człowiek. Jeżeli muzyk zginie, jaki człowiek pozostanie? Mam przedsmak czegoś niedobrego i nie chcę jeszcze o tym myśleć. Nie, nie, nie. Muzyk nie zginie. Wyzdrowieję przecież. To przejdzie! Co? Rzecz bardzo drobna. Bóle doświadczane w ramieniu i niemożność wykonywania pewnej serii ruchów. Chcę wyciągnąć ramię nad głowę i sięgam nim tylko do wysokości czoła; jest sztywnym i wydaje się skróconym. Nic więcej. Męczarni żadnych. Wprost bagatela, na której, jak na włosku, zawieszonym jest wszystko, co posiadam i czegom wart...

Co się stało? Bagatela. Podmuchi wiatru, ogarniający rękę rozgrzaną, rękę muzyka szczególnie skłoną do chorób pewnego rzędu. Podobno także skutki tyfusu. Takie wielkie przypadki, jak tyfus, często pociągają za sobą takie drobne, jak częściowe sparaliżowanie ręki. Po szczęśliwym przebyciu wielkiego lekarz zaleca, abym lekceważył sobie mały. Z tyfusu

można umrzeć, a zapalenie nerwu w ramieniu — głupstwo! nikt jeszcze z tego nie umarł. Ależ przepraszam! Ja wolę umrzeć... To przejdzie, powtarza lekarz. Ba! gdybym był pewny, ale nauczyłem się już myśleć, że nic na świecie nie jest pewnym. A jeżeli nie przejdzie? Może nie przejść. Może być nawet czymś wcale innym, bardziej nieprzewyciężonym, niż mniema lekarz. Jeżeli więc nie przejdzie? Boże! Boże! Boże! Nie chcę... To gorsze od śmierci! Wolę umrzeć! Wolę umrzeć całkowicie, niż aby ramię moje umarło przy mnie żyjącym. Wolę śmierć, choćby przez nią zatonać miał w nicości klejnot mój najdroższy — dusza moja pieśni pełna!

Ale szalony jestem i trwoga moja jest dziecinną. To przejdzie. Oto już przechodzi. Trochę wysilenia, a podniosę ramię w górę i z dawną giętkością poruszę palcami... Próbuję, próbuję! Nie mogę... Z całej siły wstrzymuję się od płaczu. Gdybym się nie przewyciężał, usiadłbym w kącie najciemniejszym i płakałbym jak dziecko.

Próbuję co godzinę, co kwadrans, wnet po każdym obudzeniu się ze snu. Nie mogę, i przez długie godziny nocne leżę osłupiały ze zdziwienia, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w ciemność. Jak to! Ja grać nie mogę? Cha, cha, cha! Można umrzeć ze śmiechu, takie to nieprawdopodobne. Chwytam skrzypce, prowadzę smyczkiem po strunach... Nie mogę! Zdaje się, że raz głową uderzyłem o ścianę, a innym razem wyrwałem z niej sobie garść włosów.

Na koniec zwierzam się lekarzowi z trwogi i rozpaczę swojej. Czyniąc to siedzę obok niego na kanapce i czuję sam, że jestem dziwnie mały, pokorny, że oczy moje pomimo woli mojej przybierają wyraz błagalny, a głos brzmi jakoś cienie niż zwykle. Jestem pełen rozżalenia ogromnego, a pomimo to śmieję się z samego siebie i prawie pogardzam sobą. Jak można być tak słabym i tchórzliwym! Myśląc tak, błagam o ratunek. Nie wiem nawet sam, jak się to stało, jak i kiedy wy-

szły mi na usta te wyrazy ciche, obfite, gorące, jak modlitwa zrozpaczonego o miłosierdzie boże. Błagam o ratunek.

Lekarz, zmieszany nieco, wzruszony, perswaduje. Ależ to przejdzie! Nigdy nie przechodzi prędko. Czasu i cierpliwości trzeba, kuracji odpowiedniej także. Gdy mówi, wpatruję się w niego, usiłuję czytać w jego oczach, czy wypadkiem nie kłamie, aby mię uspokoić, czy jest zupełnie pewnym tego, co mówi. Zrazu słowa jego leją we mnie balsam kojący, ale potem strzała wątpliwości mię przeszywa. Nie; nie jest pewnym tego, co mówi. Sam wątpi. Oto nawet proponuje naradę lekarską, i jest to dowód najlepszy tego, że wątpi. Nie przejdzie to, nie; widzę teraz jasno, jak przy stu świecach, że nie przejdzie. Ale nazajutrz trzech najznakomitsi w stolicy lekarze oświadczyli po naradzie, że przejdzie. O mało nie wyskoczyłem przez okno z radości. Śmiałem się, ścisnąłem wszystkie ręce, aż trzeszczały, gadałem jak maszyna nakręcona śmieszne rzeczy ze łzami w oczach. Około wieczora schwyciłem skrzypce i smyczek. Ach, jak zagram! Tak długo nie grałem... taka szalona tęsknota do tych tonów, które są życiem moim, wszystkim moim, całym mną... Nie, nie mogę! Ramię krótkie, palce sztywne, ból... Ach, to nie przejdzie! Usiadłem w kącie, przysłoniłem lampę, aby jak najmniej świeciła, i długo w noc przesiedziałem śród zmroku, osłupiały, mały, bezsilny, prawie bezmyślny.

Nigdy przedtem nie przypuszczałem, aby człowiek mógł stać się takim wahadłem zegarowym, tętniącym: tak, nie! tak, nie!, aby mógł stać się stworzeniem tak nędznym, zmalalym, skurczonym wobec swojego niestałego jak wiatr i jak wszystko na ziemi tajemniczego — przeznaczenia!

#### IV

Słyszałem, czytałem, że ludzie odzyskujący zdrowie po chorobach długich z radością niewymowną witają powracające do nich tętna życia i zjawiska świata. Rzecz dzieje się najczęściej na wiosnę lub latem, kiedy słońce świeci na lazurach, kwiaty kwitną, ptaki świegocą, zefirki błogie latają po świecie. Istotę powracającą do zdrowia otaczają istoty inne, zlewające na nią morza miłości, wezbrane od trwogi doznanej, dmuchające, chuchające. I te to bodaj dmuchanie, chuchanie wzbrania przystępu do jej mózgu pytaniom krogulczym i chmurom ciemnym. Więc jak dziecko naiwne wraca na łono życia i wyciąga ręce po jego przysmaki z radością tym większą, im bliższym prawdy było przypuszczenie, że już nigdy kosztować ich nie będzie.

Ze mną inaczej. Mnie powracającego do zdrowia otaczają cztery ściany pokoju hotelowego, pokryte obiciem amarantowym, po którym wiją się jaśniejsze, lecz także amarantowe arabeski. Sprzęty amarantowym aksamitem powleczone, firanki amarantowe u okien, stoły politurowane, zwierciadło w ramach pozłacanych, pozłoty u sufitu, nad oknami, na ścianach. Monotonnie, nudnie, głupio jest w tym pokoju kosztownym i bogatym. Za oknami żółtawa ściana przeciwległego domostwa i zima biała w mieście oszalałym od karnawału. Śnieg biały na dachach, powyżej pasek białego nieba, w dole biały pas ulicy, po której lecą z brzęczeniem dzwonekó roje sanek. Monotonnie i nudnie. Głupio także, bo za

czym tak szalenie pędzą ludzie na tych rojach sanek? Poczekajcie, stańcie na chwilę, popatrzcie, pomyślcie! Czy nie spostrzegacie u bliskiego załomu ulicy, na obłokach, w powietrzu czegoś, czegoś okropnego, a niepojętego, co spadnie najniespodzianie, za gardło was pochwyti i wyrwawszy z wrzącego potoku życia zawlecze Bóg wie dokąd, albo pozostawiając na łonie życia uczyni z was Bóg wie co, lecz wcale nie to, czym teraz jesteście?

Ludzie gromadnie zapisywali swoje nazwiska u drzwi moich, dopóki z rozkazu lekarza były one przed nimi zamkniętymi; a gdy tylko się otworzyły, poczęli wchodzić przez nie także gromadnie. Jakże! Mistrz sztuki muzycznej, ulubieniec ludzkości, klejnot świata! Trzeba go przecież odwiedzać, zabawiać, zapisywać się we wdzięcznej jego pamięci, aby przy spotkaniu publicznie ścisnął nas za ręce, aby zresztą uczucia i starania nasze co prędzej uczyniły go sposobnym do zachwycania uszu naszych.

Grady zapytań, elegie ubolewań, hymny uciechy i nade wszystko, nade wszystko ogromne, do utajenia niepodobne zajmowanie się moją chorą ręką. Ręka! czy być może? Ręka właśnie! Co za traf szczególny i nieszczęśliwy! Ale to przejdzie! Naturalnie, że przejdzie. Nie podobna, aby los był okrutnym aż do przyprawienia świata o stratę tak kolosalną. Jednak co to takiego? jak się nazywa? jak prędko przejść może? Co lekarze mówią o tym?

Tłumne pytania i życzenia tłumne, gorące, szczere, u większości znacznej zupełnie szczere. Pomimo to coś w wyrazach twarzy, spojrzeniach, zgięciach głosów, co mówi wyraźnie, choć bez słów: „Może i nie przejdzie, a jeżeli nie przejdzie, jesteś zgubionym“. „Jeżeli nie przejdzie, szkoda dla świata będzie kolosalna; pal diabli ciebie samego, ale dla świata będzie szkoda!“ „Jeżeli nie przejdzie, to... trzech groszy wart nie będziesz i szukaj sobie gdzie indziej pocieszycieli, w nas ich nie znajdziesz!“ Ci, którzy takie myśli mieli

w oczach i dźwiękach głosów, ubolewali jednak, nie nad moją osobą wprawdzie, jednak ubolewali szczerze. Ale na dnie, na samym dnie kilku par oczu dostrzegłem, pomimo słów niezmiernie tkliwych, zamigotanie radości. Zrazu zadziwiło mię to ogromnie. Cóż złego ludziom tym uczyniłem? Dobrowolnie nie wcale; mimowolnie zaćmiewałem ich, usuwałem na plan dalszy. I nie byli to tylko muzycy, spółzawodnicy moi bezpośredni. Pisarz lub malarz małej sławy nieraz uczuł się zaniedbanym dla muzyką, który miał sławę ogromną, i grę uwielbiając człowieka zniechęcił. Ależ człowiek właśnie był we mnie życzliwy ludziom, nikogo w zaniechanie pogrążyć nie pragnął, niczym zasługom nie zaprzeczał. Co za niesprawiedliwość!

Nie była to niesprawiedliwość, lecz taki punkt widzenia, z którego wobec artysty zniknął człowiek. Wszyscy, nawet najlepsi, najszczerzej życzliwi, myśleli: „Jeżeli talent twój przypadnie, z żalu rozedrżemy szaty, ale ty sam, jako człowiek, wcale nas nie obchodzisz. Nikt z nas nie jest tobie bratem, ani swatem; więc uwielbiamy cię, kochamy jako artystę, a jeżeli przestaniesz być artystą, rzucimy cię w kąć jak łachman znoszony i nikomu niepotrzebny. Jesteś wprawdzie dobrym chłopcem, otwartym, uczynnym, życzliwym dla wszystkich, ale takich jest wielu i jakie losy każdego z nich spotykają, troszczyć się o to nie możemy, mając na karkach swoje własne i tych, którzy są naszymi braćmi lub swatami. Jesteś wprawdzie teraz bardzo nieszczęśliwym; tym gorzej dla ciebie, bo nieszczęśliwy i nudny to — synonim. Wreszcie, nieszczęśliwych na ziemi jest takie mnóstwo, że kto by tam brał na siebie tę beczkę Danaid! Pozostań artystą, kochanku, pozostań wielkim artystą, bo inaczej z całą swoją przeszłością świetną i pocziwością niezaprzeczoną, ze wszystkimi zasługami i całym nieszczęściem swoim utoniesz niebawem jak kropla w fali zapomnienia“.

Że jednak nie zginęła jeszcze nadzieja uratowania arty-

sty, więc przychodzili, radzili, przyprowadzali lekarzy słynnych, znosili z miasta plotki, czytawali mi gazety, grywali ze mną w karty. Panie, przychodzić nie mogąc, przysyłały mi kwiaty i słówka najpiękniejsze na papierkach najmodniejszych. Tylko we wszystkim tym nie było oddechu miłości, tego boskiego oddechu, który wskrzesza zmarłych i podnoszącym się z chorób ciężkich każe chwycić życie z radością niemowlęcia chwytającego pierś dobrej matki.

A Oktawia?

## V

Była na ziemi, w tym samym mieście, istota, która mię kochała. Pierścionek zaręczynowy pobłyskiwał mi na palcu wielkim brylantem. Dzień ślubu naszego był wyznaczonym. Kochaliśmy się od roku i na zawsze.

Piękna blondynka z czarnymi oczyma, z kształtami i rysami greckiego posągu, a duszą pełną czułości, słodyczy, miłości dla wszystkiego, co dobre, prawdziwe i piękne. Pierwszym łącznikiem pomiędzy nami stała się muzyka moja, lecz potem, o Boże, ileż znaleźliśmy innych! Ta rzecz pierwotna, którą jest pociąg zmysłowy, i jednostajność uniesień dla wszystkiego, co dobre, prawdziwe i piękne, i jednostajnie wielka miłość dla muzyki, i doskonała odpowiedniość towarzyska. Bo jeżeli ona była córą rodu przyozdobionego klejnotem herbowym, jam zdobył sam sobie klejnot sławy; jeżeli ona posiadała majątek niejaki, moje skrzypce były fortuną wielką. Więc papa i mama byli zadowolonymi, a my... ach, myśmy przebywali u samych wrót nieba! W buduarze, który obok salonu wspaniałego wyglądał jak gniazdko zaciszne, jakie rozmowy długie i zgodne, jakie szepty krótkie, lecz rozkoszne, jakie zatapianie się oczu w oczach i jakie... pocałunki! Cóż dziwnego? Miałem naturę artystyczną, trochę despotyczną, niepoohamowaną, a ona była słodką jak gołąb, zakochaną jak Ofelia. Przy tym zaręczyny nasze odbyły się publicznie i hucznie, ślub odbyć się miał wkrótce...

Więc gdym zapadał w otchłań, przywoływałem ją głośno

na pomoc i pociechę; a gdy wychylałem się z otchłani, zdumiewało mię, że jej nie widzę. Miałem nie pojęcie, ale uczucie, że jej obecność musi być nierozłączną z moim cierpieniem. W majaczeniach gorączkowych brałem za nią pocziwą kobiecinę w białym fartuchu; z każdym powracającym błyskiem przytomności powracało mi pytanie: dlaczego jej tu nie ma? Dlaczegoż koniecznie być tu miała? Nie rozumowałem, ale czułem. Istota, która po wielekroć i na wszystkie tony uczuciowej harfy powtórzyła, że mię kocha nad świat, nad życie, nad siebie, która omdlewała z upojenia przy każdym dotknięciu smyczka mego do strun i dłoni mojej do jej ręki, ta istota, która z radością nieopisaną przyrzekła połączyć losy swoje z moimi losami, nie jest ze mną wtedy, gdy ja lada chwilę mogę zniknąć z tej ziemi na zawsze, gdy żadna godzina nie może upływać jej w pewności, że jeszcze jestem! Nie rozumowałem, nie szeregotałem motywów i wniosków, ale w stanie głuchej świadomości istniały one we mnie i z tajemniczych głębin duszy, do których nie wnikają prawa ludzkie, podnosiły uczucie zdumiewającego przeinaczenia się prawa natury. Potem już zacząłem rozumować, myśleć, przypominać — i przypomniałem sobie jedno wielkie prawo ludzkie, które zawiera się w dwóch malutkich wyrazach: nie wypada!

Zapomniałem. Jakim sposobem zapomnieć o tym mogłem ja, który przecież sam przez życie całe podlegałem temu prawu i poniekąd straż nad nim trzymałem? Jednak zapomniałem, i było to proste. Umysł mój tak silnie uderzonym został przez rzeczy ogromne, że drobiazgi z niego wypadły, a w zamian utworzyło się w nim ściśle połączenie dwu równie ogromnych rzeczy: śmierci i miłości. Wydało mi się, że one tylko są potęgami równymi sobie i jedynymi prawdami niezawodnymi, że tylko prawo miłości wynagradzać może człowiekowi tę krzywdę niesłychaną, którą wyrządza mu prawo śmierci. Tymczasem — oto co się stało! Prawo śmierci o mało

nie skruszyło mię na proch, a prawo miłości skruszyło się samo przed dwoma słówkami: nie wypada!

Skromność niewieścia, ostrożność przed obmową. Tak, tak. Słusznie. Długie sam na sam w gniazdku zacisznym, gdy był zdrów i wesół, skromności nie obrażały, lecz obraziłyby, gdym cierpiał na łożu śmiertelnym. A gdybym umarł, dotknięta pozorem niesławy mogłaby nigdy nie zostać niczyją żoną, lub zostać nią nieprędko, gorzej, niżej... Słusznie. Jakkolwiek kochanemu grozi śmierć, kochający musi przecież myśleć o sobie, myśleć o tym, że ktoś kiedyś zniknionego zastąpi, i o tym także, aby temu zastąpieniu nic nie przeszkodziło. Raz jeszcze: słusznie, rozsądnie; tylko że to wszystko tworzy mieszaninę octu i lukrecji, które odbierają smak do miłości. Miłość i „nie wypada“ — para taka sama, jak geniusz i bakcylus. Tu i tam nieskończona małość zjada nieskończoną wielkość. Jakże mi zimno, pusto, nudno!...

Co to? List od niej! Właściwie liścik mały, pachnący. Dotykając jego powierzchni atlasowej mam złudzenie, że dotykam jej ręki, i czuję się mocno wzruszonym. Zarazem doświadczam wyrzutów sumienia. Moja biedna, droga, niesłusznie oskarżona! Niegodziwcem jestem! Jakże mogłem zapomnieć, że kobiety w jej wieku i położeniu są zależnymi od woli innych? Pragnę na klęczkach błagać ją o przebaczenie za to, że w sercu moim mógł podnieść się głos oskarżający o małość, wówczas gdy była tam tylko boleść. O, boleść ogromna, o której pewnie pisze, i miłość, także ogromna, której wyrazy, skromne jak ona, lecz i szczere jak ona, znajdę na tej kartce. Zwlekam otworzenie listu; cieszę się, pieszczę się, odżywam nadzieją, co mówię! pewnością szczęścia. Jednak palą mię także niepokój i pożądanie, więc rozrywam kopertę, czytam.

„Panie!“ Co to jest? Nazywa mię panem? Ależ posiadam sporą paczkę jej listów, w których nazywała mię Juliuszem. I nie tylko w listach tak mię nazywała. Teraz pisze:

„Panie!“ Dalej słowa nieporównanie grzeczne, z odcieniem przyjacielskości dla człowieka, a wyraźnym uwielbieniem dla artysty. Przy końcu życzenia jak najprędzszego powrotu do zdrowia.

Co to wszystko znaczy? Skąd wziął się pomiędzy nami ten ton ceremonialny? Czy nic więcej tu nie ma? Nic. List kończy się na drugiej stronie arkusika. Przypatruję się trzeciej, czwartej i choć widzę, że puste, przypatruję się jeszcze. Są przecież takie płyny, którymi skreślone pismo jest niewidzialnym, i występuje na jaw tylko przed tym, kto zna tajemnicę jego wywoływania. Co ja zrobię, co zrobię, skoro nie znam tej tajemnicy? Jakże wyczytam to, co ona tu płynem czarodziejskim napisać musiała... musiała?

Wkrótce zaśmiałem się z siebie i swego czarodziejskiego płynu. Wcale inne czarodziejstwo zajść tu musiało. Zaczynałem rozumieć zagadkę, gdy ojciec uwielbionej mojej wyjaśnił mi ją do reszty. Dobry człowiek, odwiedzał mię teraz prawie co dzień. Jakże nie odwiedzać przyszłego zięcia, który przebył chorobę ciężką i jest, w dodatku, człowiekiem sławnym? Meloman umiarkowany, ale człowiek dobry, łagodny, jowialny, bez pychy i bez złości. Lubiliśmy się bardzo. Miał zwyczaj mawiać, że posiadam trzy rzeczy szczerzłote: smyczek, serce i humor. Byłem mu wdzięcznym serdecznie za to, że bez oporu najmniejszego oddawał mi Oktawię; chwilami ogarniała mię tkliwa radość, że będę miał ojca, bom swego nie pamiętał. Bardzo wczesnie odumarli mię rodzice. Rodzeństwa nie miałem wcale, krewnych niewiele i dalekich, a serce głupie, czułe, pragnące bliskich, swoich.

Teraz, po liście Oktawii, gdy ten zacny, kochany człowiek, prawie już ojciec mój, przyszedł do mnie, spojrzałem na niego wzrokiem zaostrzonym przez podejrzenie i niepokój. Był doskonale uprzejmym, najżyczliwiej przyjacielskim, tak jak i liścik Oktawii, ale jak liścikowi brakowało mu paru nut, które przedtem były, a teraz zniknęły bez śladu. Mniej

niż przedtem poufalości, chęć zwiększenia przestrzeni pomiędzy mną i sobą o parę kroków, tylko o parę kroków, ale zwiększenia. Taka sama, jak w liściku Oktawii, oględność i powściągliwość. Gawędka swobodna, ale ze wsteczną myślą wyglądającą przez niektóre słowa, chwilowe znierruchomianie się wzroku i przebieranie po stole palcami o paznokciach wyciętych w regularny migdał. Wiedziałem już dawniej, że w ten sposób przebierał po stole palcami wtedy tylko, gdy czuł się zakłopotanym. Na koniec, po godzinie rozmowy, wsteczna myśl wysunęła się naprzód i wyraziła się w zapytaniu: „Czy nie myślę, tak jak on, że ślub nasz z Oktawią odłożonym być powinien na kilka miesięcy, pół roku, na rok może, słowem, do zupełnego wyzdrowienia mego?“ Miałem zadziwić się, bom już przecie wyzdrowiał był zupełnie, lecz zdziwienie moje zatrzymanym zostało w drodze przez jego spojrzenie na moje prawe ramię. Było to spojrzenie mimowolne, błyskawicznie szybko powściągnięte, lecz jak błyskawica oświeciło przede mną mózg jego. Jak w książce otwartej wyczytałem w tym mózgu oględność ojcowską. Ale miał też lzy w oczach. Obok oględności ojcowskiej był w nim żal przyjacielski i wypychał mu z gruczołu łzawego kroplę wilgoci. Niemniej do zapytania uprzedniego dodał uwagę, że w chwili obecnej termin ślubu mojego z Oktawią nie może, stanowczo nie może być stale określonym.

Zrozumiałem wszystko — i pierwszym popędem moim było powiedzieć, że termin ten określam wyrazem: nigdy! Lecz uczułem w sercu ból nieznośny i coś krzyknęło we mnie wielką tkliwością dla tej, którą kochałem, i wielką nad nią litością. Ona zależna od woli człowieka tego, ale przecież jest sama człowiekiem! Może pragnąć, żałować, rozpaczać, może też walczyć. Ona tu tylko rozstrzygać powinna, nikt inny, najmniej duma moja. Duma moja, zraniona, jak mgła pierzchnęła przed myślą o jej boleści i przed własnym moim bólem nieznośnym, obudzonym przez myśl rozstania się z nią

na zawsze. Prosiłem o odłożenie postanowienia do pierwszego mego widzenia się z Oktawią, a w kilka godzin potem wesóło śmiejąc się zapytałem swego lekarza:

— Powiedz mi, konsyliarzu, tylko tak... otwarcie, co nagaadałeś o mnie tam... wiesz, gdzie?

Wiedział, o czym mówiłem, i zrazu zmieszał się ogromnie. Potem zaczął upewniać, że to nie on wcale, tylko profesor X. głośno i przed wszystkimi utrzymuje, że prawej ręce mojej grozi atrofia mięśni i że prawdopodobnie nigdy już nie będę mógł grać na skrzypcach. On, mówiący, jest wcale innego zdania. Sprzeczał się o to ze sobą przed wielu osobami, a zdanie profesora obudziło znać więcej ufności, bo oto co się stało!

— Cóż się stało? — zapytałem.

— No, nie wiem; pogłoska jest może fałszywą... przepraszam, że o niej wspominam.

— Jaka pogłoska?

— O zerwaniu...

Wiem już, wiem. Więc już rozeszła się ta pogłoska! Vox populi, vox Dei. Naturalnie; mój talent, czy tam geniusz, to jedna rzecz, a ja sam — druga. Z nim jestem klejnotem ludzkości, bez niego łachmanem do wyrzucenia za okno. Złote serce i złoty humor straciłyby całą wartość, gdyby je opuścił złotodajny smyczek. Z tą mennicą byłem partią wyśmienitą; gdybym ją utracił, spadłbym pomiędzy robaków, którym od gwiazd — wara! Więc ślub odłożyć do pory, w której mięśnie mojej ręki zadecydują: król albo cygan. Świat rozumiejąc i zatwierdzając tę wielką prawdę z góry już głosi, że nieszczęście moje będzie nożem, który odetnie ode mnie kobietę kochającą i kochaną. Vox populi, vox Dei.

Ale zobaczymy jeszcze, jak z tym będzie. Jest tu jeszcze oprócz ojca i świata sędzia jeden, zapomniany, lecz najwyższy: serce Oktawii! O, to serce dziewicze, przeczyste, kochające, nie mnie tylko, ale wszystko, co dobre, prawdziwe i pię-

kne, to serce anielskie, musi być także wiernym i musi być mężnym. Ono nie cofnie się przed przyszłością, która spomiedzy sławy, bogactwa i mnie może obdarzyć je tylko mną! Jeżeli spotka mię to nieszczęście, którego samo przypuszczenie wtrąca istotę moją w konwulsje bólu i trwogi, jej ręka błogosławiona łać będzie na ból i trwogę balsamy kojące; jej miłość święta, bo wzniosła, sprawi cud: niemoc przemieni w moc niezłomną. Wykonywać nie mogąc, tworzyć będę. Muskuly ramienia ulec mogą atrofii, ale nie duch mój. Duch mój niewiadomego pochodzenia i końca, rozlany w całym mnie, śpiewny, twórczy, pozostanie żywym, jeżeli ty, Oktawio, pozostawisz w nim żywą wiarę w tę rzecz wielką, świętą, którą jest wielka i wierna miłość kobiety!

## VI

Od promieni zachodzącego słońca złożone ramy obrazów i zwierciadeł zapalały się gdzieniegdzie migotliwymi iskrami; obicie sprzętów rozlewało barwę turkusową dokoła ścian białych, skropionych gęstym deszczem złoceń. Pod słupem z różowego marmuru, na którym kapał kryształowymi soplami wielki świecznik pozłacany, stały sprząciki z hebanu, fantazyjne, małe, pozłacane, wtulone w gęstwinę fikusów, jak gniazdko przygotowane dla pary gruchającej. W salonie wielkim kątek ustronny. Serce uderzyło mi z gwałtem tamującym oddech, gdy od progu spojrzałem na mebelki hebanowe pod słupem różowym i gęstym fikusem. Wspomnienia związane z nimi rzuciły mi żar do twarzy i piersi. Stałem tam i czekałem chwilę. Było rzeczą umówioną, że spotkamy się sam na sam. Nie miałem cienia wątpliwości o sposobie, w jaki się spotkamy. Ręce moje płonęły od pragnienia jej rąk drogich. Jedno spojrzenie i jedno słowo: „Moja!“, a wszystko będzie wynagrodzonym i wskrzeszonym. Niech tam po wszystkich kątach ziemi śmierć czyha na ludzi i na mnie; przed moimi oczami zasłoni ją postać najdroższa. Niechaj traf głupi, brutalny, okrutny królewskie ramię moje przemieni w nędznego trupa; pieśń moja wybuchnie z siłą dotąd nieznaną z najsilniejszego uczucia wdzięczności dla tej wiernej, uwielbienia dla tej świętej...

Idzie, zaraz wejdzie. Tak dobrze znam krok jej prędkiej i lekki, tak przywykłem był słyszeć go wtedy już, gdy nikt jeszcze nie słyszał.

Weszła prędko, lekko, zgrabna, wykwintna od podeszewki pantofelków do najcieńszego z jasnozłotych włosów, malownicza, ponętna w każdym ruchu, z głową trochę spuszczoną. Niecierpliwe ręce moje wyciągnęły się po jej ręce; natura artystyczna i miłość namiętna wybuchnęły.

— Oktawio! Oktawio! jakże dawno... dawno...

— Proszę, niech pan usiądzie...

Z głową trochę schyloną, zarumienioną, nie widząc wyciągniętych do niej dłoni, wskazywała mi krzeselko hebanowe. Usiadłem. Ona mówiła. Miała lat dwadzieścia trzy, była już bardzo wprawną w przyjmowaniu gości. Od wzruszenia i zakłopotania powieki jej mrugały niekiedy prędko, prędko, jak przestraszone motyle, raz usta zadrżały, głos załamał się w gardle na sekundę. Ale po sekundzie znowu bawiła gościa. Mówiła rzeczy bardzo uprzejme, pochlebne, o tym, w jaką trwożę choroba moja wprawiła ją, jej rodziców, świat cały, ile i co pisały o niej gazety rozmaite, jak wszyscy są wdzięcznymi lekarzom za to, że kuracja ich okazała się skuteczną. Wszystko to powiedziałwszy umilkła, i ja milczałem. Miała trochę, może i wiele zamętu w głowie, więc pomimo wprawy w bawieniu gości nie wiedziała już, co mówić; a ja nie chciałem. Po cóż? Wiedziałem już wszystko. Przez parę minut siedzieliśmy na hebanowych krzeselkach, pod fikusem, milcząc. Dziwne wrażenie! Było mi zupełnie tak, jak przy konającym. Tylko co był, tak długo był, tyle nam przypomina, tyleśmy chwil z nim spędzili, i oto wnet go nie będzie! Już ostatnia minuta, i zaraz go nie będzie. Skona. Zniknie. Jednak spojrzenie moje, jak mucha w pajęczynie, uwięzło w jej włosach, które zawsze miały dla mnie urok złotych strun harfy. Ilekroć dotykałem ich dłońią lub ustami, sto strun brało we mnie akord taki, że przestawałem słyszeć świat i samego siebie. Teraz kładłem tylko wzrok na tej harfie mojej, ale zbuntowały się od tego wszystkie moje zmysły. Nie wiedząc jak i kiedy, wziąłem jej rękę.

— Czy podobna? Oktawio... pomyśl... przypomnij sobie... Waleczmy. Spróbuj walczyć. Czy podobna, abys z woli własnej... bez walki... Czyż to być może?

Podniosła na mnie wzrok oszklony wilgocią, i trochę blada, wyraźnie jednak powiedziała:

— To być musi.

Wówczas powstał we mnie demon zemsty i ze spokojem doskonałym zapytał:

— Co być musi?

Ach, jakże była zmieszana i jak cieszyłem się jej zmieszaniem! Było to tak trudnym do powiedzenia, że nie nie mówiła. Więc ja zacząłem ze spokojem wielkim i z uśmiechem:

— Jest przypuszczenie, że Kalif utraci słowo tajemnicze, które przed nim otwierało Sezam. Nie należy mniemać, aby ten Sezam zawierał tylko złoto i perły, bo znajdowały się też w nim i laury. Kalif bez pereł, złota i laurów przemieni się na fellaha kopiącego ziemię. Więc z podaniem mu ręki do przechadzki długiej zaczekajmy, aż się rozwiąże zagadka jego losu. Tym jest to, co być musi.

Nie skończyłem jeszcze słów tych, gdy ogarnęło mię zniechęcenie śmiertelne. Po co ja to mówię? Po co w ogóle ja, ona? Po co wszystko? Wstałem z hebanowego krzeselka i złożyłem ukłon ceremonialny, głęboki. Znalazłszy się u drzwi salonu postyszałem w jego głębi łkanie tłumione. Nie obejrzałem się. Placze. Cóż mię to obchodzi? Nic wcale nie obchodzi mię na świecie. Niczego nie chcę i tylko jestem zmęczony, zmęczony...

Kiedym wyszedł na ulicę, skłon dnia zimowego rozpościerał się nad miastem, szary, bez żadnego światła i bez żadnej iskry nigdzie. To, czego doświadczałem, porównać by można do przestrzeni szarej, nie pobłyskującej żadnym światelkiem ani żadną iskrą. Zimno, pusto, monotonna i nudno. Żadnego gwałtu uczuć; przeciwnie, omdlenie ich tak głębokie, że do śmierci podobne. Krok mój był ociężałym, ramiona zwisały

bezsilnie. W głowie żadnej myśli ciągłej, tylko płatanina krótkich zapytań i twierdzeń: „Co się stało? Po co? Nie chcę już. Niczego nie chcę“. Było to kamienne, prawie bezmyślne zniechęcenie, a na dnie szlochał ciągle dzieciak, któremu rozbito zabawki wszystkie i nastawiano strachów.

Strachami były: pustka, nicość, nietrwałość, bezcelowość. Bo i jakaż to bańka mydlana pękła znowu przede mną? Tęcze i brylanty przemieniły się w mydliny. Taką jest miłość, i w tym właśnie gatunku, który przyozdabiają i poetyzują czynniki i dźwignie duchowe? Znałem inny, gardząc nim i sobą także, ilekroć napiłem się jego mętów. W zamian uczucie, które spleta w akord nie tylko ciała, lecz i duchy ludzkie, a przez dolę i niedolę towarzyszy im do grobu, poczytywałem za czyste i święte... A było tak, że pomimo mnóstwa pustot, zboczeń i skaz życia, bardzo nie oglądającego się za siebie i nie wglądającego w siebie, miałem na dnie wielkie pragnienie czystości, świętości i dopatrywałem ich w tym uczuciu. Dopatrywałem w nim nie tylko szczęście, lecz i odkupienie.

Tymczasem było to biedactwo bardzo niepyszne, które jak pylina zemknęło przed pierwszym wiatrem lub jak nędzarz w łachmanach skonało mi w rękach. Skonało i rozłożyło się na pierwiastki zupełnie tak, jak się to dzieje z umarłym ciałem. Bo istoty abstrakcyjne umierają i ulegają rozkładowi zarówno jak materialne, tylko że pogrzeby ich odbywają się w ciemnościach, gasząc po drodze pochodnie ducha...

Uczucie moje umarło i jednocześnie zgasła wiara w istnienie uczuć mocnych i świętych. Nad utratą Oktawii nie rozpaczalem, prawie nie myślał o niej. Dzieciak siedzący w sercu, pomimo chłosty zadawanej mu przez umysł, szlochał coraz głębiej nie po kobiecie, ale po uczuciu. Śmierć uczucia przebiegała mię od wierzchołka czaszki do palców stóp strumieniem zimna, które przemieniało lzy w sople lodu. Niczego nie chciałem. Ponieważ nie było na ziemi nic trwałego i pięknego, więc po cóż czegokolwiek chcieć? Jed-

nej tylko jeszcze rzeczy pragnąłbym z całej siły, gdybym nie wiedział, że mieć jej nie mogę. Pragnąłbym grać. Ale nie mogłem. Wziąłem do rąk skrzypce, dotykałem strun z tęsknotą, z pieśczętą, przypominałem im w myśli chwile ubiegłe wspólnie, zapytywałem ich, czy już nigdy... nigdy... i nagle krople duże, palące zaczęły mi padać z oczu na struny... Zawstydzilem się swoich łez i co prędzej ułożyłem skrzypce na zwykłym ich posłaniu. Znowu głupstwo! Czego rozpaczać i płakać? Gdyby nie ta niemoc ręki, cóż by było? No, pograłbym jeszcze rok, dwa, dziesięć, podbilbym jeszcze serca dziesięciu, stu Oktawii — a koniec zawsze jeden: umrzeć muszę i sto Oktawii nie warte są stu dźwięków moich skrzypiec. Czego rozpaczać i płakać, skoro wszystko jest kwestią optyki? Śmierć, która się wydaje tak oddaloną, że prawie niepodobną, naprawdę siedzi sobie w tym kącie pokoju, i w tym, i w tamtym, i w każdej piędzi powietrza, którym oddycham, i w każdym powiewie wiatru. Oktawie, które z daleka wydają się tak pięknymi, że prawie aniołami, z bliska są sobie, ot, takimi zwyczajnymi kokotami: ile zapłacisz? I kto więcej zapłaci? Bo rzecz cała redukuje się do tego; należy widzieć to jasno i rozsądnie, że miłość wszelka, na nizinach i na szczytach, redukuje się do tego: ile zapłacisz?

Nagle przez okno, u którego stałem, zobaczyłem w ostatnich światłach dnia coś takiego, co mną wstrząsnęło niespodziewanie i silnie. Na chodniku przeciwległym kobieta młoda, wątła, ani ładna, ani szpetna, ubożuchno wyglądająca. Dokoła szyi kornierz popielatego futerka, czarny kapelusik nad watkoczem bardzo prostym i bardzo złotym. W całej postaci wątłość i cisza cienia. Gdym ją spostrzegł, szła szybko, lecz naprzeciw okien moich stanęła i ku tym oknom twarz podniosła. Chociaż przechodniów prawie wcale nie było, stała przy samej ścianie, jakby lękała się stanąć na czyjejs drodze. Twarz jej widziałem dość dokładnie i poznałem niezawodnie. Rok upłynął, może więcej, odkąd spostrzegłem ją

był w sali dusznej, tłumnej, pospolitej, modlącą się do mnie oczyma i rękoma splecionymi. Teraz wyrazu jej oczu dojrzeć nie mogłem, ale odgadywałem go tak samo, jak dziury w rękawiczkach okrywających ręce spuszczone i trzymające zwój papieru. Były to zwinięte nuty. Stała przez parę minut i patrzyła na moje okna. Musiała wiedzieć, że tu mieszkam, że miałem umierać, może wiedziała i o tym, że szczęście moje umarło, bo ludzie sławni żyją na rynkach. W tym zatrzymaniu się na chodniku i patrzaniu na okna moje był żal, niepokój, troska... jakaś miłość daleka, bezinteresowna, utajona, od której leciała woń, jak od kwiatu niewidzialnego. I takie to było biedne, skromne, ciche... z innego świata niż ja i wszystko moje, zupełnie z innego... Tylko zwój nut był łącznikiem tych dwu światów. Rzecz dziwna, ale prawdziwa: spod gruzów strzelił promień, spod lodu trysnęły iskry. Ogarnęła mię sympatia nagle, mocna, litość, wdzięczność, dziwna tkliwość. Kto ona jest? Kto ona? Pójdę, dogonię, zapytam, powiem jej wszystko, jej powiem wszystko!... Skoczyłem i już jedną ręką chwytałem kapelusz, drugą futro, gdy u drzwi rozległo się kilka głosów.

— Czy przyjmujesz, mistrzu, bandę wielbicieli, którzy przychodzą, aby cię rozerwać?

— Z radością. Nie mogliście przybyć bardziej w porę.

Nie mogli przybyć bardziej nie w porę; z radością byłbym ich zepchnął ze wschodów. Ale człowiek taki, jak ja, i — prawda to dwa bieguny.

Rozrywaliśmy się od zmierzchu do świtu. Pokój z amaranowym obiciem od posadzki do sufitu pełen był lamp i świec, dymu cygarowego, pyłu kredy unoszącego się znad stołów kartowych, rozmów, dowcipów, anegdot, śmiechu, wystrzałów butelek odkorkowywanych, brzęku metalu o porcelanę. Grałem w wista i bakarata, rozmawiałem, śmiałem się, piłem szampana, jadłem ostrygi i jarzabki. Jak spali tej nocy hotelowi sąsiedzi moi, nie wiem; najpewniej nie spali wcale,

lecz nikt nie śmiał przerywać zabawy huczącej w mieszkaniu wielkiego artysty. Jeszcze jedna korzyść z mojej wielkości: nikt nie śmiał przerwać mi orgii. Dużo po północy wrzawa wzdęła się do grzmotu; banda wielbicieli piła zdrowie moje i z okrzykami, wśród których najgłośniej huczał szampan, wzniosła mię na rękach prawie pod sufit. Śmiałem się jak szalony, dziękowałem, całowałem, przyrzekałem wdzięczność i przyjaźń do grobu; plotłem dowcipne głupstwa, bawiłem się wyśmienicie, byłem pijany...

Potem zrobiła się cisza wielka. Wszyscy powychodzili; w mgłę pyłu i dymu jedna tylko dopalająca się świeca oświetlała sprzęty porozsuwane, posadzkę poplamioną, karty pomięte, kredy połamane, naczynia z resztkami jedła, zastygłe krople stearyny, małe strugi rozlanych trunków. W powietrzu z pyłem i dymem łączyły się wonie mięsiv i wina. Uf, jak duszno i — jak brzydko!

Cisza prawie grobowa po wrzawie prawie piekielnej obudziła mię ze snu. Pfu, jaki brzydki sen! Teraz gdy minął, mara jego, w postaci wyziewów napełniających pokój, chwyciła mię za gardło i krztusiła tak, jakbym tonął w fali eucznącej i brudnej. Przeglądałem tę falę jasno, na wskrós. Można by mniemać, że jakaś lampa zapaliła się we mnie i oświetliła kupę śmieci. Od lat wielu często spędzałem nocę w sposób podobny bez cienia domysłu, jakimi one były. Ta noc stanęła przed majestatem wielkim i groźnym; dlatego dostała oblicza poczwary. Myślałem, że przed kilku zaledwie tygodniami w tym samym pokoju o mało nie stał się wielki i groźny akt śmierci, że przed kilku zaledwie godzinami zaszła tu niemniej zadziwiająca śmierć uczucia. Czy podobna, aby ten, kto raz oko w oko spotkał się z tą wielkością i z tą grozą, mógł pamięć o nich topić w orgii? Więc czymże jestem? Czegom wart? Jak żyję? Po co żyję?

W ciszy głębokiej rozległy się dźwięki zegara miejskiego, basowe, przeciągłe, oznajmiające poranną już godzinę. Wsłu-

chiwałem się w nie jak w uroczyste, odległe wołania czegoś dalekiego: czasu? przestrzeni? gwiazd nikuących? Boga? Kto mię woła? Dokąd? Nie wiem. A jednak od ziemi i nieba woła mię ku sobie coś wiecznego, nieskończonego, nieskażonego. Uczułem tęsknotę palącą, rwącą... rzuciłem się ku skrzypcom. Oparłem o pierś skrzypce i podniosłem smyczek; pieśń górna i chmurna biła we mnie skrzydłami jak orzeł w klatce. Trochę tylko, trochę podniosłem ramię ze smyczkiem, i więcej nie mogłem. Przesunąć go po strunach w całej długości nie mogłem. Palcami przebiec po strunach nie mogłem. Boże wielki! Może to już atrofia!... Może już nigdy... Zatrzaśkały się przede mną ze stukiem przeraźliwym wrota ideału mego... Był mi jedynym. Innych nie mam, nie znam, żadnego już nie mam, takim... wielki!

Usiadłem w kącie pokoju, w najgłębszym kącie, twarz zakryłem dłońmi i cały zanurzyłem się w jednym pragnieniu. Pragnąłem, aby w tej chwili złośliwej i czarnej był przy mnie ktokolwiek dobry, łagodny, jakaś istota mała z sercem wielkim, która by mileżąc wzięła w dłonie głowę moją i przy swej piersi uciszyła jej burzę. Nikogom takiego nie miał na ziemi. Byłem sam. Wielkość moja była samotną. Uwielbiony przez świat cały, byłem zupełnie sam. Artysta posiadał serce mnóstwo, człowiek ani jednego. Artysta posiadał sztukę; człowiek nic. Gdy pomiędzy artystą i sztuką stanęło nieszczęście, co pozostało człowiekowi? Wielkość? Nie; to artysta był wielkim; człowiek nie dbał o to, jakim był, ani jakim jest przeznaczenie jego, ani co miał z sobą na drogę pełną jam, z jedną najgłębszą u końca. Jaki to głos tylko co wołał? Kto wołał? skąd? do czego? Nie wiem, nie wiem. To tylko zaczynam wiedzieć bardzo jasno, że moja wielkość była bardzo małą. Przestraszyła ją śmierć, sparaliżowała atrofia mięśni, otruła kobieta, w brudnej wodzie wykapała orgia. Piedestał skruszył się, siedzę sam jeden, skurczony, malutki, patrzący w swoje oczy, które odbijają się w zwierciadle, zapa-

dłe, osłupiałe, przerażone, i widzę jasno, jasno, że wielkimi na świecie są tylko trzy rzeczy ludzkie: nieszczęście, niewiedomość, błąd. Nieszczęście swoje do dna znam. Ale czegoż ja nie wiem? Jaki mój błąd?

Znowu wołanie dalekie, wysokie. Głos zegaru: raz, dwa, trzy, cztery... Kto woła? Kto tam woła? Ziemia? Niebo? Bóg? Ojczyzna? Ludzkość? Po co? Co mam czynić? Gdzie ratunek? Dokąd iść?

Nie wiem.

# BRACIA

„Błogosławieni cisi, albowiem  
oni posiadą ziemię“.

*(Ewang. u św. Mat. 5, 10).*



## I

W domu wiejskim, starym i dość obszernym, w salce jadalnej z umeblowaniem skromnym, kilka osób otaczało stół nakryty do obiadu porządnie, ale skromnie. Gospodyni domu, Sabina Horniczowa, siedziała pomiędzy córką dorastającą i siostrą, Rozalią Irską, naprzeciw męża i małego syna. Rozalia, panna prawie czterdziestoletnia, ale jeszcze piękna, wyglądała jak chmura. Są różne rodzaje chmur, z których każda sprawia wrażenie inne. Ta nie zapowiadała burzy groźnej i przemijającej prędko, ale deszczyk długi, nudny, którego kropla każda sprawia na skórze wrażenie szpilki. Jednak osoba ta była niewątpliwie piękną i nie była ani głupią, ani gminną. Jej kibić kształtna, ruchy, ubranie ciemne i skromne posiadały cechę dobrego smaku, a czoło zarys myślący i szlachetny. Tylko że w tej chwili czoło to przerzynała zmarszczka poprzeczna, brwi czarne były ściągniętymi, a usta zarysowywały linię krzywą. Nie był to wyraz gniewu ani smutku, ale wprost złego humoru. Rozalia była w złym humorze, co czyniło ją na przemian grobem milczącym, boginią wyniosłą lub osą tnącą żądełkiem na prawo i lewo. Bijący od niej kwas był tak mocnym, że zakwaszał powietrze. Z żółtości cery, która pod kruczymi włosami powlekała piękne jej rysy, z chudości rąk podłużnych i delikatnych, można było odgadnąć zdrowie, podkopane chorobą chroniczną, nie grożącą życiu, lecz długą i nudną.

Sabina Horniczowa była zupełnym przeciwieństwem siostry. Mała i szczupła, miała pozór kurki łagodnej, lękliwej

i stroskanej. Twarz jej biała i różowa była jedną z tych, które dają dziewczętom młodziutkim podobieństwo do róż polnych, ale gdy zwiędną, przypominają obrazki spłowiałe i pospolite. Tylko błękitne oczy zachowały jeszcze jakąś piękność, polegającą na wyrazie słodczy wielkiej, z którą teraz łączyło się zmieszanie i złknięcie, ilekroć spojrzała na siostrę lub męża. Widać było, że zachmurzenie obojga sprawiało jej przykrość dotkliwą i że pragnęła mu zapobiec, ale nie mogła. Bo Zenon Hornicz był także zachmurzonym, chociaż zupełnie inaczej niż Rozalia. Ona była kwaśną i pogardliwą, on smutnym i obojętnym. Smutek i zobojętnienie malowały się na twarzy jego młodej i zarazem starej, bo miał lat czterdzieści cztery i dużo zmarszczek na czole, zarówno jak dokoła ust i oczu. W tych zmarszczkach nie było zgryźliwości ani złości, tylko przyzwyczajenie do zamyślań się długich i częstych. Musiał zazwyczaj mówić mało, bo ci, którzy wiele mówią, wyglądają wcale inaczej od tych, którzy wiele milczą. Duszę milczącą można poznać z oczu człowieka, który ją ma w sobie. Ze źrenic Hornicza, ciemnych i popadających w nieruchomości częste, patrzała dusza myśląca i cierpiąca, która nigdy nie wypowiedała myśli swoich ani cierpień. Może jednak uciekanie przed wzrokiem bliźnich nie było jej wrodzonym, bo rysy, postawa, ruchy człowieka tego znamionowały raczej naturę prostą, otwartą, skłoną do zaufania. Prostem także było ubranie jego z szarego sukna wiejskiego, w którym wyglądał silnie i niegminnie, owszem, wbrew grubości odzieży, wytwornie. Ruchy też miał młode jeszcze, ale plecy trochę przygarbione. Musiał być niegdyś bardzo przystojnym, i trwało to jeszcze w stopniu pewnym. Tylko postarzał wczesnie. W pierwszej połowie piątego krzyżyka miał już twarz pomarszczoną, plecy przygarbione i wiele siwizny zmieszanej z włosami ciemnymi na głowie i w brodzie krótko przystrzyżonej. Z młodości pozostała mu regularność rysów ściągłych, oczy piękne i zdrowie cery, opalanej na słońcu i wiatrach.

Dziewczynka czternastoletnia, stworzonko dość ładne, tak jak matka białe i różowe, oraz chłopak dziesięcioletni z bystrymi oczyma, znudzeni milczeniem panującym przy stole, trochę kręcili się na krzesłach i trochę czasem do siebie szep-tali. Rozalia ostro ozwała się do malca:

— Niech Kazio spokojnie siedzi przy stole, bo wezmę za rękę i wyprowadzę z jadalnego pokoju.

Kazio jednak nie robił nic złego, ani nawet nieprzyzwoi-tego. O czymś tylko szeptał z zapalem do siostry, która słu-chała go z uśmiechem. Rozalia przeniósłszy wzrok z brata na siostrę zauważyła znowu:

— Są twarze, które zawsze wprawiają mię w zdumienie swoim wiecznym uśmiechem. Jak to można tak wiecznie się uśmiechać?

To klucie dzieci zabolalo matkę. Z cicha i z załknieniem przemówiła:

— Moja Rózieczko, jeżeli to mówisz do Anielki, jest to tak właściwym jej wiekowi...

Rozalia ze zdumionym spojrzeniem na siostrę i wzrusze-niem ramion przerwała:

— Ja do Anielki mówiłam! Czyż nie można wypowie-dzieć zdania bez zastosowywania go do kogokolwiek? Są zresztą różne gusta. O ile twarze wiecznie uśmiechnięte wpra-wiają mię w podziw, o tyle znowu sposób jedzenia prędki i łapczywy wstręt we mnie obudza. Jest w tym coś zwierzę-cego.

To stosowało się do Hornicza, który po kilkogodzinnym przebywaniu na polu i w stodole z apetytem dużym jadł w tej chwili jakieś bardzo niewytworne zrazy. Na różowej i zwiędłej twarzy Sabiny odmalowała się dolegliwość silniej-sza niż przedtem. Z większą łatwością przenosiła złośliwość siostry względem dzieci niż względem męża, dzieci bowiem zawdzięczając wiele Rozalii mogły też znieść od niej jakąś przykrość. Uczyla je pracowicie i umiejętnie, była też dla

nich w chwilach dobrych bardzo dobrą i tkliwą. Bywała też nieraz dobrą i dla szwagra, ale gdy stawała się złą, sprawiało to Sabinie Horniczowej udręczenie, jeśli nie piekielne, to przynajmniej czyścicowe. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale spojrzawszy na siostrę zlekła się i nic nie powiedziała, a po chwili dopiero rozpoczęła próby rozbijania atmosfery ciężkiej, za pomocą rozmowy — byle jakiej.

— Dziwna rzecz, jak dziś sucho w ogrodzie. Po wczorajszym deszczu nie ma już ani śladu.

Głos jej drżał trochę; z wyrazem przykrości niewymownej patrzyła na ręce siostry, która z powolnością i delikatnością niesłychaną kroila, rozdzielała, wprost rozgrzebywała po talerzu kawałek mięsa, kiedy niekiedy niosąc do ust malutką jego okruchę. To jedzenie, fenomenalnie powolne, było lekcją poglądową udzielaną temu, kto jadł prędko, to jest Horniczowi, który jednak z niej nie korzystał, bo patrzył tylko w swój talerz.

— Czy mameczka była w alei brzozonej? tam to jeszcze zupełnie mokro! — miłym głosikiem zaszczębiotała Anielka.

— A pod oficyną to tyle jeszcze wody stoi w rowku, żeśmy z Michasiem puszczali na nią łódki korkowe! — zawołał Kazio mieszając cienki, donośny głosik z dźwięcznym głosem siostry.

Rozalia, która przed chwilą ruchem rezygnacji milczącej położyła sztucce na talerzu, teraz obie ręce podniosła do uszu. Nic nie powiedziała, ale przez dobrą minutę z całej siły zamykała dłońmi otwory uszne. Dzieci umilkły. Błękitne oczy Sabiny zaczęły stawać się prawie nieprzytomnymi. Hornicz przemówił do żony:

— Proszę cię, Sabinko, podaj mi sól.

Były to pierwsze słowa, które z ust jego wyszły od rozpoczęcia obiadu. Posypując solą kartofle towarzyszące zrazom, myślał:

„Grono rodzinne zasiadło do stołu i w pogodzie ducha

dzieli się chlebem zapracowanym wspólnie! Że zapracowanym wspólnie, to prawda, ale pogody ducha nie ma wcale. Czego ona dziś tak skwaśniała? Alboż to kiedykolwiek ma jaką przyczynę? Owszem, jest przyczyna, tylko niewidzialna, bo siedzi w śledzionie albo w kiszki. Człowiek ma charakter swoich kiszki. Wczoraj były one dobre, i on był dobrym, dziś są złe, i on jest złym. Takim sposobem każdy znajduje się w zależności nie tylko od swojego żołądka, ale i od wszystkich żołądków, które go otaczają. Ażeby dowiedzieć się o losie dnia, który go czeka, powinien mówić do otaczających zamiast: „Dzień dobry!“ — „Jak się macie, najjaśniejsze żołądki?“

Spojrzał na chłopaka niezupełnie dorosłego, który posługiwał do stołu i którego twarz wyglądała jak misterny tatuaż z sadzy i kurzu.

— Mój Filipku — rzekł — wyglądasz znowu jak kominiarz. Od tak dawna uczę cię czystości, i jeszcze się jej nie nauczyłeś.

Powiedział to dość łagodnie, a potem myślał:

„Od sześciu lat życia chowa się we dworze, nauczył się czytać i pisać, a codziennego mycia rąk i twarzy żadna siła ludzka nauczyć go nie może. Rzecz drobna, lecz sprawa obrzydzenia. Życie składa się z obrzydzeń wielkich i drobnych“.

Rozalia milczała jak grób, półmisek z naleśnikami odsunęła ze wstrętem w tej właśnie chwili, gdy Hornicz napominał lokajczyka za brudną twarz i ręce. Sabina zaś trwając ciągle w usiłowaniu rozpogadzenia atmosfery zwróciła się do męża:

— Ciekawa rzecz, co tam teraz porabia nasz Wincus?

Był to ich syn szesnastoletni, który przed tygodniem odjechał z wakacji do szkół.

— Jeszcze pewno w gimnazjum siedzi, bo jest dopiero druga godzina, a ich wypuszczają o trzeciej — prędko zagała Anielka.

Wspomnienie o synu pogłębiło zmarszczki na czole Hor-

nicza. Z powodu tego dziecka doświadczał troski dość ciężkiej. Za to w twarzy Rozalii to wspomnienie odbiło się jak ma-  
lutki promyczek słońca w gęstej chmurze. Zwolna i na nikogo  
nie patrząc przemówiła:

— Pisałam dziś do Wincusia, bo zdaje się, że nikt jeszcze  
dotąd nie napisał do niego.

— Jeszcze nie ma dwóch tygodni, jak wyjechał — tłumaczyła się Sabina.

Rozalia, jakby nie słyszała wcale głosu siostry, rzekła jeszcze:

— Pisałam, aby wziął od Rogowskiego część mego procentu i sprawił sobie nowy mundurek...

Hornicz po raz pierwszy z niejaką żywością przemówił:

— Niepotrzebnie to zrobiłaś. Ten, który ma, wystarczyłby mu jeszcze na rok cały. Wincus okazuje zanadto skłonności do elegancji i popisywania się wszelkiego rodzaju...

Rozalia podnosząc głowę odpowiedziała sucho:

— Trudno, ażeby wszyscy mieli skłonność do safandulstwa i siedzenia za piecem.

Sabina siedziała jak na węglach rozżarzonych.

— Rózieczko — przerwała głosem bardzo łagodnym — przecież sama nieraz mówiłaś, że nie jest dobrze, jeżeli chłopiec wy kieruje się na panicza...

Oczy Rozalii spod czarnych brwi ściągniętych tkwiły w sierniężnym surducie szwagra.

— Nie trzeba wpadać w ostateczności — zaczęła tonem oschłym i nauczycielskim — zbyteczna wybredność jest niedobłą, ale i abnegacja nie dodaje nikomu uroku. Z dwojga złego wolałabym już pierwsze!

Ale obiad był już skończonym, Sabina wstała z krzesła. Rozalia powstawszy także podała końce palców siostrze, a szwagra wcale nie spostrzegając oddaliła się szybko. Słychać było, jak w głębi domu ze stukiem zamykała za sobą drzwi swego pokoju. W dniach dobrych szła po obiedzie do

bawialni, grała na fortepianie, gawędziła, czasem nawet bawiła się z dziećmi, uczyła je tańczyć, grała z siostrzenicą na cztery ręce. Ale dzisiejszy dzień był niedobrym, więc nie przemówiwszy do nikogo słowa wprost od stołu pokazała wszystkim plecy i zamknęła się w swoim pokoju. Dzieci pobiegły do ogrodu. Horniczowa zbliżyła się do męża, który z zamyśleniem patrzył przez okno na ogród pełen barw już jesiennych i bladych blasków słońca wrześnieowego. Wsunęła mu rękę pod ramię i wznosząc ku jego twarzy oczy więcej jeszcze niż zazwyczaj łagodne i stroskane, przemówiła lekliwie:

— Mój Zeńku, jak mię to okropnie boli, że Rózia była dziś znowu taką...

Nie odrywając wzroku od grupy drzew powleczonych przez jesień barwami rdzawymi i żółtymi myślał:

„Gdybym był tym, czym być miałem, czym już trochę byłem, malowałbym tę grupę drzew“.

A żonie odpowiedział:

— Nie dbaj o to, moja droga, tak jak ja nie dbam...

Jednocześnie z tymi słowy miał w głowie inne:

„Kłamię, bo te drobne szpilki życia drażnią mię niesłychanie...“

Ona zaś mówiła dalej głosem coraz cieńszym:

— Ty to przeze mnie znosisz, bo to przecież moja siostra, ale cóż ja zrobię?

— Naturalnie; cóż możesz zrobić? nie ma tu nic do zrobienia!

Rozmowa taka powtarzała się przynajmniej dwadzieścia razy na rok, to jest za każdym razem, gdy Rozalia zaczynała mącić zgodę domową. Hornicz myślał:

„Tamta od dzieciństwa tak jej imponowała swoim umysłem wyższym i charakterem fantastycznym, że odebrała jej zdolność do oporu najłżejszego. Osa i kurczątko!“

Kurczątko bardzo stroskane, prawie już piskliwie prawilo mu u boku:

— Taka jest dziwna... Czasem idzie spać w najlepszym humorze, serdeczna, grzeczna, miła, a nazajutrz wstaje taka, jak dziś... Za każdym razem łamię sobie głowę nad przyczyną tej zmiany i nie mogę wynaleźć żadnej.

On patrząc teraz na grupę drzew inną i zabarwioną inaczej rzekł z uśmiechem:

— Moja droga, zmienność wszystkiego jest prawem powszechnym. Nic nie trwa. Wszystko przelewa się w formy coraz inne, przepływa jak obłoki. Uczucia człowieka podlegają temu samemu prawu. Kielkują, rosną, rozkwitają, więdną, i zostaje po nich łądyga pusta, czasem z owocem obrosłym kolcami.

Wszystko to powiedziawszy pomyślał:

„No, i po co ja to wszystko nagadałem?“

Ona słuchała cierpliwie, ale parę razy odbiegła myślą od słów męża, bo naprzód zobaczyła dziewczkę idącą z koszykiem do ogrodu warzywnego i pomyślała: „Byleby rwąc sałatę nie zdeptała pietruszki“, a potem widząc indyczkę prowadzącą indyczęta do gęstego klombu zauważyła w duchu: „Gdzieś blisko dostrzegła jastrzębia!“ Gdy Hornicz skończył mówić, przytuliła się mocniej do jego boku i zaczęła:

— To prawda, Zeniu, ale to wszystko, co powiedziałeś, nie ma żadnego związku z Rózią...

On uśmiechnął się, ona mówiła dalej:

— Ty wiesz, że ona jest w gruncie rzeczy nadzwyczaj przywiązana do nas i do dzieci, że w wielu wypadkach dała nam dowody poświęcenia i że wiele zawdzięczamy jej pracy około wychowania dzieci, szczególnie Anielki...

— Ależ tak — pośpiesznie zgodził się Hornicz — wiem o tym wszystkim, szanuję bardzo piękne przymioty twojej siostry, a drobne jej fantazje nie sprawiają mi przykrości...

Jednocześnie myślał:

„Kłamię! Sprawiają, nawet taką, która zawstydza i poniża, jak wszystkie drobnostki i małości...”

Sabina, znacznie uspokojona, mówiła z uczuciem zachwyty:

— Bo ty, Zeniu, jesteś najlepszy, najpobłażliwszy, najszlachetniejszy z ludzi!

Zrobiło się mu żal tej kobiety tulącej się do jego ramienia. Pochylił się i pocałował ją naprzód w czoło, a potem w oko błękitne, którego powieka, już żółkła i trochę pomarszczona, zamknęła się pod jego ustami. Na jej twarzy rozlał się wyraz ukojenia. Więc nie gniewał się! Kaprysy Rózi nie sprawiały mu przykrości! Ach, jak to dobrze! Ale uspokojona pod tym względem, zatroskała się mocniej o pietruszkę, którą dziewczka zdeptać mogła rwąc sałatę. On powrócił wzrokiem do pysznego wycieniowania drzew ogrodowych i miał już na ustach wyrazy: „Patrz, jak ta srebrna wierzba plastycznie odskakuje od tła zaczerwienionych kasztanów!“, ale nie powiedział nic. Po co? Przez pierwsze lata pożycia dokonał mnóstwa prób w tym rodzaju i żadna się nie udała. Ona rzeczy takich po prostu nie widzi. Zaczęła go teraz wypytywać, co by najchętniej jadł na wieczerzę. Jemu to było zupełnie wszystko jedno, ale gdy nalegała, powiedział pierwszą lepszą potrawę, która mu na myśl przyszła, a ona dzwoniąc kluczami wybiegła z pokoju. Biegła krokiem żwawym i drobnym, mającym w sobie coś ptasiego. Hornicz patrzył za biegnącą żoną i myślał, że jest to kobieta niezmaczenie dobra i że dobroć jej nie zasługuje nawet na nazwę owczej. Przeciwnie, Sabina, będąc bardzo łagodną, jest zarazem czynną, pracowitą, troskliwą niezmiernie o potrzeby rodzinne. On też ma dla niej szacunek rzetelny i wiele przywiązania. Więc cóż? Więc dlaczegóż, gdy przed chwilą tuliła się do niego trwożnie i tkliwie, nie przycisnął jej do piersi z całej siły ramion, ale tylko pocałował w oko prawie z takim uczuciem, jak gdyby ono było arabeską wymalowaną na ścianie? Dlaczego także

nie powiedział jej wszystkiego, co myślał przez ten czas, gdy ona tu stała? Cóż? Po pierwsze dlatego, że zaśmiałyby się z samego siebie, gdyby spróbował raz jeszcze powierzać jej swoje myśli lub wrażenia. Po wtóre z powodu tej — lodygi nagiej, na której zostaje czasem owoc obrosły kolcami. Na tej lodydze, którą oni trzymali w rękach, nie było kolców dzięki jej dobroci, a jego uczciwości. Ale nie było także kwiatu. Trwał krótko i opadł od dawna. Od dawna już jej oko i arabeska na ścianie były dla ust jego przedmiotami jednostajnie pociągającymi. Całe szczęście, że ona nie uczuwa w tym kierunku żadnych żalów i pożądań. Ma temperament limfatyczny i nie ma żadnej skłonności do marzycielstwa. Jest wprawdzie dość młodą jeszcze, od niego młodszą o lat osiem; ale dla kobiet takich, jak ona, lodyga okwitła wystarcza do szczęścia, zwłaszcza gdy nie ma kolców. Z nim co innego. Jemu nie wystarcza. Ale to jego rzecz. Nie usłyszy tego żadne ucho ludzkie i nie dowie się o tym żadna dusza ludzka; tym bardziej nie wyrazi się to w czynie żadnym. Bo co innego szczęście, a co innego obowiązek. Pierwsze jest mrzonką włożoną w naturę ludzką, nie wiedzieć po co, gdyż urzeczywistnić jej nie podobna; drugi istnieje na pewno, ponieważ człowiek czuje go w samym sobie. Wreszcie kwestia to skomplikowana; obowiązek miesza się w niej z pewnym gatunkiem tkliwości. Kobiety, z którą żyje, nie może upajać wonią kwiatu już nie istniejącego; ale też nigdy nie wleje do gardła jej trucizny. To rzecz pewna i wypróbowana. A uczucia i rojenia, może gorzkie, może palące, których z tego powodu doświadcza, są jego tajemnicą, zarówno jak wszystko, co w nim jest. Są też wprawdzie źródłem kłamstwa i udręczenia. Bo zatajanie przed osobą, z którą się żyje, znacznej części tego, co się myśli o niej i co się dla niej czuje, to kłamstwo milczące i udręczenie duże, na które jednak nie ma rady żadnej.

Tak myśląc szedł przez dziedziniec ku stodole otwartej i napelnionej monotonnym turkotem młockarni. Mijając szta-

chety ogrodu zobaczył dzieci bawiące się na trawniku. Anielka, Kazio i mały syn ogrodnika rzucali piłkę, chwyтали ją w powietrzu albo ścigali po trawie. W słońcu jesiennym i wśród drzew bogato zabarwionych przez jesień tworzyło to obrazek świeży i wdzięczny. Stał i patrzył. Przyszło mu do głowy porównanie: jakim ten ogród był przed osiemnastu laty, a jakim jest teraz. Wówczas, gdy powróciwszy z Monachium i wyrzekłszy się na zawsze kariery artystycznej, wziął w posiadanie ten kawał ziemi, rosły tu prawie same chwasty sterczące drzewami umierającymi z opuszczenia. Te gęstwiny malownicze, trawniki nieduże, lecz świeże, sad obfity w owoce to jego praca, dokonana z wydatkiem pieniężnym nieznacznym i z trudem osobistym wielkim. Zamiast na płótnie wymalował obraz na kawałku ziemi. Była to drobnostka, ale jej przypomnienie przerzedziło nieco chmurę, która mu przygniatała mózg prawie bezprzestannie. W tejże chwili otworzyło się jedno z okien wychodzących na ogród i ostry głos kobiecy zawołał:

— Anielko! chodź na lekcję!

Chmura na mózgu Hornicza znowu zgęstniała. Był bardzo wdzięcznym Rozalii za uczenie dzieci, bo to oszczędzało trosk i wydatków dużych, ale ta przysługa ważna sprawiała mu przykreść dotkliwą, ilekroć zaprawiała ją kwas, sprzeczką i posępność. Wdzięczność byłaby dla niego uczuciem rozkosznym, gdyby dobrodziejstwo dokonywanym było w sposób dobry. Ale można czynić rzecz dobrą w sposób zły, i Rozalia posiadała tę sztukę w stopniu wysokim. Bardzo często uczyła dzieci z miną męczennicy poświęcającej się dla siostry, nieskończenie od niej niższej, i dla szwagra nielubionego. Zdawało się wprawdzie, że przysługa oddawana przybierała formę przyjemną, lecz pamięć o chwilach złych zatrzuwała dobre. Sprawiało to udręczenie drobne, ale dokuczliwe. Życie jest pełnym udręczeń drobnych, z którymi kiedy niekiedy

mieszają się wielkie, jak kamienie w tacze napelnionej żywym.

W stodole młócono pośpiesznie zboże, które miało być wysłanym do miasta za parę tygodni. Było już prawie sprzedanym; jednak niektóre punkty umowy sprzedażnej nie zostały jeszcze wyświetlonymi, co przeszkodziło stanowczemu zawarciu umowy. Horniczowi ta zwłoka sprawiała kłopot i niepokój. Wiele zależało od tego, jak i kiedy sprzeda to zboże, bo musiał wkrótce dokonać pewnych opłat i zaspokoić pewne potrzeby domowe. Dochody miał niewielkie i trochę długów, niegroźnych, ale z którymi wypadało obchodzić się ostrożnie, aby ich nie powiększyć. Chodząc tedy po stodole i rozmawiając z gumiennym o gatunku i wadze zboża wymłóconego, myślał o nieustalonych jeszcze punktach kontraktu. W czym można ustąpić kupcowi, a w czym nie można? Co powie ostatecznie za dni kilka, gdy kupiec przyjedzie po decyzję ostateczną?

Myśli te przerwał gumienny, chłop stary, barczysty, z oczyma mądrymi, który uśmiechając się trochę tajemniczo, a trochę złośliwie rzekł:

— Czy pan wie, że patrzeć tylko, jak Pawełek nas porzuci?

Hornicz stanął jak wryty. Z tym Pawelkiem była rzecz taka. Przed osiemnastu laty objąwszy w posiadanie Zapolanekę Hornicz osądził, że wieś była za małą, a on był za młodym, aby potrzebować w pracy nad jej uprawą wyręczyciela i zastępy. Skądinąd miał w sobie podówczas tyle żalu nad tym, co porzucał i czego się wyrzekał, że praca wydawała mu się prawie ratunkiem. Dlatego zresztą opuścił karierę rozpoczętą i ukochaną, aby tego kawałka ziemi nie opuścić. Ze względów wszelkich uczuwał konieczność pracy osobistej. Nie wziął więc i potem nigdy nie brał do pomocy żadnego rządu czy ekonomy. Pomagali mu zawsze w gospodarstwie dwaj tylko ludzie: stary gumienny i młody chłopak, będący po tro-

chu oficjalistą, a po trochu praktykantem. Dwóch takich chłopaków miał w Zapolance po lat kilka i wykształcił na gospodarzy dobrych. Pożenili się potem i osiedli na małych dzierzawach. Trzecim z rzędu był Pawełek, którego najwięcej lubił, może dlatego, że uczynił mu najwięcej dobrego. Wziął go dzieckiem z zagrody szlacheckiej bardzo ubogiej, czyli wyrwał z nędzy wszechstronnej. Chłopak w domu jego wyrósł na młodzieńca ładnego i zdrowego, otrzymał edukację prawie szkolną, stał się ulubieńcem rodziny całej. Nawet Rozalia okazywała mu zmienność usposobień rzadziej niż innym; był on jej uczniem w części znacznej przez długie lat kilka. Zasiadał do stołu z rodziną Hornicza, i dziś nie było go przy obiedzie tylko dlatego, że z rana poprosił był o pozwolenie wyjechania na kilka godzin za swoimi interesami. Hornicz słuchając tej prośby uśmiechał się nieznacznie myśląc, że pewno się gdzieś kocha, wkrótce zechce się żenić i tak jak było z tamtymi, osiąść na gospodarstwie własnym. Trzeba mu będzie w tym dopomóc, tak jak dopomógł tamtym. Przez jakiś kwadrans potem rozmyślał nad tym, jaką formę i wagę otrzymać mogła ta pomoc, której udzieli Pawełkowi do osiedlenia się na zagrodzie pojejcowskiej albo na jakiej dzierzawie niedużej. Toteż słowa gumiennego obudziły w nim zaciekawienie żywe. Stanął jak wryty i z uśmiechem zapytał:

— Cóż? żeni się pewno? Czy zwierzył się tobie? czemuż mnie o tym nie mówi?

Stary zaśmiał się zupełnie już złośliwie.

— Gdzie tam żeni się! On chce wyjechać do tych majątków, którymi pan Górkiewicz będzie rządził... Już podobno umówili się o pensję i o wszystko. Pan Górkiewicz dwa miesiące już namawia Pawełka i on dziś do niego pojechał...

Horniczowi krew do głowy uderzyła.

— Ależ to nieprawda! — zawołał; — Górkiewicz nigdzie nie wyjeżdża! mówił mi sam tydzień temu, że są to plotki...

Gumiennemu aż łopatki latały od śmiechu.

— Łgał, panoczku, dalbóg łgał, dlatego pewno, że panoczek byłby za to na niego niekontent. Wyjeżdża, i Pawełka namawia, aby z nim jechał..

Czoło Hornicza tak okryło się zmarszczkami, że nie było na nim najmniejszego miejsca gładkiego. Górkiewicz był jedynym z sąsiadów, z którym żył w stosunkach przyjacielskich; Pawełka poczytywał za wychowawca i prawie za członka rodziny. Pierwszy kłamał przed nim, drugi taił się z zamiarami już od dwóch miesięcy. Czy podobna? Wzruszył ramionami. Wszystko jest podobnym! Ale kipiał od niecierpliwości dowiedzenia się na pewno, czy gumieny mówił prawdę. Wychodził właśnie ze stodoły, kiedy w bramę dziedzińca wjeżdżała bryczka parokonna, a tuż za nią cwałował na zgrabnym koniku zgrabny chłopak. Jeździec wyprzedził bryczkę, zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę, prędko zbliżył się do Hornicza. Młody, przystojny brunet z twarzą bardzo roztropną i śmiałą, zdejmując czapkę, rzekł:

— Niech pan nie gniewa się, że zabawiłem tak długo...

Schyliwszy się pocałował opiekuna i pryncypała w ramię, nieco powyżej ręki. Ten pocałunek fizycznie zabolął Hornicza. Chciał coś powiedzieć, ale bryczka stanęła już przed domem i Górkiewicz wysiadłszy z niej wszedł na ganek. Odwróciwszy się tedy od chłopaka, szybko poszedł ku domowi.

W kilka minut potem znalazł się sam na sam z gościem w pokoju, który nosił nazwę jego gabinetu i był pełnym rachunków gospodarskich, książek, szkiców, obrazków, drobiazgów artystycznych postarzałych i opylonych. Górkiewicz był blondynem przystojnym, młodszym od Hornicza, z wyrazem twarzy rozumnym i energicznym, teraz jednak zmieszany. Hornicz bez żadnego wstępu rzekł do niego:

— Czy to prawda, Bolesławie, że wyjeżdżasz?

Po chwili przykrego milczenia Górkiewicz z żywością zaczął mówić:

— Wyjeżdżam i nie mów mi już nic, bo wiem z góry,

co powiesz. Przede wszystkim zapytasz, dlaczego przed tygodniem powiedziałem ci, że nie pojedę. Ot, widzisz, z powodu głupiego wstydu... Tyleśmy o tym zawsze mówili, że nie mogłem od razu zebrać się na odwagę. Zresztą, tydzień temu rzecz nie była jeszcze pewną i dopiero przed dwoma dniami zawarłem umowę stanowczą... A jeśliby zamiar nie miał przyjść do skutku, wolałem, abyś nie wiedział wcale, że go miałem.

— To jest, abym przez całe życie pocztywał cię za innego, aniżeli jesteś.

— Niech to będzie dowodem, jak wysoko cenię twój szacunek...

Hornicz z silnym blaskiem oczu zapytał:

— Jaką pensję brać będziesz?

— Pięć tysięcy rocznie.

— Ileż wart dla ciebie mój szacunek: dwa, trzy, cztery tysiące? bo w każdym razie mniej niż pięć!

Górkiewicz zarumienił się.

— Bierzesz zawsze rzeczy zbyt tragicznie. Mówiłem ci nieraz, że jest to szczególną cechą twego charakteru czy umysłu...

— Jest to istotnie szczególną cechą mego charakteru czy umysłu, że sprzeczność czynów z zasadami wydaje mi się farsą, z której do łez śmiać się można.

Górkiewicz chodził po pokoju krokiem wzburzonym.

— Zasady — mówił — zasady! Mam je tak samo, jak i miałem. Ale człowiek jest człowiekiem i żadne zasady nie mogą oprzeć się takiemu życiu, jakie tu prowadzimy. Psie życie!

— Przepraszam cię — przerwał z żywością Hornicz — życie jest psim, na to zgoda; ale nie ma prawie takiego psa, który by opuścił jednego pana dla drugiego z powodu szynki chudszej albo tłuszcjszej.

— Gdyby miał rodzinę do wyżywienia i wychowania! Ja mam żonę i dzieci!

— Wielki Boże! — zawołał Hornicz — wkrótce już chyba posiadanie żony i dzieci udzielać będzie prawa zarzucania ludzi dla zdobycia ich sakiewek!

Górkiewicz z twarzą pałającą stanął przed sąsiadem.

— Mówisz mi ciągle impertynencje, których nie zniósłbym od kogo innego, ale od ciebie znoszę, bo byliśmy przyjaciółmi...

— Byliśmy przyjaciółmi! — zawtórował Hornicz.

— I stosunek przyjacielski z tobą bardzo mi dopomagał do znoszenia kłopotów, nudy i wszelkich nędz tego psiego życia... Więc nie tylko zniosę coś mi powiedział, ale jeszcze poproszę cię o przebaczenie. Namówiłem twego Pawelka, aby tam jechał ze mną...

— Naturalnie — wtrącił Hornicz — byliśmy przyjaciółmi.

Górkiewicz, ciągle bardzo cierpliwy, mówił dalej:

— Taki chłopak roztropny i doskonale wyuczony gospodarstwa będzie mi tam ogromnie użytecznym...

— Był mnie także użytecznym i w dodatku bardzo miłym, ale że pociągnąłeś go perspektywą kariery, to naturalnie. On był moim wychowawcą, a ty prawie przyjacielem.

— Jesteś dziś gorzkim jak pieprz hiszpański, ale się temu nie dziwię. W tej ciernistości, a zwłaszcza ciasnocie stosunków i warunków, można zgorzknieć, skwaśnieć i nawet żywcem zgnieć. Co mnie najbardziej znęciło do wyjazdu w te dalekie strony, jest właśnie to, że będę mógł działać na szeroką skalę. Jestem przecież agronomem wykwalifikowanym, i mam pasję do gospodarstwa wielkiego, która na mojej małej Zalesinie aż skwierczała, tak była dławioną. Tam, na przestrzeniach ogromnych i zaledwie napoczętych przez eksploatację, dostanę pełnego oddechu i szerokiego rozmachu ramion...

Gniew Hornicza opadł; siedział teraz z głową opartą na ręku, bardzo smutny.

— Działalność szeroka, oddech pełny — przemówił — to ponęty istotnie silne... Życzę ci powodzenia!

— Dziękuję. Czy przebaczasz mi Pawełka?

Hornicz spokojnie odpowiedział:

— Samemu sobie tylko nie przebaczam, że będąc starym wróblem jeszcze raz złapałem się na plewy...

— Jakie? — zapytał Górkiewicz.

— Zasad twoich i wdzięczności tego chłopca.

Górkiewiczowi zaiskrzyły się oczy, przygryzł wargę i pochwycił czapkę ze stołu.

— Przyjadę jeszcze pożegnać się z tobą przed odjazdem. Dziś muszę być w paru miejscach.

Hornicz wstał, i końcami palców dotknąwszy zaledwie dłoni, którą do niego wyciągnął Górkiewicz, zapytał:

— A co będzie z Zaleśną?

— Wypuszczam ją w dzierzawę...

— Zapewne z czasem sprzedasz?

— Nigdy w życiu! — z uniesieniem zawołał Górkiewicz.

— Mój drogi — rzekł Hornicz — wyrazy: nigdy i zawsze! nie powinny dotykać ust człowieka, który nie chce kłamać przed innymi i sobą samym.

W dwie minuty potem bryczka Górkiewicza zaturkotała na dziedzińcu. Hornicz stał u okna i ścigając wzrokiem sąsiada odjeżdżającego myślał:

„Działalność szeroka, oddech pełny, przyszłość dzieci ubezpieczona... Zapewne też choć odrobina przyjemności umysłowych i towarzyskich... wszystko to mieć będzie i za tym pogonił. Który z nas mądry, a który głupi?“

Pomimo wszystko czuł za odjeżdżającym żal dotkliwy. To, co ich wiązało, nie było właściwie przyjaźnią, tylko stosunkiem przyjaznym. Hornicz nie otwierał duszy przed Górkiewiczem, bo wiele tam było rzeczy, które mógłby powierzyć chyba rodzonemu bratu. Ale na znacznej przestrzeni był to jedyny człowiek znajdujący się na tym samym, co on,

poziomie umysłowym. Gdy go nie stanie, usta zamkną się mu ostatecznie. W czasie długich miesięcy jesiennych i zimowych Górkiewicz kiedy niekiedy przyjeżdżał do Zapolanki i w tym samym pokoju rozmawiali całe godziny o życiu, książkach i różnych sprawach tego świata. Teraz i to zniknęło. Pawełek także zniknie. Ale to będą rzeczy zwyczajne i dobrze mu znane. Nie raz i nawet nie dziesięć razy spostrzegał nieustanne i nieuchronne zmienianie się dokoła człowieka widokręgu jego przywiązań i przyzwyczajzeń. Za każdym razem doświadczał smutku zięjącego ze zmienności rzeczy ziemskich, ale stał się mu on już zwyczajnym. Wczoraj było, dziś nie ma; dziś jest, jutro nie będzie, historia starożytna i powszechna. Ale głębiej i ostrzej zaszła mu w serce przyczyna, dla której teraz dwaj ci ludzie mieli zniknąć z jego życia. Była nią gonitwa za zwiększeniem sumy wygód i przyjemności różnorodnych, i nic więcej. Dochody i kariera. Żaden obowiązek i żadna dążność istniejąca za granicami ich interesów osobistych rzędu niższego. Tylko dochody i kariera. Prowadziło to za sobą szereg refleksji i przewidywań ciemnych, nie mających związku bezpośredniego z nim samym, ale będących w związku ścisłym z jego ciemnym zapatrywaniem się na ludzi i różne sprawy świata. Był to przy tym zawód. Górkiewicz poczytywał za człowieka rozumiejącego życie oddane interesom i obowiązkom wyższego rzędu. Pawełek uczył sam rozumieć takie życie, i zdawało mu się, że nauczył. Omylił się, ale błąd jego nie był całkowitym. Górkiewicz był istotnie człowiekiem uczciwym i poważnym, a Pawełek chłopcem dobrym i wdzięcznym. Tylko że te ich przymioty nie wypełniały pewnej miary i nie posiadały pewnej siły. Pewien przeciąg czasu wyczerpywał je i pewne pokusy czyniły im opór niemożliwym. Nie mógł w żaden sposób nazwać ich łotrami, tylko nazywał ludźmi miary niedużej. Była to ta sama historia, co z naturą jego żony i jej siostry. Sabina była kobietą uczciwą i dobrą, ale ograniczoną i słabą jak kurczątko; Ro-

zalia szlachetną i wykształconą, ale zmienną jak fala i gryzącą jak osa. Nie było w tym nic pocieszającego; owszem, było to właśnie najsmutniejszym. Bo z pociechą wielką powiedziałby sobie: to są łotry i diablice, a to bohaterowie i anioły! Albo przynajmniej: poszukajmy bohaterów i aniołów! Ale pewność, że wszystko na ziemi, nie będąc ostatecznie złym, nie jest także doskonałym, że jeżeli nie godzi się pluć na nic, to i ukłęknać nie ma przed czym — lała w serce i umysł cikliwość nieznośną. Wyciekała z niej wprawdzie litość i pobłażliwość dla ludzi, ale też niesmak wielki do nich i do życia.

W dwóch pokojach przyległych słyszał kroki drobne i śpieszne, szepty cichutkie, śmieszki przymilone. Wiedział dobrze, co to znaczyło. Sabina usiłowała powrócić do łask Rozalii. Plekroć starsza siostra stawiała się osą, młodsza usiłowała stać się dla niej najśłodszym miodem. Czyniła to zapewne przez dobroć serca współczującego posępnemu usposobieniu siostry, ale więcej jeszcze dla miłości świętego spokoju. Nuż rozchmurzy się i przestanie zakwaszać atmosferę domową! Nie osiągało to powodzenia prawie nigdy, ale powtarzało się zawsze. Kurczątko nie mogło żyć w atmosferze burzliwej, a nie rozumiało, że tylko czas i polepszony proces trawienia mogą przywrócić nietrwałą pogodę. Wiedziała o tym, że mąż jej siedzi w pokoju swoim sam jeden, zmartwiony historią Górkiewicza i Pawełka, jednak nie przychodziła do niego, tylko biegła ciągle do pokoju Rozalii z przysługami, ze śmieszkami i z szeptami. Bo od niego nie lękała się, tak jak od niej, rzeczy przykrych i niepokojących. Z tego wynika, że aby doświadczyć dobroci ludzkiej, trzeba umieć być złym.

Słońce było już bliskim zachodu, pora wieczery nadechodziła, gdy do pokoju Hornicza wszedł Filipek i położywszy na stole list i parę dzienników odszedł. Hornicz przypomniał sobie, że dziś był dzień posyłania na pocztę, a raczej na stację kolei, po dzienniki i listy. Właściwie po dzienniki, bo

Horniczowie prowadzili od dawna życie tak ustronne, że listy przybywały do nich bardzo rzadko. Ale ten, który przybył teraz, miał widać coś szczególnego w samym piśmie adresu, bo Hornicz rozdarł kopertę bardzo pośpiesznie, a potem stronice zapisaną przeczytawszy, z oczami nagle rozbłyśniętymi rzucił się ku drzwiom.

— Sabinko! Sabinko! Sabinko! — wołał żony głosem niezwykle donośnym i nabrzmiałym radością.

Sabina stała z łokciami opartymi o stół, przy którym Rozalia nadąsana i milcząca siedziała z głową zwieszoną nad książką. Na głos Hornicza drgnęły obie; Rozalia z głośnym syknięciem przycisnęła uszy dłońmi; Sabina przybiegła do męża z oczami wylękłymi.

— Co? co? co się stało? — wyszeptala z trwogą.

Hornicza drażniła zawsze w sposób przykry lekliwość niesłychana żony; tym razem, wyjątkowo, wzmogła jego wesołość.

— Czegóż się zlekłaś, Bińciu, czegóż się tak zlekłaś, cha, cha, cha! — wołał ze śmiechem. — Stało się rzeczywiście, a raczej stanie się coś bardzo dobrego, przyjemnego i z czego tak się cieszę, tak się cieszę! Wiktor przyjeżdża do nas! Posłuchaj, co pisze!

Przeczytał żonie krótki list brata:

Kochany Zenku, ósmego września, we wtorek, przyjadę do Was. Bądź łaskaw przysłać po mnie konie na stację. Jadę za granicę z poleceniem obejrzenia we Francji i w Anglii najnowszych systemów gorzelnianych i będę przejeżdżał o kilka wiorst od Zapolanki. Zechejało mi się zobaczyć Was i Wasze dzieci. Wszakże to już lat osiemnaście, jakieśmy się nie widzieli! Dwa dni zabawię u Was. Ukłony niziuteńkie szanownej bratowej.

Twój przywiązany brat, Wiktor.

Hornicz był tak wzruszony, że musiał kombinować przez parę minut, nim skombinował, kiedy to będzie ten wtorek i ten ósmy września.

— To już jutro! — zawołał, ale przeniósłszy wzrok z papieru na żonę trochę zmarkotniał.

— Co ci jest? Czegóż znowu tak się przelęknął? — zapytał z trochę niecierpliwości w głosie.

Sabina, z oczyma ogromnie wylękłymi i czołem zmarszczonym prawie boleśnie, zaczęła mówić głosem cieniutkim:

— Boże, mój Boże! co to będzie? tak cieszę się, że Wiktor przyjedzie, najdzwyczajnie cieszę się, bo przecież to twój brat, i wiem, że dawniej kochaliście się bardzo!... Ale to taki światowy człowiek, taki wielki pan... gdzie my go umieścimy? Jak przyjmujemy? Ta Marianna jest dobrą kucharką, ale często weźmie i coś zepsuje...

Spojrzenie jej niespokojne, jakby błędne padło na okna.

— Firanki brudne! — jęknęła splatając ręce drobne, zawsze trochę różowe, a teraz drżące.

W tejże chwili Rozalia stanęła w drzwiach otwartych. Sabina biegnąc do męża zostawiła za sobą wszystkie drzwi otwartymi, tak że siostra słyszała rozmowę jej z mężem i list głośno przez niego przeczytany. Teraz stanęła obok nich obojga z brwiami ściągniętymi, z kwasem w ustach skrzywionych i tonem oschłym, nauczycielskim przemówiła wyłącznie i wyraźnie tylko do siostry:

— O co się tu tak troszczyć? Król jakiś przyjeżdża, czy co? Przecież twój dom nie jest żadnym śmietniskiem i w dwie godziny można go uporządkować. A Mariannę chyba już potrafisz dopilnować, bo co jak co, ale na kuchni znasz się...

Nie zważając wcale ani na ton mówienia, ani na „co jak co“, Sabina chciała rzucić się siostrze na szyję za to, że pierwsza przemówiła do niej, i za to, że ofiarowała się zażegnać jej ciężką troskę. Ale Rozalia już wstąpiła na krzesło stojące u okna i podniosła ramiona dla zdjęcia firanki.

— Niech Sabinka przysła Kasję, aby pomogła wynieść na dziedziniec i wytrześć z pyłu firanki...

— Może pozwolisz mnie to uczynić? — pokornie zawołała Sabina.

Rozalia z wysokości swojej i tonem nie pozwalającym na sprzeciwienia się żadne odpowiedziała:

— Sama to zrobię, przyślij mi tylko Kasję!

Sabina wybiegła z pokoju krokiem jeszcze drobniejszym i prędzszym niż zwykle; Hornicz schwycił ze stołu stary kapelusz pilcowy i wybiegł z domu. O urządzenie pokoju dla gościa drogiego i o przyzwoite jego przyjęcie mógł być spokojnym zupełnie, skoro Rozalia wzięła się w tę sprawę. Co się tam przy tych robotach biedna Sabinka nadrzy i nacierpi, to już rzecz inna i nieunikniona. Bo do tego, co Rozalia zrobić przedsięwzięła, nikt nie miał prawa mieszać się z pomocą ani radą pod groźbą odpowiedzi cierpkiej albo miny mniej jeszcze przyjemnej. Ale w zamian można było ręczyć, że robota będzie wykonaną dobrze i że zarazem atmosfera domowa rozpogodzi się na czas jakiś. Każda okoliczność wymagająca pracy, starań, nawet poświęcenia, ilekroć się zdarzyła, przecinała jak nożem zły humor Rozalii. Rozpoczynała czynność w sposób szorstki i despotyczny, ale dalszy jej ciąg stopniowo ją ułagadzał, rozpogadzał, rozpromieniał. Ruch fizyczny i moralny, zmiana zajęć i wrażeń były fizyczną i moralną potrzebą tego organizmu, który wśród jednostajności dni i otoczenia podupadał, cierpł i kwaśniał.

O tym wszystkim Hornicz myślał w tej chwili przelotnie i króciutko. Serce jego było po prostu wezbrane radością. Nie szedł, ale prawie biegł drogą prowadzącą pomiędzy łąkami pól żętych ku małemu wzgórzu z laskiem sosnowym. Ilekroć wychodził z domu bez gospodarskiego celu, szedł zwykle w tym kierunku, i stało się to przyzwyczajeniem, któremu teraz ulegał nieświadomie. Bo nie wiedział, dokąd idzie, zatopiony w myślach krążących wciąż dokoła jednego przedmiotu,

którym był przyjazd brata. Wtedy dopiero, kiedy już znalazł się na spadzistości wzgórza, spostrzegł, gdzie był, i zdjawszy kapelusz objął wzrokiem krajobraz, który niegdyś był świadkiem najważniejszego momentu jego życia. Podniecenie uczuciowości sprawione przez wieść otrzymaną potęgowało skłonność do wspomnień, którą, jak wszyscy ludzie smutni, posiadał w stopniu wysokim. Więc wszystko, co poprzedziło ów moment stanowczy, zdarzony przed laty osiemnastu, co wywołało go i co po nim nastąpiło, nie tylko stanęło mu jasno przed pamięcią, lecz wdzierало się w nią z natarczywością, której nie przewyżczał, bo lubił zatapiać się we wspomnieniach.

Przed osiemnastu laty był w Monachium i otrzymał od brata starszego list z wiadomością, że ojciec ich jest umierającym. Miał podówczas lat dwadzieścia sześć i ukończywszy szkołę sztuk pięknych oddawał się studiom i pracom malarzkim. Sztukę kochał ogromnie i studiował sumiennie, ale zapal jego do pracy był nieco ostudzonym przez zwątpienie o siłach własnych, a pogoda ducha zmaconą przez zawód serdeczny. Obrazy jego nie doznawały powodzenia; kobieta, którą ubóstwiał, spadła mu z piedestału tak fatalnie, że ani wątpić o tym, ani łatwo pocieszyć się nie mógł. Zaczynał tedy czuć się nieszczęśliwym, gdy przysłano mu wieść o niezawodnie zbliżającej się śmierci ojca. Był to wypadek niespodziewany, którego rychłej możliwości dotąd nie przypuszczał. Ptakiem poleciał do Zapolanki, gdzie znalazł ojca już nie żyjącego i brata, który przed niewielu dniami przybył tu wypadkiem, w przejeździe, na krótko. Wnet powstało u obu braci zagadnienie: co czynić z Zapolanką? Kiedy wybierali dla siebie kierunki życia i pracowania, krzepki organizm i dobre zdrowie ojca zdawały się zapowiadać życie długie, i dwaj bracia obrali sobie zawody według swoich skłonności i zdolności: jeden został inżynierem, drugi artystą. Teraz spadła na nich wioska, z którą nie wiedzieli, co uczynić. Dla Wik-

torą pozostanie w niej było niepodobieństwem zupełnym; Zenon także nie mógł zrazu myśleć o nim bez odrazy i zdziwienia. Według Wiktora wydzierżawianie ziemi mogło tylko spowodować utratę mienia całkowitą z dodatkiem kłopotów nieprzyjemnych i niepotrzebnych. Obstawał przy sprzedaniu Zapolanki i podzieleniu się sumą otrzymaną ze sprzedaży. Zenon przystał zrazu, potem zawahał się i zażądał zwłoki, raz jeszcze zgodził się na zamiar brata i znowu wynajdywał zarzuty przeciw niemu, namyślał się, zwlekał. Chodził tymczasem po polu, po lesie, zaglądał we wszystkie kąty dworu i domu, przypominał sobie różne dawne zdarzenia, wrażenia, osoby. Odwiedził też parę dworów i kilka wsi sąsiednich. Wiktor niecierpliwił się i naglił. Nie miał czasu na długie czekanie i potrzebował wiedzieć dokładnie, co, ile i kiedy mieć będzie. Wówczas to pewnego wieczoru, tak samo jak dziś jesienno, Zenon znalazł się na tej samej spadzistości wzgórza z laskiem sosnowym i tak samo jak dziś, objął wzrokiem krajobraz, z punktu tego widzialny. Siedział na kępach mchu, wsparty o pień drzewa zrąbanego, pośród trzmielin zaróżowionych przez jesień, paproci rdzawych i jałowców, które usychając nabierały barwy krwistej. Za nim stały sosny ciemne i gdzieniegdzie brzozy całe w złocie; przed nim, po obu stronach drogi polnej, jeżyły się łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszane owocami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane albo zasłane ścierniskiem żółtym, okryte zmarszczkami zagonów falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż pod skraje niebios usianych obłokami nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie jak ściana krwawa ze szczytem rozplywającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconymi po wzgórzach, nad dworem zapolankim, który ze swymi drzewami i kominami wyglądał jak obrazek sielski, wymalowany na tle złotoróżowym. Naprze-

ciw, w stronie wschodu, omglonej i liliowej, wieś chłopska, długa, szara, wywijala ku górze kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni; była też rzadka piękność rzeczy prostych a wspaniałych. Zenon patrzył długo na ziemię i niebo, tak zatapiając w nich zmysły, zarówno jak duszę, że zdawało mu się, iż nimi oddycha, i odwrotnie, jest przez nie wchłanianym. Uczuł się jednym z atomów składających te obłoki, tę zorzę, te pola pomarszczone zagonami, te sosny poplamione żółtością brzoź i różowością trzmielin. W tej chwili proces spajania się z tym otoczeniem, rozpoczęty od przybycia do Zapolanki, odbył się w nim ostatecznie. Następstwem zaś jego było to, że pozostał w Zapolance. Gdyby posiadał młodzieńczą wiarę w siebie i w ludzi, byłby może tego nie uczynił; ale poczuwając się do niejakich zdolności, zwątpił był o ich siłę i wadze, a życie napoczęło go już było tym najzjadliwszym ze swych zębów, którym jest rozczarowanie. Taki, jakim był, nie mógł już oderwać się od tego, czego uczuł się częścią, ani dla sztuki, ani dla sławy, ani dla szczęścia, w które, aby mogło być na ziemi doskonałym, już nie bardzo wierzył. Zawarł tedy układ z bratem i pozostał. Od tego czasu upłynęło lat osiemnaście. Jak upłynęło? On jeden tylko wiedział, a teraz dopiero dowie się o tym brat jego rodzony, tak dawno niewidziany, że wydawał się snem doświadczonego w młodości, wówczas, kiedy to jeszcze było dobrze i była wiara w to, że może być dobrze. Pisywali do siebie bardzo rzadko, czasem raz na lat parę; jeden o śmierci drugiego mógł dowiedzieć się z gazet albo wypadkiem, ale Zenon nie rościł o to do Wiktora pretensji żadnej. Myślał o nim czasem z żalem, czasem z goryczą, ale nigdy z gniewem. Gorycz wyrażała się w myśli: „Nieobecność i zapomnienie są synonimami“. W głębi był pewnym, że brat jego jest dużo lepszym od ludzi innych; przede wszystkim zaś, że jest mu najbliższym z ludzi. W porównaniu z nim nawet żona była dla niego znajomością świe-

żą. Poznana i poślubiona w stronach dość dalekich, nie znała nic z tego, co napełniało jego dzieciństwo i pierwszą młodość. Teraz dopiero zobaczy człowieka, który, tak jak on sam, znał jego matkę i płakał po jego ojcu, do którego w każdym kątku Zapolanki będzie mógł powiedzieć: „Czy pamiętasz?“ Wspomnienia wspólne wydawały się węzłem ogromnie silnym, jemu, który lubił wspominać. Przy tym, o Boże, będzie mógł dwa dni przepędzić z duchem ludzkim równym sobie, zapewne nawet wyższym, zasięgnąć jego rady w sprawach osobistych i powszednich, nagadać się z nim o rzeczach oderwanych, wysokich, najważniejszych dla człowieka, o których wечно myślał tylko, myślał, myślał sam jeden. Na koniec po latach długich otworzy przed kimś duszę aż do dna i będzie mógł powiedzieć komuś: „Widzisz, com przecierpiał i czegom wyrzekł się, com uczynił i czegom uczynić nie mógł, co mię cieszy, a co boli, dolega i trwoży!“ Na koniec odetchnie szeroko przy sercu silnym i współczującym, któremu będzie mógł bez wahania i skrupułu powierzyć wszystko, bo było sercem braterskim. Nie mieli rodzeństwa innego, ani nawet żadnych bliskich krewnych; na całym świecie jeden z nich dla drugiego był najbliższym krwią i duchem. Niezawodnie i duchem, bo Zenon Hornicz pamiętał wysokie wykształcenie umysłowe i serdeczne obchodzenie się z ludźmi brata. Wiktor był człowiekiem wysoce rozumnym, uczuciowym i dobrym, to nie ulegało wątpliwości najlżejszej. Że po kilka miesięcy zrazu, a później po lat parę nie odpisywał na jego listy, że nie odwiedził Zapolanki od lat już osiemnastu, czegóż to dowodzić mogło? Tylko pracy zawodowej ogromnej, wiru stosunków światowych, może także trosk rodzinnych, bo Wiktor ożenił się był od dawna, miał córkę, przed kilku laty owdowiał, o czym donosił mu w liście krótkim, ale pełnym smutku. On także przez ten czas długi musiał wiele przecierpieć, utracić i nieraz pochylać się nad otchłaniami bytu w zamyśleniach zdumionych i ciężkich. Takie serca miękkie,

jak jego, są materiałem szalenie podatnym dla wszystkich ryłców i lancetów życia. Bo Wiktor miał serce miękkie. Zenon pamiętał dobrze serdeczny żal brata po stracie ojca i łatwość przyjacielską, z jaką zawarł on z nim układy majątkowe. Teraz, przy pierwszej możliwości, przyjeżdża... Dobry, uczuciowy, rozumny człowiek i — brat, brat rodzony ze krwi i z ducha!

Zenon Hornicz siedząc na spadziści wzgórza przed krajobrazem ulubionym rozmarzał się po prostu. W wyobraźni jego postać brata, niewidziana od dawna, z każdą minutą stawała się większą, piękniejszą i droższą. Dwa dni, które miał z nim przepędzić, zaczęły rzucać nawet na przyszłość dalszą promienie nadziei najpiękniejszych. Teraz, kiedy zobaczą się znowu i przypomną sobie, czym są dla siebie, nigdy już nie rozstaną się na tak długo. Stosunek ich listowny stanie się ożywionym; kiedy niekiedy, to jeden, to drugi, puści się w podróż, aby odwiedzić brata, choćby miał ponieść dla tego niejaki ofiary. Odtąd on, Zenon Hornicz, nie będzie już duszą samotną i milczącą, wyrzuci z serca smutek, który spadł na dno jego od dawna, jak ciężarek żelazny na szalę. Przeciwnie, jadąc czasem do brata, wyjedzie w świat szeroki, ujrzy i usłyszy to, czego nie spodziewał się już widzieć i słyszeć, otrze się ze śniedzi, poweseleje... życie mu ożyje!

Porwał się z mchu, na którym siedział wspierając się o pień drzewa zrąbanego, i rażnym krokiem, z twarzą wesołą puścił się ku domowi.

## II

O tej samej godzinie, w której dnia poprzedniego Horniczowie jedli obiad w atmosferze zatrutej kwasem i posępnością, przy tym samym stole panował gwar głosów ożywionych i wesołych. Zenon Hornicz mógłby znaleźć w tym temat do rozmyślań nad pierwiastkiem życia, który zawsze najsilniej uderzał jego umysł, mianowicie nad zmiennością wszystkiego w życiu. Ale on teraz nie rozmyślał nad niczym, bo ze wszystkich poruszeń wewnętrznych istniały w nim tylko radość i czułość, ze wszystkich zmysłów wzrok, dla którego znowu nie istniało w tej chwili nic oprócz brata. Tylko co przywiózł go był ze stacji kolei i prawie wprost z bryczki posadził do stołu. Protestów Wiktora przeciw ukazaniu się damom w ubraniu podróżnym i okurczonym ani chciał słuchać; śmiał się z nich głośno i serdecznie, mówiąc, że jego żona i szwagierka nie były damami, tylko kobietami, i w dodatku wieśniaczkami, nie znającymi się na etykiecie światowej.

— Ależ nie mam jeszcze przyjemności znać twojej żony i jej siostry, a ukazywać się im po raz pierwszy w sposób tak nieawantażowny...

Nie skończył zdania rozpoczętego, wciągnięty prawie przymocą do pokoju, w którym znalazł się wobec Sabiny tak złąknionej, że ręce jej drżały, i wobec Rozalii poważnej, ale uprzejmej. Anielka i Kazio, trochę wystrojeni na przyjazd stryja, stali za matką i ciotką. Wiktor pocałował w rękę obie kobiety i oświadczył radość z tego, że je poznaje, uścisnął też z serdecznością wielką witające się z nim dzieci, zatrzymał

przez sekundę spojrzenie uważne na oczach Sabiny biegnących z przelęknienia i na pięknej kibici Rozalii, powiedział jeszcze parę zdań grzecznych, miłych, potocznych i zaraz potem wszyscy zasiedli do stołu.

Dla każdego nie znającego dwóch braci musiałoby wydać się niepodobieństwem to, że Wiktor był starszym od Zenona, bo wyglądał na młodszego o dobre lat dziesięć. Był szatynem średniego wzrostu, z małym początkiem otyłości, ale z ruchami młodymi i elastycznymi. Czoło miał białe i otwarte, policzki okrągłe i czerstwe, wąż zakręcony elegancko nad wargami wydatnymi, oczy piwne, piękne, bystre i wesołe. Mówił płynnie i z łatwością; swoboda obejścia się objawiała w nim wprawność wielką w załatwianiu okoliczności, spotkań, rozmów najrozmaitszych. Ubranie, w którym nie chciał ukazywać się damom, istotnie okurzone nieco w drodze, uderzało wytwornością materiału i zgrabnością kroju. Uderzającym był również dźwięk głosu jego, pełen słodczy i ciepła sympatycznego, które malowały się także w spojrzeniach i uśmiechach. Zasiadłszy do stołu okrył serwetą przód ubrania i z apetytem zjadał zupę, która wybornie udała się Marianie, przy tym opowiadał różne zdarzenia swojej dość długiej podróży w sposób tak zajmujący i często zabawny, że nawet Sabina przestała lękać się człowieka nieznajomego i troszczyć się o wartość podawanych potraw, ale słuchała go z oczyma rozbłysłymi od zajęcia i przyjemności. Zenon, zupełnie nawnie i prawie jak dziecko, wybuchał głośnym, serdecznym śmiechem przy każdym dowcipnym albo trochę wesołym słowie brata, i to w nim było osobliwego, że chociaż śmiał się szczerze, głośno, często, oczy jego pozostały na dnie smutnymi. Nalewał też do szklanki i kieliszka gościa piwo i wino, które dziś pośpiesznie z miasteczka sprowadził, zachęcał go do jedzenia i picia, przychyłony ku niemu po prostu patrzył mu w oczy, jakby chciał w nich wyczytać od razu i życzenia jego, i myśli, i duszę, i wszystko. Na to zajęcie nim brata

szczególne, gorączkowe Wiktor prawie nie zwracał uwagi. Jadł dużo, pił trochę, opowiadał, śmiał się patrząc najwięcej na Rozalię i zwracając mowę najczęściej do niej. Ona też głównie podtrzymywała rozmowę z gościem, bo Sabina, zazwyczaj małomówna, wobec człowieka nieznanego milkła jak ryba, Zenon był zbyt wzruszonym, aby móc zdobyć się na porządną rozmowę; Pawełek, obecny dziś przy stole, był zaciekawionym, ale też i zmieszanym; dzieci, naturalnie, milczały, z oczyma wlepionymi jak w tęczę w świeżo poznawanego stryja. Rozalia zaś była spokojną i pewną siebie; zadawała gościowi pytania, które zręcznie podsycaly jego werwę, odpowiadała mu w sposób swobodny i zajmujący, w częstotwaniu go poprawiała niezręczności popełniane przez załężnioną siostrę i wzruszonego szwagra. W sukni czarnej, ale odświężonej, z kruczymi włosami uczesanymi w sposób prosty i zarazem malowniczy, z kibicią kształtną i regularnymi rysami twarzy, była pięknocią kobiecią przekwitającą, lecz jeszcze ponętną. Wiktor przypatrywał się jej nieznacznie, ale z zajęciem; po czym przenosił wzrok na bratową, na brata i w oczach jego przebiegał wyraz zdziwienia albo filuterności. Rozmowa krążyła dokoła podróży, którą Wiktor Hornicz odbył i miał odbyć, a także dokoła podróżowania w ogólnoci. Rozalia była dziś pogodną i uprzejmą dla wszystkich, z wyjątkiem Pawelka, z którym nie przywitała się przed obiadem udając, że go nie spostrzega. W połowie obiadu dopiero błysnęła ku niemu spojrzeniem ironicznym i z również ironicznym śmiechem rzekła do gościa:

— Mamy tu pomiędzy sobą kogoś, kto także wybiera się w podróż po złote runo!

Wiktor spojrział na chłopaka, który zarumienił się jak piononia i spuścił oczy z uczuciem przykrości widomym. Nie mówił jeszcze wcale z pryncypałem i dobroczyńcią o zamiarach swoich, i to publiczne wydobyćcie ich na jaw wprowadziło go w położenie kłopotliwe. Zenon Hornicz zrozumiał to na-

tychmiast i pomimo urazy, którą czuł do wychowańca, żał mu się go zrobiło. „Po co go ona tak zawstydza? — pomyślał. — Taka rozmowa, jaką ja mam z nim do stoczenia, stoczyć się powinna tylko na cztery oczy“. Dla wydobycia więc Pawełka z położenia nie milego, zaczął prędko i długo opowiadać bratu o Górkiewiczu, o naturze i korzyściach posiadłości, którą otrzymał i dla której te strony opuszcza, o jego zamiłowaniu w agronomii i gospodarstwie szerokim, które skłania go do wyjazdu więcej jeszcze aniżeli interes pieniężny. Rozalia potakiwała słowom szwagra. Przyznawała Górkiewiczowi dużo inteligencji i nauki, chwaliła nawet z zapalem energię, która popycha go do pracy korzystnej i rozległej. Taki człowiek może wszędzie uczynić wiele dla siebie i dla innych. Wiktor, któremu brat przedstawił był Pawełka jako wychowańca i pomocnika swego, z uprzejmym spojrzeniem na młodzieńca zapytał:

— Czy zamierzona podróż pana zostaje w związku z odjazdem pana Górkiewicza?

Zamiast zapytanego Rozalia odpowiedziała:

— A tak, pan Paweł jedzie także robić fortunę. Od dwóch miesięcy miał ten zamiar, a szwagier mój i my dowiedzieliśmy się o nim dopiero wczoraj i ze strony. Ale to nie dziwnego, bo po pierwsze, nie ma na świecie karesu, który by nie poszedł w kąć dla interesu...

— Pani wybornie przerabia przysłowia! — zaśmiał się Wiktor.

Ona zaś dokończyła:

— A po wtóre: gdzie konie kują, tam i żaby nogi podstawić muszą!

Mówiła to swobodnie, wesoło, tak jak gdyby nie przechodziło jej nawet przez myśli dotknąć kogokolwiek tymi słowami. Pawełek przecież miał minę człowieka rozciąganego na torturach; Zenon Hornicz oburzył się za niego i rzekł z powagą:

— Co do żab i koni, to nie można nigdy twierdzić na pewno, że ten jest koniem, a ów żabą, bo to, co nam się wydaje większym, może być w gruncie rzeczy mniejszym, i na odwrót. Co zaś do tajemnicy czynionej przed nami, pochodziła ona tylko z wahań się i namysłów — przyszłego podróżnika.

Przy ostatnich wyrazach z żartobliwością przyjacielską mrugnął ku Pawełkowi, który wlepiał w niego oczy zdziwione i zachwycone. Wiktor zwrócił się ku młodzieńcowi z poufałością przyjacielską i czyniącą wrażenie sympatyczne.

— Ależ wiesz panu, wiesz panu przedsiębiorczości i energii! Bardzo dobrze, bardzo pomyślnie, że zdarzyła się panu posada korzystna i sposobność pracowania pod przewodnictwem człowieka tak przedsiębiorczego i energicznego, jakim, o ile tu słyszę, musi być pan Górkiewicz. Przede wszystkim przedsiębiorczość i energia! Trzeba zawczasu budować sobie przyszłość!

— Ależ — wtrącił Zenon — budowanie przyszłości nie zależy tylko od mniej lub więcej korzystnej posady i znacznych dochodów!

— A od czegoż więcej ona zależy? — zapytał Wiktor.

Zenon z niejakim zadziwieniem w głosie odpowiedział:

— Przecież człowiek młody ma przed sobą przyszłość podwójną: materialną i moralną.

Wiktor zaśmiał się i śpiesznie potwierdził.

— Ależ tak, to się rozumie, o tym przecież nie trzeba i wspominać! Piąte: nie zabijaj! szóste: nie kradnij!

Zenon przerwał śpiesznie:

— To elementarne! Naturalnie, że o moralności kodeksowej wspominać nawet nie trzeba. Ale poza jej granicami jest pole obowiązków i cnót bardzo szerokie.

Wiktor popatrzył przez chwilę na brata, zastanowił się i odpowiedział:

— A jest, rzeczywiście jest, nie wiem, czy takie szerokie,

jak ty mówisz, ale jest. Tylko że siostry miłosierdzia i inne tam owieczki boże już po nim chodzą. I niech sobie zdrowe chodzą! Dla nas zaś, kozłów światowych, przedsiębiorczość, praktyczność, energia — przede wszystkim! Naturalnie, że rozbijać po drogach, ani kraść, ani weksli fałszować nie należy, bo za to można dostać się na tym świecie do kozy, a na tamtym, jak księża powiadają, do piekła, jeszcze gorszej niż koza instytucji...

Kończył mówić śmiejąc się, po czym spoważniał.

— A propos kozy, czy słyszeliście państwo o sławnym skandalu finansowym i wynikłym z niego procesie, który zdarzył się w dniach ostatnich?

Ponieważ zaś mieszkańcy Zapolanki nic o tych rzeczach nie słyszeli i tylko trochę znali je z gazet, opowiedział je obszernie i ze szczegółami. Był to jeden ze szwindłów finansowych na skalę ogromną, z ostatnim aktem odegranym przed krótkami sądowymi. Kiedy skończył opowiadać, Zenon zawołał:

— A widzisz, Wiktorku, do czego doprowadzają czasem przedsiębiorczość i energia, praktykowane z wyłączeniem tych cnót, po których polu chodzą siostry miłosierdzia i inne owieczki boże!

Wiktor spojrział na mówiącego oczyma zdumionymi.

— A cóż to ma jedno do drugiego? Że tam kilku łotrów bank okradło, ja nie miałbym prawa zbierać sobie majątku sposobami uczciwymi?

— Masz je niezaprzeczenie; tylko że bardzo jest trudno zbierać majątek duży bez krzywdy czyjejs pośredniej lub bezpośredniej i napełniać szkatułę nie opróżniając serca.

Wiktor słuchał uważnie, ale rozśmieszyły go ostatnie słowa brata.

— Co? nie opróżniając serca? — zawołał śmiejąc się — ależ całkiem przeciwnie, mój drogi, całkiem przeciwnie!

Tylko wtedy, gdy się ma pełną szkatułę, można sobie napelnić serca... różnymi dobrymi rzeczami.

— Nie wiem, o jakich dobrych rzeczach mówisz — ze zmieszaniem wtrącił Zenon.

— Wszelkiego rodzaju, mój drogi, o wszelkiego rodzaju dobrych rzeczach: rozrywkach, przyjemnościach, wesołości, a szczególnie, szczególnie o najlepszej ze wszystkich, którą jest miłość. Tylko ze szkatułą pełną można pozwalać sobie na te wszystkie zbytki, zwłaszcza na ostatni, który we wszystkich znaczeniach jest najdroższym!...

Mówiąc o miłości rzucił spojrzenie na Rozalię, która żartobliwie zauważyła:

— Szwagier mój jest w ogóle nieprzyjacielem zbytków wszelkich...

Wiktor obrócił się do brata i w twarz mu popatrzał.

— Co? ty nieprzyjacielem zbytków? Eks-artysta? Nie wierzę! A co wyrabiałeś w Monachium, a? pamiętasz? Ale o tym teraz mówić nie wolno...

Filuternie spojrzał na Sabinę, która zmieszała się ogromnie. Zenon trochę spochmurniał, ale usiłując dostroić się do tonu brata żartobliwie odpowiedział:

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. To są dawne historie, a od lat już wielu...

— Od lat już wielu zostałeś trapistą! cha, cha, cha!

Śmiejąc się objął ramieniem szyję brata i ucałował go w oba policzki. Przy tym mówił:

— O, ty mój kochany, pocziwy trapisto!

Obiad był już skończonym, ale Sabina, jak zwykle bywało z nią przy gościach, zapomniała o daniu znaku do wstawiania od stołu. Miała głowę tak napelnioną tym, co gość jadł i jeść będzie, rozmowa nieco gwarniejsza tak męciła jej myśli, że we wszelkich wypadkach podobnych byłaby do wieczora przesiadywała przy stole, gdyby nie wyręczała jej Ro-

zalia. Wyręczyła i teraz, ze znakiem porozumienia rzuconym ku siostrze wstając z krzesła.

W bawialni dość obszernej, z niskim sufitem i sprzętami staroświeckimi, Wiktor chwycił wpół przebiegającą obok niego Anielkę i żartobliwie, ze śmiechem zaczął pytać ją o nauki i zabawy, przy czym przypatrywał się nieznacznie szczegółom powierzchowności podlotka, który odziedziczył po matce nieśmiałość wielką i twarzyczkę okrągłą, białą i różową.

— Pójdźmy przejść się, Wiktorze — zaproponował Zenon — wyobrażam sobie, jak musisz być niecierpliwym zobaczenia ziemi i nieba w Zapolance. Po osiemnastu latach...

— I owszem, i owszem! — chętnie zgodził się gość, ale natychmiast zwrócił się ku paniom:

— Wszakże panie nie zechcą odmówić nam towarzystwa swego?

Mówił w liczbie mnogiej, ale patrzył tylko na Rozalię. Sabina uczyniła ruch niespokojny i zaszeptała coś o braku czasu i potrzebie pozostania w domu. Rozalia zaś odpowiedziała z uśmiechem:

— Nie chciałybyśmy przeszkadzać obecnością swoją pierwszej rozmowie poufnej braci po tak długim niewidzeniu.

— Ależ mój Boże! — zawołał gość. — Cóż byśmy takiego mieli sobie do powiedzenia, czego by świat cały słyszeć nie mógł! Nie jesteśmy przecież parą kochanków. Prawda, kochany mój trapisto?

Znowu uściśnął Zenona i obu dłońmi poklepał go po ramionach. Rozalia przecież odmówiła stanowczo wzięcia udziału w przechadzce, i bracia wyszli we dwóch do ogrodu. Ten ogród był dziełem, uciechą i dumą Zenona. Pragnął go przede wszystkim pokazać bratu. Były tam aleje i drzewa pojedyncze stare i pełne wspomnień ze wspólnego ich dzieciństwa; ale zarośla malownicze, trawniki piękne, sad owocowy, bardzo rodzajny i w tej porze roku najprzepyszniejszy, to już będą dla Wiktora niespodzianki, które sprawią mu pe-

wno przyjemność wielką. Bo każdemu przecież miło być musi ujrzeć miejsce rodzinne tak starannie utrzymywanym, przyozdabianym, wzbogacanym. Milczał i oczyma rozpromienionymi wypatrywał na twarzy brata objawu pierwszych wzruszeń i zadziwień. O kilkadziesiąt kroków od ganku Wiktor zwrócił się ku niemu i rzekł półgłosem:

— Ta twoja szwagierka, choć nie pierwszej młodości, jest jeszcze bardzo interesującą. Musiała być kapitalnie piękną, a i teraz jeszcze, oho! diabełki w oczach siedzą! Przy tym jest bardzo przyjemną w rozmowie... Cóż ty na to?

Uśmiechnął się filuternie, patrząc bratu w oczy. Dla Zenona takie rozpoczęcie rozmowy było niespodziewanym; więc bąknął tylko:

— Tak, to prawda, Rozalia była bardzo piękną i w rozmowie jest dość przyjemną.

— Cóż tak obojętnie o tym mówisz? No, przyznaj się, że żyjąc z taką kobietą pod jednym dachem, od rana do wieczora, na wsi... nie podobna, aby tam czegoś... tak niby... nie było pomiędzy wami!

Zenon stanął jak wryty, z oczyma szeroko otwartymi. Po chwili osłupienia przemówił:

— Co? pomiędzy mną a Rozalią? Ależ to siostra mojej żony!...

— No, tak, tak, zapewne — uśmiechał się wciąż Wiktor — ale na świecie bywają różne rzeczy. Zdarzają się i takie... czy tylko takie! Myślałem, że jesteś dawnym Zenkiem, pełnym fantazji i trochę szalonym.

Zenon ochłonął już ze zdumienia i spokojnie mówić zaczął:

— Życie jest doskonałym lekarzem od fantazji i szalów. Ale i w tych czasach, o których wspominasz, jakkolwiek szalony, nie miałem pociągu do rzeczy szpetnych fizycznie czy moralnie, miałem nawet do nich wstręt... To zaś, co przypuszczaleś, byłoby ze wszech względów ogromnie szpetnym...

— Zapewne, zapewne — potwierdził Wiktor — ale bywają pokusy, którym niekiedy człowiek najuczciwszy oprzeć się nie może...

— Mogę cię upewnić, że w tym wypadku nie doświadczałem nawet pokus żadnych. Rozalia nie jest moim ulubionym typem kobiecym...

Starał się mówić tonem żartobliwym, ale z przykrością niewymowną myślał: „O czymże to my rozmawiamy!“ Wiktor zaś ta rozmowa interesowała.

— Nie jest twoim ulubionym typem — powtórzył. — A jakież ty masz typ ulubiony? Aha, blondynki! Twoja żona jest blondynką! Bardzo miła osoba. Tylko że wygląda na flegmatyczkę. Musi mieć temperament ogromnie limfatyczny. Te blondynki to tak: albo ogień, albo woda. Jednak przypominam sobie, że ten twój ideał monachijski, za którym tak szalałeś i który cię tak haniebnie wystrychnął na dudka, był brunetką ognistą. Prawda? co?

— Już nie pamiętam — odrzekł Zenon z cicha, bo wspomnienie o ideale owym w takiej formie nasunięte niemile go dotknęło, i z przykrością coraz dolegliwszą myślał: „O czymże to rozmawiamy!“ Stał i szerokim gestem ukazując bratu przestrzeń otaczającą rzekł:

— Spójrz, Wiktorze. Popatrz trochę na dzieło rąk moich!

Stare aleje i klomby z krzewów, ozdobne, malownicze, trawnikami i ścieżkami otoczone, przeszli już i minęli. Na Wiktora nie sprawiły one wrażenia żadnego. Możeby sprawiły, gdyby na nie patrzył, ale rozmawiając, żartując, zaglądając wesoło w twarz brata, nie patrzył. Teraz znajdowali się w środku ogrodu owocowego zajmującego spory kawał gruntu. Mnóstwo tam było drzew, z których nie zdjęto jeszcze owoców zimowych, których gałęzie gięły się pod ciężarem jabłek czerwonych jak rubiny, grusz złotawych, śliw fioletowych. Zenon rozpromieniony od uciechy serdecznej mówił:

— Od otrzymania twego listu marzyłem o chwili, w któ-

rej ci to pokażę. Drobną rzecz, ale taka moja! Pamiętasz, jakie tu było zestarzenie i zdziczenie przed osiemnastu laty. Biedny ojciec nie miał już w ostatnich latach energii ani ochoty do pielęgnowania ziemi. Ziemię zaś, mój drogi, trzeba nie tylko uprawiać, ale i pielęgnować, jak matkę, aby nie podupadła na siłach, i jak dziecko, aby w nie wzrastała, a jeżeli chcesz, nawet jak siostrę, aby stawała się coraz piękniejszą. Bo ziemię, mój drogi, można uczynić nie tylko urodzajną, ale także piękną, i może być ona nie tylko żywicielką, ale i pocieszycielką. Widzisz ten duży kawał ziemi zarosły suszyczną i chwastami? Był nie tylko bezużytecznym, ale brzydkim, smutnym. Teraz co? Wszystko tu siałem i sadziłem sam, z pomocą tylko dwóch niedorosłych robotników, bo na większą ich ilość i na ogrodnika nie miałem pieniędzy. Nie znałem się też na ogrodnictwie, trzeba się było go wyuczyć! Zaczytywałem się w książkach ogrodniczych, zasięgałem rad paru sąsiadów doświadczonych. No, i zrobiłem, mam. Popatrz tylko. Z jednej strony przynosi to korzyść znaczną, a z drugiej, ile tu barw, linii, półświątek, półtonów! To obraz wymalowany przeze mnie zamiast na płótnie na łonie ziemi, która wydała mię na świat. Jak mogę, jak mogę, tak wywdzięczam się jej za życie...

Mówiąc to wszystko, ulegał metamorfozie stopniowej. Wyprostował plecy, zmarszczki zniknęły mu z twarzy prawie zupełnie, oczy rozbłysły entuzjazmem młodzieńczym. Wiktor przypatrywał się pięknemu ogrodowi uważnie i z przyjemnością, a gdy Zenon umilkł, rzekł:

— Tak, tak, bardzo piękny sad owocowy. Ile przynosi?

Zenon wymienił cyfrę dość znaczną i uszczęśliwiony wsunął rękę pod ramię brata.

— Ale nie zauważyłeś moich gaików i malutkich dywanów kwiatowych. Choć to już późno, ale są jeszcze piękne, w tej porze roku może jeszcze piękniejsze niż latem. Cudnymi są nasze jesienie! Chodź, zobacz, jakie mam pyszne su-

maki. Sadziłem je razem z wierzbami srebrnymi, i teraz to tworzy efekt szczególny: na tle krwistym potoki roztopionego srebra!

Drogami krzyżującymi się pośród drzew owocowych prowadził brata do części ogrodu otaczającej dom i na którą przedtem nie zwrócił on był uwagi. Wiktor szedł chętnie i mówił wesoło:

— Zawsze byłeś i pozostałeś poetą. Mówisz o ogrodzie jak o kochance. Ale nie dziwię się wcale. Praca swoja każdemu miła. Ja mam teraz przed sobą taką, do której się aż palę. Wyobraź sobie, że idzie o zmianę systemu w całej ogromnej gałęzi fabrykacji państwowej. Czy znasz się choć trochę na mechanizmie gorzelnianym. Nie? to posłuchaj. Zaraz wytłumaczę ci, o co chodzi.

Zaczął tłumaczyć. Mówił o przeznaczeniu i konstrukcji różnych maszyn i aparatów mechanicznych, o naturze kruszców, z których bywają sporządzanymi, o sposobach, sile, stopniach siły, z którymi działają na powierzone im materię różne działacze natury: woda, para, ciepłik, tarcie itp. Był to cały wykład mechaniki, z mnóstwem komentarzy zaczerpniętych z fizyki, chemii, mineralogii. Mówiąc o tym wszystkim Wiktor Hornicz stał się człowiekiem poważnym, i nie tylko poważnym, ale nawet pełnym wiedzy i zapału. Posiadał znajomość ogromną przedmiotu, o którym mówił, i nie mniejsze w nim zamiłowanie. Mówił z łatwością wielką i tak nieustannie, że byłoby nie podobna wtrącić mu w mowę ani jednego słowa. Ale Zenon nie myślał przerywać mu mowy żadnym słowem, bo w tym potoku słów i okresów technicznych większości nie rozumiał, a inne, choć zrozumiałe, nie wiązały się mu w umyśle w żaden sens jasny. Naturalnie, mechaniki nie studiował nigdy i miał o niej wyobrażenie zaledwie elementarne. Raz pomyślał: „Jaki on dziwny! Przecież musi wiedzieć, że nikt nie może bez długiego przygotowania rozumieć takich rzeczy ani o nich rozmawiać!“ Ale Wiktor

nie zwracał uwagi najmniejszej na rozpaczliwą niekompetentność słuchacza. Z przyjemnością człowieka, który wpadł na główny temat życia swego, mówił i mówił o systemach fabrykacji gorzelnianych, takich, jakie były, są, będą i być powinny, w najróżniejszych krajach europejskich. Mówiąc trzymał brata pod rękę i chodził z nim po alejach starych, pełnych wspomnień wspólnego ich dzieciństwa, dokoła klombów będących rozkoszą i dumą ich twórcy, o niczym wcale nie wspominając i na nic nie patrząc. Zenona to chodzenie bezmyślne z alei w aleję, ze ścieżki na ścieżkę i to słuchanie o rzeczach prawie niezrozumiałych zaczęło nużyć i nudzić. Po raz pierwszy przerwał mowę bratu:

— Usiądźmy. Możesz mówić, a ja mogę słuchać zarówno dobrze, siedząc, jak chodząc.

Naturalnie, chodzili tylko dlatego, aby obejrzeć razem piękny ogród, skoro go zaś nie oglądali... Przy tym ławka, na którą Zenon zaprosił brata, stała w miejscu tak pełnym wdzięku i malowniczości, że chyba już teraz Wiktor je zauważy i przestanie mówić o swoich maszynach. Rosły tam właśnie owe sławne sumaki czerwone i wierzby srebrne, kwitły na trawniku wielkie krzaki floksów liliowych i śnieżnych; przez otwór umyślnie uczyniony pomiędzy drzewami widać było szlak łąki za ogrodem, ciągnący się pod wzgórzem lesiste i teraz cały w złocie zachodzącego słońca. Spojrzenie Wiktora wypadkiem upadło na ten kawałek łąki.

— A! — zawołał — toż to ta sama łąka, po której ty i ja, małymi chłopcami, hasaliśmy boso, po rosie! Ale tylko w lecie można było to robić. Na wiosnę i w jesieni była bardzo błotnista. Jak teraz wybornie i prędko można osuszać błota, choćby największe! Czy wiesz, jakimi sposobami osuszono blisko połowę błot poleskich?

Jak przedtem o fabrykacji gorzelnianej, tak teraz opowiadać zaczął o osuszaniu gruntów mokrych, przy czym rolę ogromną odgrywała hydraulika, będąca właśnie najulubień-

szym przedmiotem jego studiów. Przed kilku laty dokonał był w tej dziedzinie pewnego odkrycia pozwalającego na używanie pewnej kombinacji działań, przedtem poczytywanej za niemożliwą. Opowiedział teraz bratu to odkrycie ze szczegółami najdrobniejszymi, a Zenon, w połowie tylko rzecz rozumiejąc, słuchał go przecież z oczyma rozbłyśniętymi od zajęcia i radości. Powodzenie brata i chwala, którą się okrył, cieszyły go ogromnie. W końcu rzekł z cicha:

— Tak, to prawda! cóż znaczy praca moja, mała, mrówcza, wobec tych, które ty dokonywasz! Dla mnie jednak jest to jedyną pociechą, gdy pomyślę...

Wiktor przerwał mu z ożywieniem wielkim:

— Naturalnie, mój drogi! Żyjemy w epoce wielkiej nauki i wielkiego przemysłu...

Zaczął mówić wiele i bardzo rozumnie o tym, jak nauka wspiera i rozszerza przemysł, a przemysł ułatwia i przyozdabia życie ludzkie odkrywając coraz nowe źródła zarobków, wygod i użycia wszechstronnego. Zmrok spuszczać się zaczął na sumaki i wierzby, na trawniki, floksy i szlak łąki za ogrodem, gdy nadbiegła Anielka i cała w rumieńcach, drżącym głosikiem oznajmiła, że: „Mama prosi na herbatę“.

Przy stole herbatnim, wyelegantowanym, zastawionym, ozdobionym kwiatami, Rozalia rzekła do gościa:

— Zenon musiał chwalić się przed panem swoim ogrodem. Jest on rzeczywiście dziełem rąk jego, które się dobrze udało.

— Tak, tak — potwierdził gość — śliczny ogród, tylko że ja w ogóle nie umiem zachwycać się — zielenią!

— Pracując tak wiele i nad rzeczami tak ważnymi nie miał pan pewnie czasu przypatrywać się naturze — grzecznie zauważyła Rozalia.

Gość zaprzeczył.

— Ej, nie, owszem, bywałem nieraz na wsi i za granicą w miejscowościach sławnych z piękności. Ale jakoś nie mam

już do tego zmysłu. Wzgórek, trawka i źródelko: oto dla mnie i cała natura. Większe, mniejsze, ale zawsze to samo: wzgórek, trawka i źródelko...

— Czy i morze wydaje ci się źródelkiem? — zapytał Zenon.

— Nudne! — zawołał Wiktor — ach, mój kochany, jaka to nudna rzecz to morze! Bywałem nieraz nad brzegami jego, pływałem po nim. Powiadam ci, że gdyby na parowcach nie było z kim grać w winta i czasem nie istniały anioły pociechy w postaciach dam ładnych i miłych, można by umrzeć na nich z nudy. W dekoracjach teatralnych robi to wrażenie duże, ale w rzeczywistości — woda, woda i woda! Co jest prawdziwie pięknym i zdumiewającym, to telegrafy podmorskie...

— Że są zdumiewające, na to zgoda — z trochę zniecierpliwienia przerwał Zenon — że bardzo pożyteczne, to także niezawodne, ale aby telegrafy jakiegokolwiek mogły być pięknymi...

— Są nie tylko pięknymi, lecz wprost cudownymi — zawołał Wiktor. — Nauka i przemysł dokonały w tym dziele cudu prawdziwego...

Zwróciwszy się do pań zaczął wyklądać im sposób urządzenia telegrafów podmorskich płynnie, obszernie i dość dośiępnie. Na twarzy Sabiny, która prawie nic z mowy jego nie rozumiała, malował się jednak podziw nad mądrością szwagra; Rozalia słuchała z zajęciem, rozumiała wiele, choć nie wszystko, i była coraz widoczniej zachwyconą gościem. Zenon nie promieniał już od uciechy i nie patrzył bratu w oczy, tak jak przy obiedzie, niemniej widać było, że cieszy się jego obecnością, uczonością, wesołością i tylko czasem markotniał, spuszczał powieki i widać było, że odbiegał myślą od telegrafów podmorskich, kto wie? może ku „zieleninie“ tak ostatecznie i bez ratunku wzgardzonej przez brata.

Po herbacie, w bawialnym pokoju Wiktor zbliżył się do fortepianu.

— Pani jest muzykalną? — zapytał Rozalii.

Była muzykalną. Grywała wiele i z zamilowaniem. Teraz także zasiadła do fortepianu, Wiktor usiadł przy niej i z głową opartą na rękę słuchał. Zenon przypatrywał się mu z kanapki stojącej w kącie pokoju i wydało mu się parę razy, że brat udaje czasem pilnego słuchacza, a myśli wcale o czym innym niż o muzyce. Dla niego talent muzyczny Rozalii był nieraz i przyjemnością wielką, i smutkiem; ta osoba bowiem, samodzielna i niestała, nie grywała wcale podówczas, gdy on potrzebował tego najwięcej, ale tylko podówczas, gdy sama grać chciała. Czasem spędzał przy jej muzyce szare godziny pełne uroku smętnego i myśli uciekających w kraje ideałów; ale daleko częściej, wtedy właśnie, gdy najmocniej gryzła go nuda życia samotnego i kłopotliwego, Rozalia była w złym humorze i za nic nie usiadłaby do fortepianu, choćby dlatego, aby nie okazać mu przez to swej życzliwości. Biedna Sabinka grywała niegdyś słabiutko i dość wdzięcznie, ale już od dawna poszło to u niej w zaniedbanie najzupełniejsze. Teraz Zenon czuł trochę gniewu przeciw Rozalii za to, że długim graniem swoim zabierała mu brata, i z niejaką niecierpliwością oczekiwał końca muzyki; ale gdy Rozalia po długim graniu wstała od fortepianu, Wiktor wstał także, i zaczęli chodzić po pokoju rozmawiając z ożywieniem o paru operach, które Wiktor widywał na wielkich scenach europejskich, a o których Rozalia, chociaż ich nie widziała nigdy, umiała zręcznie mówić i decydować. Byli nawzajem bardzo zajęci sobą, i Wiktor raz tylko zwrócił się do brata, siedzącego na kanapce, w kącie pokoju.

— Byłeś na „Aidzie“, prawda? Pamiętasz scenę zbierania się nad morzem ludu, kapłanów i bożków egipskich? Jakie tam dekoracje, jaki personel olbrzymi...

Zenon parsknął śmiechem.

— Mój drogi, jakimże sposobem mógłbym „Aidę“ znać ze sceny? Przecież od lat osiemnastu nie byłem w żadnym wielkim mieście...

— To szkoda! — rzucił Wiktor i wracając do przechadzki z Rozalią, zaczął opowiadać zdarzenia i anegdoty z życia różnych śpiewaków i śpiewaczek.

Zenon patrząc na przechadzającą się parę myślał:

„Ależ on naprawdę zajmuje się Rozalią! Może się z nią ożeni? Kto wie? Są dla siebie stosowni wiekiem...“

Rozalia nie była wcale zalotną i nie miała staropanieńskiej śmieszności upatrywania w każdym mężczyźnie wielbiela lub konkurenta. Jednak zajęcie się nią gością, widoczne i coraz żywsze, mogło jej pochlebiać i nawet nasuwać przypuszczenie pewnego rzędu. Stawała się coraz weselszą, mówniejszą, aż przy końcu wieczora Wiktor przysiadł się do Sabiny i dokonał tego prawdziwego cudu, że ją także rozweselił i do mówienia skłonił. Zaczęła trwożliwie i z wahaniem, potem rozgadała się o dzieciach, o domu, o swoim sposobie przepędzania czasu, prawie rozszczebiotała się, ożywiona ogromnie, często przez dowcipy i zapytania szwagra rozśmieszona. Ze zaś i Rozalia przyjmowała niemalże udział w tej gawędce poufalej, pustej, żartobliwej, więc wszyscy troje, siedząc przy stole z lampą i starymi albumami, bawili się wybornie. Godzina była dość późna, kiedy Zenon wstał z kanapki stojącej w kącie pokoju.

— Może już potrzebujesz odpocząć po drodze — rzekł zbliżając się do brata.

Wiktor zgodził się chętnie, mówiąc, że istotnie czuje się trochę zmęczonym podróżą; wesoło ucałował ręce bratowej, a życząc Rozalii dobrej nocy znacząco w oczy jej popatrzył. Po kilku minutach bracia znaleźli się sam na sam w pokoiku na górze, czystym, wesołym, przystrojonym firankami świeżutkimi i wielkim bukietem z floksów różnobarwnych, stojącym na stole obok kilku książek i dzienników. Zenon upa-

trywał znowu na twarzy brata wrażenia, które pokój ten na nim sprawi. W nim to przecież za czasów szkolnych mieszkali we dwóch, spędzając w domu wakacje, w nim także po śmierci ojca, gdy zwłoki zmarłego stały na dole w pokoju najparadniejszym, spędzili parę nocy na cichych rozmowach o stracie poniesionej i różnych swoich smutkach i nadziejach. Tu Zenon zwierzał się przed starszym bratem z zawodu serdecznego, który go spotkał od kobiety ukochanej, a Wiktor opowiadał mu o pożyciu szczęśliwym z tą, którą niedawno był poślubił. Nie był jeszcze wówczas ani bogatym, ani tak znaczącym i pewnym siebie; doświadczał obok szczęścia domowego wielu trosk i niepewności. Ileż dni upłynęło od owych nocy przerozmawianych z bratem! Ile zmian zaszło w położeniu i usposobieniu ich obu! Jakim nagłym, rzecnym przypomnieniem porannych i przedpołudniowych godzin życia, uderzy mu serce na widok tego pokoju!

Lampę znaleźli już zapaloną; na krześle przy stole stała zamknięta skrzynka podróżna, do której Wiktor zbliżył się wprost ode drzwi, i otwierając ją, plecami do brata odwrócony, półgłosem mówić zaczął:

— Powiedz mi, Zenku, dlaczego ta wasza Rozalia nie wyszła za męża? Taka pyszna kobieta, piękna i wykształcona. Czy nikt się nie poznał na niej, czy zanadto przebierała, albo może jakie małe nieszczęście, co?

Przy ostatnich wyrazach odwrócił twarz ku bratu i filuternie mrugnawszy zaczął wydobywać ze skrzynki toaletowe przybory i drobiazgi. Zenon przez chwilę nie odpowiadał. Spuścił powieki, brwi ściągnęły się mu posępnie. Na koniec siadając na krześle umieszczonym przy stole odpowiedział:

— Nieszczęście było istotnie, ale nie takie, jakie przypuszczasz. Przed dwunastu laty Rozalia miała narzeczonego, który na krótko przed dniem na ślub wyznaczonym prawie nagle umarł. Była po nim w rozpacz, i chociaż zdarzały się jej potem partie odpowiednie, za męża iść nie chciała.

— Głupia! — zawołał Wiktor i wyprostowawszy się znad skrzynki zaczął wydobyłym z niej grzebieniem przyczesywać sobie wąsy i krótko przystrzyżone włosy. — A wydaje się taką rozsądną, nawet rozumną! Zostać starą panną dlatego, że jakiś tam narzeczony, Bóg wie tam kiedy, umarł! Chodząc to jeszcze po świecie takie sentymenty i romanse! Ale czyż to naprawdę przyczyna rzeczywista? a? powiedz prawdę!

— Mogę upewnić cię słowem honoru, że jest to przyczyna rzeczywista i jedyna pozostania Rozalii niezamężną. Wyznam ci też, że ta stałość uczucia, którego grób nie zabił, podnosiła ją zawsze w oczach moich.

— Może to i bardzo wzniosłe, ale niepraktyczne — odparł Wiktor. — I cóż dobrego wyniknęło z tej stałości? Umarłego przez nią nie wskrzesiła, a sama, zamiast być żoną, matką i jakiego żyjącego śmiertelnika uszczęśliwiać, więdnie w staropanińskim stanie. To jest wielka niepraktyczność, a co niepraktyczne, to i na diabła zda się. Szkoda kobiety! Lepszego losu warta!

Na twarzy Zenona rozlewał się uśmiech ironiczny i pochmurny.

— Uważam, że zajęła cię bardzo żywo. Jesteś w możności poprawienia jej losu, nad którym tak ubolewasz. Spróbuj, może już zapomniała, albo może uda ci się zasłonić przed nią cień z tamtego świata.

Wiktor, który w przywdzianym przed chwilą szlafroku eleganckim i kosztownym czyścił sobie paznokcie jakimś polyskującym i delikatnym narzędziem, podniósł na brata oczy pełne zdziwienia.

— Ja? — zawołał — ależ ja jestem już prowincją zabraną, podbitą, na wieki wieków oddaną w posiadanie najpiękniejszej w świecie rączki. Mam narzeczoną, mój drogi! Zjadę się z nią teraz w Wiedniu, tam ślub weźmiemy i będziemy już razem odbywali dalszą podróż. Wybornie się złożyło, uważasz? Bo podróż poślubną zawsze potrzeba byłoby odbyć,

więc ją odbęde, ale jednocześnie z obowiązkową, w którą zwierchność mię wysyła. Koszt więc prawie żaden, a przyjemność podwójna, bo razem z miesiącem miodowym studia niesłychanie ciekawe i korzystne. Chcesz może wiedzieć, jak wygląda narzeczona moja? Oto masz jej portret, bardzo podobny. Śliczna, prawda?

Zenon patrzył długo na dużą fotografię podaną mu przez brata, z której uśmiechała się twarz kobiety może trzydziestoletniej, śliczna istotnie, rozumna, pełna wdzięku i słodyczy. Patrzył długo, bo czar wielki bił ku niemu z jej oczu mądrych i dobrych, z uśmiechu zamyślonego, z bogactwa włosów upiętych malowniczo nad czołem otwartym i szlachetnym. Po kilku minutach zaledwie oddając bratu fotografię rzekł:

— Szczęśliwy jesteś, Wiktorze. Przeżyjesz po raz drugi ten poemat życia. Ja, który nie przeżywałem żadnego...

— Tak, tak — wpadł mu w mowę Wiktor — małżeństwo z tą kobietą można rzeczywiście nazwać poematem...

I usiadłszy obok brata, zaczął mu obszernie rozpowiadać wdzięki i zalety narzeczonej. Nie skąpił szczegółów; kobietę kochaną rozbierał po prostu przed słuchaczem, zarówno fizycznie, jak moralnie. Rozgrzał się i uniósł do tego stopnia, że wyrażenia poetyczne albo namiętne wplatały się mu w mowę. Dostał silnego blasku w oczach i rumieńców na policzkach. Mówił długo. Powiedział nazwisko narzeczonej i że to była młoda wdowa, która pierwszego męża nie kochała, że miała majątek, co nigdy niczemu nie przeszkadza, że różnica wieku jest trochę za dużą, ale że nie budzi to w nim obawy najmniejszej, bo naprzód czuje się sam zdrowym, silnym i jeszcze młodym, a potem wie dobrze, kogo bierze i jak zupełnie polegać może na prawości, szlachetności i przywiązaniu do niego tej kobiety.

Zenon słuchał tych zwierzeń z oczyma przysłoniętymi dłońmi, jakby olśniony roztaczanym przed nim obrazem wiel-

kiego szczęścia. Kiedy na koniec Wiktor umilkł, odsłonił oczy i rzekł głosem nieco stłumionym:

— Czego najwięcej wieszę ci, Wiktorze, to tego, że będziesz z żoną na jednym poziomie umysłowym. Mógłbym, chciałbym nawet opowiedzieć ci, jak dalece rozdział myśli i upodobań wpływa przytłumiająco na stronę uczuciową... Poznałeś moją żonę, jest to kobieta niezmiernie dobra, uczciwa i którą bardzo szanuję...

— Ależ Amelia jest bardzo, bardzo wykształconą! — z żywością przerwał Wiktor — wiele czyta, posiada parę ładnych talentów, w towarzystwie bywa prawdziwie świetną. Innej bym nie wziął. Wziąć sobie za towarzyszkę wiekuiłą gęś albo kurkę, dziękuję! Nuda w domu i wstyd przed ludźmi...

Znowu mówił o zaletach umysłowych i towarzyskich przyszłej żony dość długo, ale z mniejszym zapałem niż przedtem. Były to już także zwierzenia zupełnie jednostronne, bo Zenon po dwukrotnej nieudanej próbie „otwierania duszy“ przed bratem, zamknął ją i milczał jak ściana. Dusza jego zamknęła się z lekkim zgrzytem, którego odgłos rozszedł się po wszystkich jej zakątkach. Ale i wymowa Wiktora słabła, ustawała, parę razy zamrugał powiekami jak człowiek walczący z wielką ochotą do snu.

Zenon spojrział na zegarek.

— Pora ci już zasnąć po podróży. Dobrej nocy, Wiktorze.

Podał rękę bratu i chciał tylko ją uścisnąć, ale Wiktor przyciągnął go do siebie i kilka razy w policzki wycalował.

— Rad jestem — rzekł z wylaniem — niewymownie rad jestem, że widzę cię zdrowym, zadowolonym, szczęśliwym, że ci się dobrze dzieje! Dobrej nocy, mój drogi! Dobrej nocy!

Powieki nieprzewyciężenie opadały mu na oczy. Widać było, że gdy tylko dotknie głową poduszki natychmiast spać będzie jak zabity. Natomiast praca zawodowa, gorliwa i kłopotliwa, przyzwyczała go do wstawania rannego. Zenon stał go nazajutrz o dość wczesnej godzinie nie tylko już obu-

dzanego, lecz zajętego pisaniem listów. W szlafroku elegancim, przed piękną teką pełną papierów i kopert różnego gatunku, siedział pogrążony w pisaniu tak dalece, że wejścia brata zrazu nie zauważył, a gdy po kilku minutach spostrzegł jego obecność, prawie nie patrząc na niego rzekł krótko:

— Dzień dobry, Zenku. Każ, mój drogi, przynieść mi tu herbatę, bo mam na parę godzin jeszcze tego pisania. Gdy tylko skończę, zbiegnę tam do was na dół..

Po kilku minutach Filipek szedł na górę z tacą obciążoną wszelkimi przysmakami, jakie tylko towarzyszyć mogą na wsi herbacie rannej, a za nim, aż do drzwi pokoju szwagra, biegła Sabina strzegąc, aby czegokolwiek po drodze nie uronił albo nie stłukł. Zenon chodził około stodoły i obory; rozmawiał z gumiennym i parobkami, kiedy zbliżył się do niego Pawełek i zaczął mówić o jakimś szczególe gospodarskim. Szło o parę koni fornalskich, z których jeden okaleczał, więc nie można będzie przez czas jakiś wysłać jej w pole z pługiem, a tu orka pod zasiew wiosenny jeszcze daleką jest do końca. Kłopot. Co tu robić? Jak opóźnieniu się orki zapobiec? Czy posłać po weterynarza, aby obejrzał chorego konia? Czy to jego okaleczenie jest lub nie jest winą parobka, który zazwyczaj tą parą pracował? Zgryziony niepowodzeniem gospodarskim, a więcej jeszcze rozdrażniony czymś tajemnym i dla niego samego niezupełnie jasnym, Zenon odpowiadał zrazu Pawełkowi trochę szorstko i niecierpliwie. Potem jednak zauważył, że chłopak był mizerny, smutny, wzroku jego unikał, i żał mu się go zrobiło. Złagodniał, zaczął mówić tonem poufałym i przyjacielskim, na koniec z ręką położoną na ramieniu wychowańca zapytał:

— Co ci jest? Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak bladym i mizernym. Może czujesz się niezdrowym, w takim razie nie jedź dziś w pole, odpocznij..

Nie skończył jeszcze słów tych, kiedy Pawełek zdjął jego

rękę ze swego ramienia i zaczął całować ją gorąco, po wiele razy. Przy tym łzy kręciły mu się w oczach.

— Zdrów jestem i zaraz w pole pojedę. Ja bym... ja bym dla pana pojechał na koniec świata...

Odwrócił się żywo, odbiegł i po paru minutach cwałował już na koniu do oraczy, których roboty miał doglądać. Zenon wyszedł też za bramę i udał się do bliskiego lasu, skąd zaczęto dziś wozić do dworu drzewo na opał zimowy. Trzeba odjąć stamtąd parę koni i wysłać ją z pługiem w zamianę tej, która na czas jakiś stała się nieużyteczną. Idąc myślał:

„Słowa, słowa, puste słowa! Gdyby wszystkie puste słowa ludzkie zajmowały w przestrzeni tyle miejsca, ile go zajmują w czasie, zepchnęłyby ludzkość z kuli ziemskiej. Pojechałby dla mnie na koniec świata! Pojedzie istotnie na koniec świata, ale dla pieniędzy. Kosztuje go to jednak widocznie, bo aż zmizerniał przez te dni parę. Ale ba! czy to tylko jest przyczyną tego zmizernięcia? Może po prostu niezdrów. Jaśnie oświecony pan żołądek sprawia często złudzenia najkapitałniejsze!“

Potem opanowały go myśli wcale inne. Wczoraj o tej porze jechał po brata na stację kolei. Oto już i upłynęła doba jedna; upłynie zaraz druga i uniesie z sobą to, czym się tak cieszył, czego tak gorączkowo oczekiwał. Miał zamiar zaprowadzić Wiktora do tego lasu, ku któremu zbliżał się teraz, aby pokazać mu swoją szkółkę zasianych sosen, które udały się ślicznie i gęstą szczotką okrywały kilka morgów gruntu. Są tam zresztą w tym lesie ścieżki ciekawe, po których często chodzi sam jeden. Chciał przejść się po nich z bratem. Cóż kiedy Wiktor cały prawie ranek musi poświęcić pisaniu listów. Człowiek zajęty, bardzo zajęty! I zresztą, nie lubi... zieleniny!

W parę godzin potem wracając z lasu Zenon usłyszał wesołe głosy i śmiechy, które rozlegały się w stronie sadu owocowego. Poszedł śpiesznie w tym kierunku i zobaczył scenę

niezmiernie ożywioną i wesołą. Niedorosły ogrodniczek siedział na dużej śliwie i wstrząsając drzewem zrzucał z niego grad owoców, które trzy osoby dorosłe i dwoje dzieci podnosiło i składało w kosze z bieganiem, gonitwami, śmiechem i rozmowami przez śmiech przerywanymi. Wesołe to grono osób było także wystrojonym. Zenon już nie pamiętał, kiedy widział żonę tak starannie uczesaną i ubraną; miała nawet pasek kolorowy dokoła wątlej kibici i jakąś zalotną kokardkę w jasnych włosach. Na czarnej sukni Rozalii połyskiwały ozdoby dżetowe. Anielka, cała w bieli, i Kazio, w kostiumie marynarskim, wyglądali na królewicza w porównaniu z codzienną swoją postacią. Ale spomiędzy wszystkich Wiktor był najświetniejszym. Zmuszony wczoraj do pozostania w ubraniu podróżnym i okurczonym, dziś ustroił się à quatre épingles, w sukno czarne i cienkie, w przód koszuli olśniewający białością, w srebrny znak inżynierski u klapy surduta. Przy tym ilekroć wbiegał w pas światła słonecznego, rozniecały się na jego osobie dwa małe ogniska blasków tęczowych: jedno pod szyją, drugie na małym palcu ręki. Były to brylanty tkwiące w szpilce od krawata i w pierścionku, zapewne zaręczynowym.

Powietrze było przejrzystym jak kryształ, nieruchomym i bladeżółtym; pomiędzy drzewami pasy światła słonecznego i pasy cieniów, nierówne, postrzępione, kładły się na trawę usianą opadłymi z drzew liśćmi czerwonymi, brudnymi, żółtymi. Pomiedzy te liście szeleszczące przy każdym dotknięciu spadały gradem ze wstrząsanego drzewa śliwki węgierki dojrzałe, fioletowe, ze złotymi kroplami wosku i z liliowym puszkciem. Spadały nie tylko na trawę i liście suche, ale też często na plecy i głowy osób, które dokoła drzewa biegały i co chwilę to pochylały się, to wyprostowywały. Wywoływało to za każdym razem chwytnie się za głowę i ramiona, ucieczki, śmiechy. Śmiech Sabiny brzmiał najcieniej, Rozalii najciszej, Wiktora i dzieci najgłośniej i najswobodniej. Ze-

non, którego zbliżenia się nikt nie zauważył, usiadł o kilkanaście kroków na małej ławce i patrząc na brata myślał, że taka wesołość, jak jego, jest przymiotem bardzo cennym, darem prawie cudownym, który nawet kurczątka skurczone i lęklive przerabia na wiewiórki płochę i skaczące, a posępne chmury przemienia w motyle. On, Zenon, chciałby bardzo być równie wesołym, ale nie może. Chciałby bardzo biegać, śmiać się, podnosić śliwki i zamiast do kosza rzucać je po kryjomu na plecy kobiet i dzieci, a zagrożony ich zemstą uciekać zasłaniając się rękoma połyskującymi ogniskiem światła tęczowych. Nie może. Z uśmiechem przypatruje się zabawie, ale nie może wziąć w niej udziału. Czuje się bardzo ciężkim i smutnym. Co to takiego przygarbia mu plecy i przykuwa do ziemi stopy? Przecież Wiktor jest od niego starszym o całe cztery lata. Różnica temperamentu, różnica umysłu. Po chwili pomyślał: różnica losu. Wszystkie te trzy różnice istniały niezawodnie, i sam nie wiedział, która była najważniejszą. Dość, że były i wszystkie przemawiały na korzyść Wiktora, na niekorzyść jego. Tam było zdrowie ciała i ducha, trzeźwość, energia, miła wesołość ośmielająca najtrwożliwszych, rozchmurzająca najposępniejszych. Tu — myśli ciemne i uczucia wiecznie nienasycone, które z głodu gryzą serce, tajemnie chore na tęsknotę za niepodobieństwem, na marzenia nieziszczalne, na zwątpienia o wartości wszystkiego na świecie i swojej własnej. Jednym słowem: niedołęstwo. Tam dzielność, tu niedołęstwo. Tak myśląc Zenon uczył się wobec świetnego brata swego niezmiernie małym i marnym.

Zabawa dokoła drzewa śliwowego trwała długo, potem przeniosła się pod gruszę, której owoców nie można było otrząsać, tylko trzeba było zdejmować je za pomocą przyrządów odpowiednich. Wiktor natychmiast uzbroił się w długą tykę z haczykiem i siatką u końca; chodząc dokoła drzewa upatrywał na nim najpiękniejsze bonkrety i z ostrożnościami, które znowu rozśmieszały kobiety i dzieci, zdejmował je

z gałęzi. Przy tym jednak zajęciu, mniej ruchliwym i pochłaniającym niż poprzedzające, spostrzegł wkrótce Zenona i wnet do niego przybiegł.

— Wróciłeś już od gospodarstwa! Jakże się masz? Czy dawno tu siedzisz?

Siadł na ławce obok brata. Kobiety, dzieci i ogrodniczek z koszami owoców poszli w głąb ogrodu, w kierunku domu. Wiktor chustką woniejącą ocierając pot z czoła z uniesieniem mówić zaczął:

— Co to za miła rzecz — wieś! Świeże powietrze, ruch, swoboda, taka obfitość wszystkiego...

— Nie lubiąc „zieleniny“, jakże możesz lubić wieś? — uśmiechnął się Zenon.

— Na krótko też, mój drogi, na krótko ją lubię. Ile razy wpadłem na wieś, na kilka dni, na parę tygodni, zawsze bałem się jak dziecko i byłem zachwycony. Ale żeby tak lata całe... brrr! Nie mógłbym za nie żyć bez towarzystwa, muzyki, teatru, wszystkich tych zresztą wrażeń, które tylko miasta dawać mogą...

Obrócił się twarzą do brata.

— Ale ty, szczęśliwy człowieku, żyjesz tu sobie jak w raju. Taka śliczna wieś, takie miłe kobiety, ładne dzieci... w czepku się urodziłeś!...

Zenon z wolna odpowiedział:

— Dlaczegoż myślisz, że to, bez czego ty nie mógłbyś żyć, nie jest także dla mnie pożądanym? I czy wyobrazasz sobie, że dom jakikolwiek tak samo wygląda na codzień, jak w święto, dla gościa?...

— Wszystko tu, mój kochany, wygląda zachwycająco i gdybym był na twoim miejscu, czułbym się najszczęśliwszym z ludzi. Chociaż i na to, co mnie spotyka, wyrzekać nie mogę. Powodzi mi się na służbie, w interesach i... jeszcze w czymś bardzo ważnym!... Zgadnij, ile mam kapitału?

— Nie zgadnę. Powiedz sam...

Powiedział cyfrę znaczną i zaraz opowiadać zaczął o dwóch aferach, które przyniosły mu zyski największe. Było to w związku z budowaniem kolei żelaznych i gmachów publicznych, znowu więc pociągnęło za sobą wykład rzeczy technicznych, obszerny i szczegółowy. Znowu jeden z braci mówił długo, płynnie, z takim zapałem, z jakim zazwyczaj człowiek mówi o rzeczach, które przyniosły mu chlubę i korzyść; drugi słuchał i milczał. Kiedy Wiktor przestał na chwilę mówić, Zenon zaczął:

— Co do moich interesów majątkowych, nie mogę powiedzieć, aby stan ich był opłakany, ale trzeba wielkiej pilności i ostrożności...

— Naturalnie — wpadł mu w mowę brat — jakże może być opłakany! Zapolanka jest wsią ładną, a wy tu macie potrzeby tak ograniczone. Na szerokim świecie jest wcale co innego. Gdybyś wiedział, jaki teraz zbytek panuje wszędzie. A stosować się do tego trzeba koniecznie, bo inaczej nie podobna mieć stosunków, znaczenia, wpływu...

Opowiedział bratu, jaki sposób życia prowadzi, na jaką skalę dom utrzymuje, jakie meble ma w swoim salonie, a jakie w gabinecie, ile przeżywa rocznie, jakie stosunki posiada w tej stolicy, w tamtej, w trzeciej, do jakich klubów i teatrów uczęszcza najchętniej, ile czasu poświęca na pracę, a ile na zabawę. Kiedy na koniec skończył, Zenon zapytał:

— A córka twoja?

— Córka? Kostunia? Prawda, zapomniałem dotąd mówić ci o niej. Ma już rok osiemnasty i chmurę konkurentów. Dziewczyna ładna, miła, utalentowana...

— Jakże się cieszę tym, co o niej mówisz! — z oczyma rozbłyśniętymi od radości zawołał Zenon i zaczął rozpytywać się z zajęciem niezmiernym o nieznaną synowicę.

Wiktor jak zwykle nie szczędził szczegółów, a kiedy przedmiot zdawał się wyczerpanym, Zenon z kolei mówić zaczął:

— Co do mnie, niepokoję się trochę z powodu starszego chłopca mego...

— A prawda! Wszakże masz starszego syna! — przypomniał sobie Wiktor. — Gdzież on jest?

— Odjechał w swoim czasie do miasta, do szkół... Chłopak zdolny i z sercem dobrym, ale...

— To tak, jak moja Kostunia! Od dzieciństwa już objawiała wielkie zdolności i serce anielskie. Wyobraź sobie...

Tu opowiedział kilka wypadków z dzieciństwa córki, dowodzących zalet jej umysłowych i moralnych. Kiedy skończył, Zenon wrócił do przedmiotu, o którym chciał koniecznie powiedzieć z bratem.

— W chłopaku moim rozwijać się zaczęła od niedawna nie wiedzieć skąd wzięta skłonność do elegancji, komfortu, wszelkiego rodzaju popisywania się z osobą swoją...

— A cóż ci to szkodzi? — ze zdziwieniem zapytał Wiktor.

— Jak to? lękam się, aby próżność i zamiłowanie w zbytku nie uczyniły z niego człowieka małego, którego celem jedynym będzie...

— Ale śmiej się z tego, mój drogi! — wesoło zawołał Wiktor — przeciwnie, będą mu one pomagały do stawania się coraz większym. Jeżeli chłopiec jest eleganckim, tym lepiej, bo „jak cię widzą, tak cię piszą“. Każdy z większym uszanowaniem obejdzie się z cienkim surdudem niż z grubą kapotą, chociażby pod surdudem była koszula podarta, a pod kapotą cała, ale zgrzebna. To jedno. A drugie: jeżeli chłopak czuje potrzebę odznaczania się i popisywania, to będzie z całej siły pchał się coraz wyżej, a na świecie, mój drogi, ten tylko może stanąć wysoko, kto umie siebie przepychać przez ludzi i okoliczności. Skromność i pokora na nic się w życiu nie przydają i chcąc nabyć u ludzi ceny wielkiej trzeba samego siebie cenić wysoko. Nie masz wcale, mój Zenku, powodu do niepokojenia się losem syna. Z tego, co mówisz mi o nim, jeżeli

zwłaszcza nie brak mu zdolności umysłowych, widzę, że chłopak ma przed sobą przyszłość...

— Którą może kupić za cenę sumienia — chmurnie dokończył Zenon.

— To są egzageracje. Dlaczegoż zaraz za cenę sumienia? Przecież ludzi okradać ani miast podpalać nie będzie, bo jest twoim synem, a z elegancją, ambicją i trochę próżności zajdzie dalej i zdobędzie sobie więcej, niż gdyby był safandulą i chodził po świecie cichym kroczeniem, ze spuszczoneym nosem. Zresztą, masz troje dzieci. Jedno ci się nie uda, drugie się uda, a zawsze dobrze będzie. Szczęśliwy z ciebie człowiek, mój Zenku i, jak Boga kocham, tak ciesząc się tym, że aż mi płakać chce się z radości.

To mówiąc, objął i po kilkakroć uściśnął brata z oczyma naprawdę wilgotnymi od rozrzewnienia. Zaraz też zaczął mówić, że nie ma z córką kłopotu najmniejszego. Naprzód jest ona jedynaczką, a następnie istnieje tam taka ciotka, siostra jej matki, która przepada za dziewczyną, od śmierci matki trzyma ją prawie ciągle u siebie, stroi, pieści i pewno wkrótce za mąż wyda. Ta ciotka jest wielką jego dobrodziejką, bo gdyby nie ona, miałby po owdowieniu kłopot ogromny z panną dorastającą. Odbywając często podróże obowiązkowe i prawie nigdy nie przesiadując w domu, trudno bardzo zajmować się edukacją panny, a potem w świat ją wprowadzać. Ale to wszystko wzięła na siebie ciotka, on zaś tylko dostarcza pieniędzy na wydatki córki, czasem odwiedza ją u ciotki, a niekiedy, w czasie swobodnym od zajęć pilnych, bierze ją do siebie na parę tygodni lub miesięcy. Opowiadał o tym wszystkim ze zwykłą werwą, ale co chwilę rzucał spojrzenia na drogi ogrodowe prowadzące ku domowi. Znać było, że już rad byłby odejść dla poszukania kompanii nieco liczniejszej. Zenon to spostrzegł, wstał i zapronował powrót do domu. W drodze spotkali Kazia, który, rozbiegany i zasapany, wpadł jak kula pod nogi ojcu i stryjowi, zaledwie mogąc wymówić,

że „Mama prosi na obiad“. Wiktor ujął go pod ramiona, podniósł znacznie w powietrze, pocałował głośno i postawiwszy na ziemię rzekł:

— Ogromnie silny jestem. Takiego dzieciaka dziewięcioletniego mogę jak piórko na dach zarzucić! Pracowałem w życiu bardzo wiele, ale praca nigdy mi nie szkodziła, owszem, podtrzymywała we mnie energię i zdrowie. Zmartwienia i kłopoty wszelkie, które zdarzały się nieraz, jak u każdego, traktowałem zawsze przez nogę. Zajdą mi drogę, to wezmę je za bary i obalę, albo, jeżeli obalić nie mogę, na stronę uskoczę i dalej przed siebie, zawsze tylko praktycznie i energicznie, bez medytacji, desperacji, melancholii i innych tam takich rzeczy, które zdrowiu szkodzą, a niczemu wcale nie pomagają! I ty, Zenku, robisz tak samo? Prawda? Inaczej nie można i nie należy. Gryząc się hyle czym, medytując nad każdą rzeczą, odmawiając sobie wszelkich przyjemności i radości życia, można wcześniej wtrącić się do mogiły albo, co najmniej, stać się niedołągą, ciężkim dla siebie i dla innych. No, czyż nie prawda?

— Święta prawda — z przekonaniem potwierdził Zenon i po chwili dodał: — Szkoda tylko, że usposobienia takie albo inne nie zależą od woli człowieka, tylko od natury jego temperamentu i umysłu, a po części też od okoliczności.

— Jak to nie zależą! — oburzył się Wiktor. — Wszystko zależy od woli człowieka. Kto ma rozum i wolę, temu na świecie musi być dobrze. Masz przykład na samym sobie. Gdybyś był wówczas, przed osiemnastu laty, nie zdobył się na zerwanie z tym swoim zdradzieckim ideałem z Monachium i na osiedlenie się w Zapolance, nie byłoby ci tak dobrze, jak jest teraz! Prawda?

Zenon popatrzał na brata przez kilka sekund, w dalekiej głębi jego oczu zapalił się płomyk ironiczny; nic jednak nie odpowiedział i wszedł z bratem do jadalni, gdzie u nakrytego stołu czekały już na nich kobiety i dzieci. Wiktor na-

tychmiast wsunął się pomiędzy Sabinę i Rozalię, tak manewrując, aby przy stole zająć miejsce pomiędzy nimi. Było przy tym trochę żartów i śmiechu, bo panie chciały siedzieć obok siebie, on zaś usiłował je rozłączyć i dokonawszy tego, rozpościerając serwetę na piersi, mrugnął oczyma ku bratu.

— A co, Zenku! Widzisz, co znaczy wola!

Sympatia, którą od razu powziął był dla Rozalii, zdawała się wciąż wzrastać, ale nie mniej zajmował się i Sabiną. Przyśługiwał się jej co chwilę, mówił komplementy dotyczące porządków domowych, dzieci, nawet jej dzisiejszej toalety. Zenon, prawie nie biorąc udziału w rozmowie, pomyślał: „Gdyby nie była tak przekwitła i mało zajmującą, bałamucilby ją z pewnością, tak jak Rozalię“. Ale po chwili ze zdziwieniem spostrzegł, że Sabina nie poczytywała sobie za tak przekwitłą i mało zajmującą, za jaką on ją miał i jaką była rzeczywistoście. Usłużność i grzeczność szwagra wprawiały ją w zachwycenie, błękitne oczy, jeszcze dość piękne, nabrały życia i blasku, parę razy uśmiechnęła się do sąsiada prawie zalotnie. Kurczątko próbowało podlatywać i w połowie obiadu cieniutkim swym głosikiem zaczęło mówić o swoim dawnym zamilowaniu do muzyki, tańców i strojów.

— Ależ bratowej i teraz także wszystko to się należy! — zawołał Wiktor. — Państwo nie bawicie się tu nigdy! Czy być może? Ależ to dla pań obu jest krzywdą wielką. Trzeba koniecznie, Zenku, abys postarał się dom ożywić i postawić go na stopie towarzyskiej... Przecież tu być muszą sąsiedztwa jakieś. Dlaczegoż nie udzielacie się im i nie zbieracie ich u siebie?

Kobiety milczały z minami ofiar zgnębionych i za którymi raz przecież ktoś się ujął. Zenon po chwili milczenia odpowiedział:

— Po pierwsze, sąsiedztwa są tu bardzo nieliczne i nie zajmujące. A po wtóre, gdybyśmy zaczęli udzielać się i u sie-

bie zbierać kompanie, Zapolanka uleciałaby z wiatrem jak puszek.

Powiedział to tonem szorstkim, jakim prawie nigdy nie przemawiał, i zaraz tego pożałował, ale daremnie, bo Wiktor nie miał skłonności do spostrzeżeń drobiazgowych.

— Co? — zawołał — Zapolanka uleciałaby z wiatrem! Ależ to być nie może! Kto jest w tak świetnych interesach, jak ty, mój drogi...

— Nie zapytywałeś mię o stan interesów moich, więc i nie wiesz...

— Jak to nie wiem! Przecież znam Zapolankę i widzę, że na taki sposób życia, jaki prowadzicie, jest ona aż nadto wystarczającą...

— Nie mówiłem, że jest nie wystarczającą — odpowiedział Zenon — ale na inny, trochę zbytkowniejszy, nie wystarczyłaby z pewnością...

— Ale wystarczyłaby, mój Zenku, upewniam cię, że wystarczyłaby doskonale! Kiedy niekiedy przyjęcie jakiegoś wieczorek albo jeszcze wojażyk mały... do wielkiego miasta, za granicę... Cóż to znaczy? Alboż to znowu tak wiele kosztuje?

— Więcej niż mógłbym wydać bez pokrzywdzenia ziemi i ludzi... bo mam małe długi...

— Co tam długi! Jeżeli i są, to spłacą się kiedyś, prędzej lub później spłacą się z pewnością...

— Same przez się? bez przyczynienia się mego? — zażartował Zenon.

Wiktor bez najmniejszego zakłopotania odpowiedział:

— Zapolanka je spłaci, a tymczasem mógłbyś sobie i swoim paniom więcej niż dotąd uprzyjemnić życie...

— Byłoby to grzechem przeciw praktyczności, enocie, którą cenisz najwyżej...

— To prawda, że praktyczność cenię bardzo wysoko, ale nie jest też praktycznym prowadzić życie odludne i mnisze, bo można stetryczeć i zdziczeć...

— Wierz mi, Wiktorze, że nikt nie może stetryczeć i zdzi-  
czeć z sercem lekkim i wesołym; jednak z dwojga złego wolę  
być zdziaczałym tetrykiem aniżeli puszczać z wiatrem ziemię,  
honor i przyszłość dzieci...

— Pchuu! jakie wielkie słowa — zaśmiał się Wiktor —  
co to ma jedno do drugiego? Czyż ziemia i honor wymagają  
ofiar?

— Wymagają — stanowczo rzekł Zenon.

— Nie rozumiem tego i jestem pewny, że te rzeczy dałyby  
się pogodzić, byleby postępować z nimi...

— Praktycznie i energicznie...

— A tak, i bez egzageracji w kierunku żadnym, bez  
egzageracji i egzaltacji. Ale ty zawsze byłeś egzaltowanym...

— Już ostygłem i ostudzam się ciągle — dokończył Zenon.

Byli obaj rozdrażnieni; Zenon więcej, Wiktor mniej; ale  
czuć było w powietrzu starcie się powściągane dwu natur zu-  
pełnie niepodobnych, z których jedna przynajmniej spodzie-  
wała się od drugiej wiele i czuła się zawiedziona. Rozalia  
z wielkim taktem nadała rozmowie kierunek inny, prosząc  
Wiktoro o wytłumaczenie jej jakichś szczegółów architekto-  
nicznych, które w opisach spotykanych często bywały dla niej  
niezrozumiałymi. Jego puściło to od razu na prąd, z którym  
mógł płynąć bez końca. Pomiędzy przedmiotami łączącymi  
się z jego zawodem była także i architektura. Wzniósł był  
nawet na swoją rękę i z zyskiem pieniężnym znacznym parę  
gmachów publicznych. Tłumaczył więc, opowiadał, trochę  
wyrzekał na trudy poniesione przy tych przedsięwzięciach  
i budowach, trochę chlubił się doskonałością dzieł dokona-  
nych i korzyściami, które mu przyniosły. Był znowu rozpro-  
mieniony, ugrzecznony, tryumfujący. Zenon słuchał wszyst-  
kiego w milczeniu i nie bez zajęcia, ale przez głowę prze-  
mknęła mu myśl: „Pełen siebie i — swego!“ Po chwili pomy-  
ślał jeszcze: „Tak pełen siebie i swego, że nic więcej zmieścić  
się w nim nie może“.

Jednak po obiedzie, niezadowolony z siebie i szczerze żalując, że posprzeczał się z bratem, zbliżył się do niego, usiłując rozmawiać o wszystkim, co tylko Wiktora obchodzić mogło. On też, jeżeli i doświadczył był przez chwilę jakiego uczucia niemiłego, od dawna już o tym zapomniał, a propozycja Sabiny udania się po rydze do pobliskiego lasu ucieszyła go ogromnie. Zenon osłupiał ze zdziwienia. Żona jego tworzyła zamiar przechadzki i wypowiedziała go z nieśmiałością i rumieńcem panienki szesnastoletniej! Już nawet nie pamiętał, odkąd Sabina nie tylko samoistnie na przechadzki się nie zdobywała, ale nie dawała się na nie wyciągnąć żadną namową i prośbą. Wiecznie brakowało jej czasu albo czuła się zmęczoną tuptaniem około gospodarstwa. Ale teraz i z gospodarstwem potrafiła się załatwiać, i z uciechą dziecinną pobiegła swoim drobnym kroczkiem po koszyki do spiżarni. Wiktor w ręce klasnął.

— Grzybobranie to rodzaj sportu! Lubię wszelkiego rodzaju sporty!

Zwrócił się do Rozalii.

— Będziemy razem szukali rydzów, dobrze? Niech pani mnie, biednego, niedoświadczonego w tym kierunku człowieka, pod swoje skrzydło opiekuńcze weźmie!

— O, nie! — broniła się żartobliwie Rozalia — kto tak, jak pan, umie być samodzielnym we wszystkim, powinien też samodzielnie i rydzów szukać!

Ulitowała się jednak i zaczęła go nauczać, jak, gdzie, dokoła jakich drzewek i krzaków, w jakich mchach i trawach najczęściej rosną rydze. Sabina weszła z koszykami, za nią wbiegły uszczęśliwione dzieci. Wszystko było gotowe; tylko Zenon wymówił się od wzięcia udziału w zabawie pilnymi zajęciami gospodarskimi. Nie było to zmyśleniem; potrzebował istotnie dowiedzieć się, czy młóckarnia z rana trochę zepsuta dobrze już funkcjonuje, co dzieje się z orką, czy Pawełek jest jeszcze w polu i dlaczego na obiad nie przyszedł.

bo złe wygląkanie chłopca, z rana spostrzeżone, trochę go niepokoiło. Mógłby jednak wszystko to odłożyć na później, gdyby mniemał, że udział jego w przechadzce przyda się na cokolwiek jemu i gościowi. Ale wiedział z góry, że Wiktor będzie nieustannie trzymać się towarzystwa kobiet, a on spędzi te parę godzin na blakaniu się po lesie bezużytecznym, bo do zbierania rydzów nie miał pasji najmniejszej. Było im zresztą zupełnie wesoło i dobrze bez niego; odeszli gwarząc, a on przede wszystkim udał się do stodoły. Jak bywa najczęściej w gospodarstwie, zamiast dwóch lub trzech szczegółów do załatwienia, znalazł ich kilkanaście, i zaledwie po upływie paru godzin wrócił do domu, trochę zgryziony młockarnią, która zepsuła się na dobre, i niespokojny o Pawełka, który wydał mu się więcej jeszcze jeszcze mizernym i bladym niż z rana. Dotknął dłonią głowy chłopca i uczuł, że była gorącą. O wszelkich możliwych urazach zapomniał do szczętu i trwożył się tylko o to, aby chłopak nie rozchorował się na dobre, tym więcej że obiadu jeść nie chciał i że we wsi niedalekiej panowały jakieś gorączki zaraźliwe. Jutro wypadnie zapewne posyłać na raz po lekarza dla Pawełka, po weterynarza dla konia okaleczonego i po mechanika do młockarni.

W domu nie było jeszcze nikogo. Filipek tylko wnosił do jadalni samowar buchający parą i Kasia, pokojowa, ustawiała na stole koszyki i talerze z przygotowanymi zawczasu przez Sabinę dodatkami do herbaty. Zenon wyszedł na ganek ogrodowy i zamierzał udać się w stronę lasku z rydzami, gdy usłyszał za jednym z klombów rozmawiające głosy Wiktora i Rozalii. Towarzystwo powracało z przechadzki; ta para wyprzedziła Sabinę z dziećmi i krętymi ścieżkami okrążała klomby z drzew i krzewów. Do stojącego na ganku Zenona dochodziły urywki rozmowy, dość głośno zresztą prowadzonej. Wiktor prosił Rozalię o fotografię, ona wymawiała się tym, że jej nie posiada, ale gdy nalegał, przyrzekała dać mu tę, która się znajdowała w albumie Sabiny. W głosie jej czuć

było wzruszenie, maskowane lekkim śmiechem. Po chwili wysunęli się z za grupy krzewów. Zenon widział, jak Wiktor ująwszy obie ręce towarzyszki długo przyciskał je do ust, po czym zamiast iść ku domowi skierowali się na ścieżkę dalszą i w zmroku zapadającym zniknęli za krzewami.

W Zenonie coś zawrzało. Kilka na raz uczuć podniosło się w nim falą goryczy i gniewu. Naprzód pomyślał:

„Zawróci jej głowę na dobre i już na wieki humor zakwasi! Cóż? stara jeszcze nie jest i musi wiedzieć, że jest jeszcze piękną. Gotowa uwierzyć w jego androny, rozkochać się, a potem przyjdzie mi chyba z domu uciekać od jej kwasów i fochów“.

Potem przyszła mu na pamięć fotografia kobiety z oczyma dobrymi i mądrymi, z uśmiechem rozkosznym, z czołem szlachetnym, pod gęstwiną włosów upiętych z prostotą i smakiem. Wszakże to narzeczona Wiktora, kobieta, którą ma wkrótce poślubić, która mu ufa, w tej chwili może myśli i marzy o nim z tęsknotą i upewnieniem, że jest kochaną głęboko i wiernie. Tymczasem głębokość i wierność jego uczucia jest taką, że nie może oprzeć się powabom pierwszej lepszej spotkanej starej panny, trochę jeszcze pięknej i trochę roztropnej! On, Zenon, od bardzo dawna nie miał i nie mógł mieć dla żony innych uczuć nad szacunek i przyzwyczajenie, ale nie pozwalał sobie nigdy na cień jakiegokolwiek kompensaty w tym kierunku. Ile go to kosztowało, on jeden tylko wiedział, ale była w nim prawość i litość, które nie pozwalały oszukiwać ani zadawać cierpień. Toteż teraz oba te uczucia były w nim obrażone. Żał go zdejmował nad tą nieznaną, już zapomnianą, już zdradzaną, a dla niego idealną, jeżeli tylko dusza jej była podobną do swej powłoki. I człowiek, który miał wkrótce osiąść to czarujące stworzenie, a w wieku już dość spóźnionym przeżyć pełnię szczęścia młodzieńczego, upędział się jeszcze za tą okruczną uciechy, za tą przyjemnością

chwilową, osiągniętą kosztem zdrady względem tamtej, zmańczenia pokoju tej!

Był zbyt przyzwyczajonym do wglądania w samego siebie i do roztrząsania sumienia swego, aby nie spostrzec, że w uczuciach gorzkich i gniewnych, których doświadczał, obok zasad obrażonych, obok współczucia dla kobiety zdradzanej i tej, która była wprowadzoną w złudzenie, istniało trochę, może nawet dużo zazdrości. To, czego mu najwięcej może brakowało, tamten miał posiadać w pełni upojeń wiosennych i długich, a jeszcze nie był syty! Czemuż dla jednych czara życia wylewa przez brzegi uroki i uciechy, a dla innych z drobną kropelką słodocy miesza garnce goryczy i kliwości?

Wiedział dobrze, że te uczucia i myśli były złymi, ale je miał. Chciał odpędzać je od siebie, ale nie mógł. Twarz kobieca, widziana na fotografii, piękna, dobra, rozumna, jak zaklęta stała mu przed oczyma, a spodem mózgu wiła się myśl przeszywająca jak wyostrzony drucik: „Jemu i tego mało!“ Zarazem czuł dla siebie pogardę. Pogardzał sobą, że zazdrościł bratu, jednak zazdrościł, tym tylko uniewinniając się trochę przed sobą, że Wiktor i Rozalia byli w ogrodzie wtedy jeszcze, gdy Sabina śpiesznie wbiegłszy do domu zakrzętała się około herbaty, i wtedy, gdy herbata już naciągnęła i byłaby nawet zagotowała się na samowarze, gdyby nie zapobiegawcza troskliwość o nią Sabiny. Siedział przy stole oświetlonym lampą i myślał: „Jakimże będzie później los tej kobiety, jeżeli teraz jest już takim!“

W młodości był popędliwym; potem przewycięzał w sobie tę wadę siłą przekonań i woli, aż wyleczył się z niej prawie zupełnie. Teraz pod wpływem złej namiętności, która wśliznęła się mu w serce, dawna ułomność charakteru wychodziła z kryjówki, w którą ją był zapędził. Kiedy na koniec Wiktor i Rozalia weszli do salki jadalnej i usiedli przy stole, oboje z oczyma więcej niż zwykle błyszczącymi i tro-

chę przymuszonymi uśmiechami na ustach, Zenon zwrócił się do brata z zapytaniem:

— Czy termin twego ślubu z panią Amelią jest już stale wyznaczonym?

Słowa te były prawdziwym *coup de théâtre*, które przecież trwało tylko jedną minutę. Wiktor zmieszał się ogromnie; po wyrazistej twarzy Rozalii przebiegły drgnienia nerwowe; Sabina upuściła na spodek łyżeczkę i tak się złękła, że oczy jej biegać zaczęły. Ale w niespełną minutę Rozalia pierwsza, uprzejmym ruchem zwracając się do Wiktora, ze spokojnym uśmiechem przemówiła:

— Pan ma narzeczoną?

— Tak — z wolna i z wahaniami w głosie odpowiedział Wiktor — to historia stara, której zakończenie nie wiadomo jeszcze kiedy nastąpi.

Ale po raz pierwszy, odkąd przybył do Zapolanki, na czole jego powstała zmarszczka; spojrzeniem prawie ostrym błysnął ku bratu i na całe pół godziny stał się bardzo mało mównym i zachmurzonym. Wtedy jednak Rozalia zaczęła mówić z wielką swobodą o dzisiejszym rydzobranium, lesie i pięknym dzisiejszym wieczorze, a Zenon, czując się głęboko unieszczęśliwionym widokiem zmarszczki na czole brata, usiłował zagadywać o rzeczach, które mogły być dla niego najwięcej przyjemnymi i zajmującymi. Toteż Wiktor po uływie pewnego czasu rozchmurzył się i wziął udział w rozmowie, ale do uprzedniej swobody i werwy już nie powrócił. Nie wydał się rozgniewanym, ale zmieszanym i nieswoim. Po skończonej herbacie wziął brata pod rękę i pociągnął go do ogrodu. Na ganku już mówić zaczął:

— Mój Zenku, po coś ty wyjechał przed paniami z tym moim bliskim ślubem? Wprowadziłeś mnie w taki ambaras, że języka w gębie zapomniałem. Trzebaż wypadku! Jak raz, tylko co powiedziałem Rozalii w ogrodzie, że dopókim jej nie poznał, serce moje było wolnym jak ptak i że ona do-

piero pozbawiła je tej wolności. A tu traf! W pięć minut po takim powiedzeniu i odpowiednim ucałowaniu rączek ty wyjeżdżasz z terminem mego ślubu! No!

Mówił to ze szczególnym pomieszaniem zgryzoty i śmiechu. Zenonowi także śmiać się zechciało, tak go zabawił ten sposób obchodzenia się z przedmiotem, do którego on przywiązywał wagę wielką. Ale wkrótce spoważniał.

— Mój Wiktorze — zaczął — nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak mię to boli, że wyrządziłem ci przykrość i jak serdecznie za to cię przepraszam. Ale doprawdy, czy podobna tak bez ceremonii obchodzić się z sercami innych? Przecież twoja narzeczona kocha cię i ufa miłości twojej...

— Bo też ją i Kocham! — zawołał Wiktor. — Co to ma jedno do drugiego? Tam miłość, tu zabawa. Jakąż szkodę sprawić może Amelii to, że ja, o dwieście mil od niej, spędzę z inną kilka chwil przyjemnych?

Zenon, sam nie wiedząc, czy mu się więcej chce śmiać, czy gniewać, odpowiedział:

— Ty byś gotów był nie tylko o dwieście mil, lecz i o dwa kroki od niej spędzać takie przyjemne chwile z inną. Ależ i ta inna może uwierzyć i pokochać!...

— A cóż by się jej stało od tego? — zadziwił się Wiktor. — Kilka miłych godzin przerwałoby jej smutny stan staropaniński, pomarzyłaby trochę, a potem mogłaby aż do śmierci wspominać o czymś świeższym od nieboszczyka narzeczonego. Wziąłeś ze strony tragicznej rzecz najpospolitszą w świecie, i jeżeli grzeszek, to niesłychanie powszedni i maluteczki, po prostu schwycenie w lot przyjemnostki, która przelatowała przed nosem i której nie pochwyciłby chyba głupiec!

Zenon w sposób echowy powtórzył:

— Głupiec!

A potem dodał:

— Czyż doprawdy ci, którzy nie uprzyjemniają sobie życia kosztem wszelkim, są głupcami?

Wiktor nie odpowiedział. Szli pod ramię drogą dość szeroką, przerywaną ogród w całej jego długości. Srebrny sierp otoczony gwiazdami świecił na niebie napelniając powietrze i oblewając ziemię przyćmionym światłem księżyca na nowiu. Po dość długim milczeniu Zenon ozwał się pierwszy:

— Dość często zastanawiałem się nad tym, kto rzeczywiście ma słuszość, a kto się myli: ludzie światowi i weseli, usiłujący otrząść się, o ile podobna, z kolców życia i wyzyskiwać kosztem wszelkim jego strony rozkoszne; czy też ci, którzy biorą na plecy brzemię obowiązku, strzegą tego tylko, aby nie uronić najmniejszej jego cząstki i zapatrzeni w gwiazdę daleką, jak ślepcy, omijają kwiaty, a włożą w cierniste zarośla? Który z tych dwóch gatunków ludzi jest naprawdę głupim, a który mądrym?

— Zdaje mi się — odpowiedział Wiktor — że w tym, jak we wszystkim, najlepszym jest rozsądny środek. Pracować trzeba, bo bez pracy człowiek musi stać się łachmanem poniewieranym i nieużytecznym. Uczciwość i rzetelność w pracy i stosunkach pieniężnych to rzecz honoru, którego pozbywszy się człowiek się przerabia — za pozwoleniem twoim — na świnie. Cenię nawet do pewnego stopnia i dobroczynność, bo cierpienie ludzkie, kiedy je widzę, obudza we mnie litość, i byłbym ostatnim egoistą, gdybym nie umniejszył go jaką okruchą, która ostatecznie nic prawie nie znaczy dla mnie, a dla cierpiącego może w danym razie być wsparciem i ulgą. Ale na tym koniec i oprócz tego nie wiem doprawdy, czego by człowiek rozsądny mógł od siebie wymagać?

W tej chwili usiedli na ławce stojącej u brzegu drogi w mglistym świetle księżycowym i Zenon z żywością mówić zaczął:

— Czyż na tym koniec? Czyż doprawdy w ramach zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwej dobroczynno-

ści, mieści się rozwiązanie tej zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą dna jej osiągnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad zapytaniem: dla jakiego celu człowiek niezbędnie cierpi i umiera? Niezbędność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figłem jakiejś mocy piekielnie okrutnej, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biednych umysłów ludzkich, bo biedne zmysły nasze nie o nim powiedzieć nie mogą. Ale cel istnieje niezawodnie. Natura, która nie znosi próżni fizycznej, czyżby znosiła taki bezsens moralny, jak bezużyteczne dręczenie niezliczonych miliardów istot? Przyszedłem do przekonania, że poza świadomością zmysłów naszych tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebnymi są nasze istnienia, cierpienia, umierania, a także i może nade wszystko nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogiemu okruch z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy mylnie upatruję ją w absolutnym oczyszczeniu życia z najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich i w miłości dla ziemi i dla ludzi, posuniętej do ofiar sprawiających cierpienia chociażby najcięższe. Nie wiem, czy jasno się wyrażam. Nie przywykłem mówić w ogóle, a szczególnie o rzeczach takich. Ale co do mnie przynajmniej, usiłowaniem moim najsilniej naprężonym jest to, aby mieć serce możliwie najczystsze i oddawać usługi możliwie największe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, dla którego przyszedłem na świat. Ale są to wyniki rozmyślań bardzo samotnych, może więc błędne. Co ty, Wiktorze, myślisz o tym wszystkim?

Mówiąc patrzył w przestrzeń mieniącą się cieniami drzew i mglistym światłem księżyca na nowiu. Przy ostatnich wyrażach dopiero obrócił twarz ku bratu i z trudnością powstrzy-

mał się od śmiechu. Powieki Wiktora były przymknięte, dopiero na dźwięk jego imienia podniosły się i zalatały niespokojnie jak przestraszone ptaki. W czasie długiego mówienia brata zaczęła go była ogarniać drzemka nieprzewyciężona, którą jednak przewyciężał z całej siły, chwytając nie bez trudności niektóre słowa i okresy. Teraz przetarł dłonią oczy i na to, co udało mu się usłyszeć, odpowiedział:

— Mój Zenku, wszystko to, o czym mówiłeś, należy do księży. Niech oni tam sobie dochodzą różnych gatunków grzechów ludzkich i odgadują, co człowieka spotkać może na tamtym świecie. To teologia. Ja w Pana Boga wierzę i co dzień pacierz mówię, bo tak mię nauczyła matka i weszło to już w krew i przyzwyczajenie. Ale nad rzeczami niezrozumiałymi głowy sobie nie suszę. Nie mam do tego ani czasu, ani ochoty. Co zaś do śmierci, to, mój kochany, jest ona rzeczą tak nieprzyjemną, że najlepiej myśleniu o niej dać pokój najzupełniej. Gdy przyjdzie, to cóż robić? Ale dopóki nie przychodzi, nie wywołujmy z lasu brzydkiego wilka. Taką jest moja filozofia. Na dynamice, hydraulice, statyce znam się dobrze, ale na nieśmiertelności duszy nic a nic. I nie potrzeba. Co Pan Bóg zechce, to i zrobi z moją duszą po śmierci, a dopóki żyję — vive la vie! Ale teraz chodźmy do domu, bo zaczyna być zimno i może już spać pora, jak myślisz?

Niespełna w godzinę potem w całym domu było już ciemno i wszyscy spali, albo przynajmniej pokładli się do snu. Zenon sam jeden chodził po długim pasie drogi przerzynającej ogród. Ilekroć znajdował się u tego jej końca, który dotykał niskiego ogrodzenia i pól szerokich, okrytych światłem mglistym i drzemliwym, stawał na chwilę patrząc na srebrny rożek księżycy zachodzącego za sosny rosnące na wzgórzu. Myślał wtedy:

„Czyżbym się mylił? Czyżbym zmarnował życie? O źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wiedzy, jakimi naprawdę są twoje prawa i rozkazy? Takimi, jakie uczyniły

brata mego dzielnym i szczęśliwym, czy takimi, jakie pełniąc stałem się przedwcześnie zestarzałym i bardzo, ty jeden wiesz, jak bardzo — smutnym?“

Ilekróć znowu zbliżał się do przeciwnego końca drogi ogrodowej, tego, który dotykał domu, wznosił oczy ku oknu brata, w którym od dawna już światło zagasło i zapytywał w myśli:

„Który z nas głupi, a który mądry: on czy ja?“

### III

Ze stacji kolei, na którą odwiózł brata, Zenon Hornicz udał się do miasteczka pobliskiego, skąd miał wziąć mechanika dla naprawienia zepsutej młockarni. Zabawił tam dość długo, bo musiał widzieć się z weterynarzem, pomówić z kupcem, któremu sprzedawał zboże, i załatwić trochę drobnych potrzeb domowych i gospodarskich. Dlatego zaledwie około wieczora wróciwszy do Zapolanki wysiadł z bryczki przed stodołą i po upływie pewnego czasu szedł ku domowi z głową spuszczoną i czołem zmarszczonym. Dziedziniac był o tej porze pustym, w domu panowało milczenie; głosy dziecinne odzywały się daleko, około huśtawki urządzonej w głębi ogrodu.

Czy podobna, aby to, czego oczekiwał był z gorączką w sercu i głowie, czego oczekiwanie przez całą jedną noc usnąć mu nie dało, już przeminęło i należało do przeszłości? Że przeminęło, to pewne i naturalne, ale — czy było? Czy naprawdę brat jego był tutaj i dwie doby z nim przepędził? Gdzież tam! Przyjeżdżał tu i dwie doby w domu jego przepędził ktoś mądry, świetny, wesoły, miły, ale nie brat jego, owszem, człowiek jakiś zupełnie obcy, zupełnie do niego niepodobny i z którym nie łączyło go nic, ani nawet wspomnienia, bo pochłonięty teraźniejszością, ruchliwą i szczęśliwą, tamten nie potrzebował wspomnień.

Było i nie było. To samo, czegośmy pragnęli i oczekiwali, jednak wcale co innego. Raz jeszcze Zenon Hornicz doświadczył uczucia głębokiego niepodobieństwa, jakie zachodzi po-

między rojeniem a rzeczywistością, pomiędzy formą rzeczy, tą samą, co dawniej, a istotą jej, zmienioną do gruntu. Tak jak dawniej, on i Wiktor byli synami jednych rodziców i nosili jedno nazwisko, ale gdzie, w czym, jakie było pomiędzy nimi braterstwo?

Pożegnali się daleko mniej serdecznie, niż się witali. Przy ostatnim uściśnieniu dłonie ich rozłączały się z trudnością, bo mieli obaj, chociaż w stopniu bardzo nierównym, instynkt braterstwa. Ale u ludzi ucywilizowanych instynkt nie jest już panem jedynym, a wszystko, co oprócz niego w nich istniało, odrzuciło się wzajemnie i bez słów przekonało o bezużyteczności stosunków dalszych.

— Kiedyż zobaczymy się znowu? — zapytał Wiktor i zaraz dodał: — Tak mi jest zawsze trudno rozporządzać się czasem...

— Tak — odpowiedział Zenon — najpewniej znowu zobaczymy się bardzo nieprędko...

I w myśli dodał: „Bo i po cóż?”

Słowa te zamienili z żalem instynktownym, ale z przekonaniem, że inaczej być nie może, bo — po cóż?

Kiedy lokomotywa gwizdnęła i pociąg zaczął oddalać się od stacji, Zenon doświadczył przesywającego uczucia straty poniesionej. Utracił brata. Zwolna sunący naprzód szereg wagonów wydawał się mu konduktem pogrzebowym. Bywają pogrzeby rozmaite, a nienajmniej bolesnymi są te, w czasie których człowiek odśpiewuje requiem sam jeden i tylko w najgłębszej tajemnicy serca swego.

Teraz widok dziedzińca i domu odnowił w nim wspomnienia marzeń poprzedzających przyjazd Wiktora i tego, co potem nastąpiło. Raz jeszcze nazwał marzenia głupstwami, a siebie samego dziwakiem wymagającym od ludzi i życia niemożliwości, bez których inni obchodzą się wybornie. W myśli powtarzał przysłowie, którym już nieraz w wypadkach podobnych karmił swoją nieukróconą wyobraźnię:

„Ach, stary wróblu, dałeś się znowu złapać na plewy!”

Lecz zaraz potem myślał, że nie były to wcale plewy. Owszem, tacy ludzie, jak Wiktor, byli zapewne ziarnem ludzkości zdrowym i jędrnym, a tacy, jak on, plewami, które należałoby zsypywać do domu wariatów, tego magazynu dusz obłąkanych ideami nie mającymi w świecie kursu żadnego.

Przed wejściem do domu zawahał się, stanął. Czuł, że miał twarz bardzo zmarszczoną i że spotkawszy się z kimkolwiek musiałby rozpogodzić ją choć trochę. Ani powiedzieć, ani okazać tego, co czuł, nie miał przed kim. Wolał pozostać samotnym i mięśnie twarzy swojej pozostawić w spokoju. Usiadł na ganku. Niebawem usłyszał przez okno w pobliżu otwarte rozmawiające głosy Sabiny i Rozalii. Właściwie Sabina raz tylko się ozwała, krótko i tak z cicha, że słów jej nie dosłyszał. Rozalia zaś odpowiedziała głośno, tonem oschłym i nauczycielskim, który zwiastował, że wraz z odjazdem gościa skończyły się na jej niebie piękne dni Aranjuezu, a zgromadzać się zaczęły znowu ciężkie chmury. W sposób taki, jakby siostra była dziewczynką maleńką i pod każdym względem władzy jej podległą, mówiła:

— Zawsze egzagerujesz, Sabinko, i wpadasz w same ostateczności. Całe życie przepadałaś za mężem i ulegałaś mu jak niewolnica, a teraz raptem przyszło ci do głowy lamentować nad swoim smutnym losem. Spodziewam się, że z takim panem Wiktorem byłby on daleko weselszym, bo twój mąż, moja droga, jest marzycielem, bardzo szlachetnym, ale i bardzo niepraktycznym. Tacy ludzie nie uprzyjemniają życia ani sobie, ani innym. Ale po siedemnastu latach pożycia z mężem nie pora już zachwycać się tak nadzwyczajnie przymiotami jego brata...

Zenon nie chciał słuchać dalej, zerwał się z ławki i szybko przeszedłszy dziedziniec wyszedł za bramę. Masz tobie! Nawet Sabina lamentowała nad swoim smutnym losem i zachwycała się nadzwyczajnie przymiotami Wiktora. Tamta zaś na-

zywa go marzycielem szlachetnym i niepraktycznym. Ale czy nie ma racji? Owszem, ma ją w zupełności. Bo czegoż mu właściwie niedostaje w życiu? Ma wieś trochę odłożoną i kłopotliwą, ale wystarczającą jako tako na potrzeby jego i rodziny, żonę łagodną, dzieci nie kalekie, dlategoż więc nie jest wesołym i tryumfującym, nie bawi się i nie bawi innych? Oto dlatego, po prostu i tylko dlatego, że jest niedołęgą nie umiejącym uczynić życia przyjemnym ani sobie, ani innym. Nawet Sabinę unieszczęśliwia! To ostatnie obudziło w nim gniew, bliski oburzenia. Niechby spróbowała być żoną, a choćby tylko narzeczoną Wiktora! I pierwszy raz stanowczo i zupełnie wyraźnie powiedział sobie, że nawzajem on czuje się z nią, pomimo jej łagodności i cnót domowych, zupełnie nieszczęśliwym. I w tym także jest tylko jego własna wina. Wyidealizował ją sobie przed ślubem, tak jak brata przed jego przyjazdem. Należał zawsze do tych, którzy lepią sobie ludzi na obraz i podobieństwo swoje, a gdy glina rozsypuje się pod wpływem czasu, spostrzegają, że zawierała wcale co innego, niż mniemali. Zdarzało się mu to w życiu po wielokroć, zdarzyło się i z żoną. Teraz dowiedział się, że ona także jest rozczarowaną i niezadowoloną. Zwierzała się z tym przed siostrą; on nie uczynił tego nigdy przed nikim. Chciał wprawdzie zwierzyć się przed bratem, ale okazało się, że — nie ma brata.

Ogarnęły go i ogarniały po brzegi dwie ciemności największe w świecie: samotność bezbrzeżna i zwątpienie o sobie całkowite. Szedł z głową spuszczoną i plecami więcej niż kiedykolwiek przygarbionymi. Myślał o tym, że zmarnował życie. Gdyby był nie porzucił kariery artystycznej dla Zapolanki, byłby dziś może sławnym, uwielbianym, tak jak Wiktor, wesołym i dzielnym. Że nie posiadał wielkiego talentu do malarstwa, tego był pewnym, bo gdyby go posiadał, mógłby i tutaj tworzyć dzieła sztuki. Tymczasem wraz ze zniknięciem podniet zniknęło w nim bez śladu natchnienie arty-

styczne. Jednak czy to tylko za pomocą wielkich talentów ludzie robią sobie drogę na świecie? On ze swoim, niewielkim, zrobiłby ją także, gdyby, według słów Wiktora, umiał dobrze robić łokciami i od pierwszego wstępu w życie nałożył był na siebie cenę wysoką. Ale miał zawsze skłonność do wątpienia o wartości swojej i wezystkiego, co w nim było; nie obrachowywał, nie spekulował, szedł za głosem uczuć i tego, co uznawał za obowiązek, zaszył się w kąć głuchy, pracował wiele nad rzeczami drobnymi, nie zrobił nic, nie użył niczego, zmarnował życie...

Tu drgnął i obejrzał się usłyszawszy za sobą szybkie kroki. Był to Pawelek, który doganiał go już od kilku minut, a teraz stał przed nim bardzo zmieszany, ale z wyrazem silnego postanowienia na twarzy pobladłej i mizernej.

— Bardzo przepraszam — zaczął — że zatrzymuję pana tak na drodze, ale nie mogę już dłużej wytrzymać i niech mi pan pozwoli kilka minut pomówić z sobą.

— Ale i owszem — odparł Zenon — tylko dlaczego ty tak wyglądasz, jakbyś dziś powstał z obłożnej choroby?

Na widok cierpienia wrytego na twarzy wychowanka zapomniiał o swoich ciemnych myślach i ciężkich uczuciach. Pawelek też popędliwie przerwał:

— Bo, proszę pana, trzy dni już męczę się tak, że ani jeść, ani spać nie mogę i czasem chciałbym wskrós ziemi pójść ze wstydu i z żalu!

Łzy nabiegły do jego ciemnych, bystrych oczu i zarazem odmalował się w nich gniew prawie wściekły.

— Gdybym mógł, proszę pana, tobym samego siebie bił, tłukł, kasał, do turny zapakował...

— Ależ na miłość boską, czegoż ty się tak dręczysz! — zawołał Zenon z uśmiechem, niepodobnym do powstrzymania, bo rozpaczliwe gesty chłopca pokazującego, jakby to on siebie bił, tłukł, kasał, miały w sobie żywość naiwną i ko-

miczną. Ale Pawełek nagle zdobywając się na spokój rzekł głosem stanowczym:

— Bo ja, proszę pana, z panem Górkiewiczem nie pojedę!

— Nie pojedziesz! Dlaczego? Przecież nie namawiałem cię, abyś został!

Pawełek wahał się, czy namyślał przez chwilę, potem odpowiedział z powagą u niego niezwykłą:

— Pan mię nie namawiał, ale dobroć pana mię namówiła.

— Jak to? wytłumacz mi to, co mówisz!

— Co tu tłumaczyć? Postąpiłem, proszę pana, jak ostatni nikkczemnik. Pan mię z nędzy wydobył, hodował, lubił, uczył, człowiekiem zrobił, a ja nie tylko że chciałem pana porzucić i postąpić zupełnie inaczej, jak mi pan przez całe życie doradzał, ale jeszcze tałem się przed panem z projektami swymi jak przed wrogiem. Myślałem, że pan mię znienawidził i pogardza mną jak psem... bo i byłem gorzej niż psem... A tu przy obiedzie, kiedy panna Rozalia tak skompromitowała mię przed wszystkimi i przed bratem pańskim i chciała mnie kąsać, tak jak to ona czasem umie, pan ujął się za mną i mrugnął do mnie śmiejąc się, jak do przyjaciela... A potem znów, przy każdym spotkaniu ciągle tylko dobrze i dobrze, jakby nic nie zaszło, i tylko: „Co ci jest, Pawełku? Czegoś ty taki mizerny?“ Myślałem, proszę pana, że zginę ze zgryzoty sumienia i z żalu. Nie mogłem pomówić z panem, dopóki pan miał gościa. Ale teraz zobaczywszy, że pan sam jeden idzie w pole, nie mogłem wytrzymać i pobiegłem... Mój panie drogi, mój złoty, mój najukochańszy, dobroczyńco mój i opiekunie najlepszy, daruj mi, zapomnij o moim głupstwie, niech ja przy tobie zostanę... a potem, kiedyś, może osiądę na swoim kawałeczku ziemi i dzieci swoje uczyć będę tego, czego pan mię uczył, i aby modliły się za pana...

Ostatnie słowa mówił głosem przerywanym, całując ręce Zenona, przypadając mu nawet do kolan, żywy jak iskra, rozrzewniony jak dziecko, skruszony jak grzesznik, który po-

wziął nienawiść dla grzechu swego. Zenon objął go obu ramionami, po kilkakroć ucałował w czoło, trochę śmiał się z oczami wilgotnymi. Nietrudno mu było uspokoić chłopca, który niczego nie chciał, tylko jego przebaczenia, przyjaźni i pozostania nadal w Zapolance. Potem odprawił go do domu, a sam poszedł dalej swoją drogą ulubioną, ku wzgórzom porośniętym sosnami. Idąc czuł, że ma nogi trochę lżejsze, plecy trochę mniej przygarbione i że dwie ciemności zalegające jego mózg i serce trochę się rozwidniły. Niebawem znalazł się na stoku wzgórza, pośród sosen rzadkich, wyrastających z pokładów mchów siwych, żółkniejących i jeszcze jak szmaragd zielonych. Usiadł na mchu, spojrzął dokoła, a potem zapatrzył się na krajobraz.

Dokoła rosły klombami i gajami paprocie brunatne i cieliste, trzmieliny z liśćmi różowymi jak centyfolie, jałowce krwistordzawe. Pośród sosen rzadko rosnących stały brzozy całe w złocie, i głębiny lasu oddalone, zapływając cieniem, świeciły jeszcze gdzieś smugą słoneczną, kołyszącą na fali ruchomej purpurę uwiedłych poziomek i jeżyn. Z dwu stron drogi polnej wijącej się u stóp wzgórza jeżyły się łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszane nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane albo zasłane ścierniskiem żółtym, okryte zmarszczkami zagonów falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż pod skraje niebios, usianych obłokami nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa ze szczytem rozpływającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami rozrzuconymi po wzgórzach, nad dworem zapoląńskim, który wyglądał jak obrazek sielski wymalowany na tle złoto-różowym. Naprzeciw, w stronie wschodu, wieś chłopska, długa, szara, stała we mgle liliowej rzucając w górę kilka wstęg dymu. Był w tym obrazie spokój wieczoru i smu-

tek jesieni; była też piękność rzadka rzeczy prostych, a wspa-  
niałych.

Zenon patrzył na ziemię, na niebo i powoli, powoli zmy-  
sły i dusza jego zatapiać się w nich zaczęły, tak że utracił  
całkowicie uczucie samotności. Nie był sam jeden, bo dokoła  
siebie posiadał to, co kochał. Owszem, im dłużej patrzył, tym  
silniej i wyraźniej stawać się z nim zaczynał ten sam proces,  
który przed laty osiemnastu związał go na zawsze z tym ka-  
wałkiem świata. Zdawało mu się, że nim oddycha, że wza-  
jemnie jest przez niego wchłanianym i że stanowi część  
jego, ściśle spojeną z innymi. Uczuł, że nie było na świecie  
takiej siły pociągu, która zdołałaby go stąd oderwać; że co-  
kolwiek by znosił i czegokolwiek pragnął nadaremnie, tu,  
a nie gdzie indziej tkwić musi, jak w źródle kropla wody lub  
w smudze słonecznej drobina światła. Pomyślał, że był nie-  
zawodnie dla tego kawałka świata kroplą wody i drobiną  
światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności.

Niedaleko miejsca, na którym siedział, znajdowała się  
kępina mchów suchych, pomieszanych z igłami opadłymi z so-  
sen, ze splotami gałązek upstrzonych resztką kwiatów i liści.  
Pochylił ku niej głowę tak nisko, że skroń jego spoczęła na  
liliowym atłasie spóźnionego wrzosu. Wtedy do ucha jego  
dochodzić zaczęły dziwne szmery i szelesty, jakby chód ro-  
baczków we mchu i wrzosie, jakby fruwanie skrzydeł drob-  
nych pod zeschniętymi liśćmi, jakby jeszcze toczenie się powol-  
ne lub wartkie strumyków wąskich, licznych. Te ostatnie  
były sokami ziemi płynącymi pod jej skorupą i rozbiegają-  
cymi się we wsze strony pod pola, pod lasy, pod dwór zapolań-  
ski, rysujący się na tle zorzy wieczornej, pod wioskę, stojącą  
szarym pasem u liliowego wschodu. Zenon Hornicz słuchał  
tych szmerów uchem uważnym i chciwym, a niebawem począł  
rozpoznawać mowę ziemi, którą rozumiał, albowiem żył  
z nią od dawna w związku miłości wielkiej. Były w tej mowie  
rzeczy różne: skargi, dziękczynienia, płacze ciche, śpiewy

przewlekłe, podobne do tych, które piastunki nuca nad ko-  
lebkami dzieci chorych. Były w tej mowie ziemi, oprócz szep-  
tów i szmerów, tętna pulsu potężnego, idące z głębin najod-  
leglejszych, a bardziej u powierzchni coraz więcej, coraz wię-  
cej uderzeń drobnych, niby serce, które żyły, pracowały, mó-  
wiły także, opowiadały... Tak było długo, a Zenon Hornicz  
słuchał, słuchał głosów, gwarów, pulsów ziemi i nabierał ich  
w serce, tak jak pustynia spieczona skwarem południa na-  
biera wieczornej rosy.

Kiedy na koniec oderwał ucho od kępy mchu i wrzosu,  
wstał i wyprostował się, zobaczył nad zapolańskim domem  
wschodzący sierp księżyca. Jeden tylko jeszcze rożek srebrny  
ukazywał się znad dachu, jednak rzucił na twarz wpatzonego  
weń człowieka promiennosc prawie słoneczną. Plecy jego nie  
były zgarbionymi, ani czoło zmarszczonym. Postawę miał  
rzeźwą i w oczach wzniesionych ku górze myśl dziękczynną.  
Modlił się.

— O źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wszel-  
kiej wiedzy, nie wątpię już o sile swojej, bo czuję, że silnie  
kocham, i nie żałuję niczego, chociaż jestem bardzo smutny.  
Owszem, we wszechstworzeniu Twoim wielbię smutek i ze  
czcią przyjmuję go na ramiona, bo jest on mistrzem, który  
naucza ludzi, jakimi są Twoje prawa i rozkazy!





Dwa tomy *Melancholików*, wydane w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa w r. 1896, zawarły — nie licząc *Przedmowy* dedykacyjnej — pięć utworów drobniejszych, zebranych w tomie pierwszym, i trzy obszerniejsze, składające się na tom drugi, razem tedy przyniosły osiem utworów, z których najstarszy powstał w listopadzie 1888 roku, ostatni zaś w grudniu 1894. Właściwie jednak utwory te pochodzą tylko z czterech lat: jeden z r. 1888, jeden z r. 1889, trzy z r. 1890, wreszcie pozostałe z r. 1894. Układając je do zbioru autorka nie kępowała się zasadą chronologii. Gdyby ją zastosowała, układ *Melancholików* przedstawiałby się, jak następuje.

Na czele zbioru szłaby *Jedna setna*, napisana w końcu listopada 1888. Urodziła się zupełnie niespodziewanie, bo w czasie żmudnej pracy nad powieścią historyczną z czasów Kserksesa, zatytułowaną *Czcielił potęgi*. O powstaniu *Jednej setnej* donosi Orzeszkowa Leopoldowi Méyetowi w liście z dn. 30. XI. 1888 (ze zbiorów Biblioteki Ord. Kraszińskich): „Wyobraź sobie, że najniespodzianie dla samej siebie w środku pisania powieści napisałam sporą nowelę dla *Kuriera Warszawskiego*, którą już dziś z drobiazgiem dla noworocznego numeru posłałam. Nazywa się *Jedna setna*“. Tym drobiazgiem tu wspomnianym było *Małe stworzenie*, podane rzeczywiście w pierwszym numerze *Kuriera Warszawskiego* z r. 1889 (w książce znalazło się dopiero w pośmiertnych *Nowelach i szkicach*); bezpośrednio po nim dziennik ten rozpoczął druk *Jednej setnej* (nry: 3 z dn. 3 stycznia — 5, 8—12, 16, 19, 22—26, 40 z dn. 9 lutego). Stąd w tymże jeszcze roku przedrukowała utwór ten *Nowa Reforma* (nry: 266 z dn. 19 listopada, 268—271, 273, 275—277 z dn. 4 grudnia).

W rok po *Jednej setnej*, w grudniu 1889, powstało *Z pomroku*. Pierwotnie drobiazgowi temu nadała Orzeszkowa tytuł, który następnie otrzymał cały zbiór, co wiemy z listu jej do Méyeta, datowanego z Grodna 10. XII. 1889: „Teraz zaczęłam znowu<sup>1</sup> drobiazg pt. *Melancholicy*“. Przyczyny zmiany tytułu nie znamy. Nadmienić tu tylko można, że ostatecznie przyjęty tytuł tej noweli przeznaczony był dla całego zbioru; przez długi czas wahała

---

<sup>1</sup> Bezpośrednio przedtem napisała autorka *Rotszyldównę i W struskim grobie* (obie wydane osobno dopiero w pośmiertnym zbiorze *Ostatnie nowele*).

się autorka między nazwą *Z pomroku* a *Melancholicy*, nim ta ostatnia nie zwyciężyła (por. *Listy t. II cz. 1 str. 96*). *Z pomroku* po raz pierwszy drukował Piotr Chmielowski w redagowanym przez siebie *Ateneum*, w zeszytzie styczniowym 1890 roku.

W *Ateneum* także, w tymże samym jeszcze roku (w zeszytach za wrzesień i grudzień), pomieszczona została następną w porządku chronologicznym praca z *Melancholików*, *Ascetka*. Już 12. II. 1890 zapowiada Orzeszkowa Méyetowi: „Teraz, po napisaniu osiemnastu zaległych listów, zacznę *Ascetkę*“. Ale inne zajęcia stanęły na przeszkodzie realizacji zamiaru, tak że w miesiąc później, w liście do tegoż przyjaciela z dn. 7. III. 1890, ponawia to postanowienie: „Jutro zaczynam *Ascetkę*, która będzie sporą nowelą“. Tym razem udało się rzeczywiście zamiar wprowadzić w czyn, niestety! pracę przerwała choroba. „Przed kilkunastu dniami — donosi autorka Méyetowi 26. III. 1890 — zaczęłam pisać *Ascetkę*, okropnie mię porwała, wpadłam w zapal, pisałam, pisałam, pisałam, napisałam 10 arkuszy, mniej więcej połowę całości, i — schwyciły mię najokropniejsze, jakie sobie można wyobrazić, bóle ręki“. Do tego dołączyła się wkrótce grypa, następujące zaś po niej zwykle osłabienie przeciągnęło znacznie okres bezczynności. Nadeszło lato, a z nim pora, w której Orzeszkowa rzadko kiedy tworzyła. „Wracając do mego pisania — zawiadamia parokrotnie wymienionego przyjaciela 14. VI. 1890 — *Ascetkę* przyrzekłam już od kilku miesięcy Chmielowskiemu do *Ateneum*, i w tych dniach właśnie miałam od niego list bardzo nalegający, abym ją dała najpóźniej na wrzesień w sierpniu. Może to i niezła rzecz będzie, przynajmniej na tle oryginalnym, bo klasztornym, ale cóż, kiedy teraz na żaden sposób kończyć jej nie mogę“. Wkrótce jednak powróciła fala natchnienia. Dn. 27. VI. 1890 donosi autorka Méyetowi: „Od tygodnia wyszłam z fali idiotyzmu. Piszę *Ascetkę*; jeszcze dwa tygodnie, a mogłabym ją skończyć“. Tym razem nie stanęło na przeszkodzie, i w następnym liście do niego (z dn. 12. VII. 1890) mogła donieść mu o ukończeniu swej opowieści o melancholicznej ascetce. W dwa miesiące później opowieść tę czytał Méyet w *Ateneum* i zaraz wszczął starania, by ją przedrukowała *Gazeta Lwowska*. Zabiegi te uwieńczył pomyślny skutek. Na szpaltach *Gazety Lwowskiej* znalazła się *Ascetka* w r. 1891 w nrach: 28 (z dn. 6 lutego) — 48 (z dn. 1 marca) z przerwami.<sup>1</sup>

Czwartym w układzie chronologicznym utworem *Melancholików* jest *Światło w ruinach*. Rzecz ta powstała w drugiej połowie października 1890 roku. „W tym tygodniu — zwierza się autorka Méyetowi 24. X. 1890 —

---

<sup>1</sup> Zapis ten zawdzięczamy łaskawej uprzejmości prof. Stefana Kocłackowskiego.

napisałam nowelę, niedużą i niemalą, zdaje się, że dla *Świata*.<sup>1</sup> Należec będzie do serii *Niespokojnych dusz (Ascetka, Z pomroku)*, ale to nie ta, o której mówiliśmy w lecie. Tę zapewne napiszę dla *Prawdy*, ale daleko później, bo dziś, jutro przyjedzie Lucynka Kotarbińska, nie wiem, na jak długo, a ja przy gościach nigdy pisać nie mogę. Ten drobiazg, który dziś skończyłam, nazywa się *Światło w ruinach*“.

Wspomniany tu przez autorkę utwór, ten, który układała latem w obecności Méyeta — to *Zrozpaczony*. Napisała go w miesiąc po *Świecie w ruinach*. W liście do tego przyjaciela z dn. 25. XI. 1890 wspomina, że ma na ukończeniu nową rzecz; tytułu jej wprawdzie nie wymienia, dodaje jednak, że: „jeżeli tak, jak chcę, ją skończę, wyślę do *Prawdy*“.

Dn. 13. XII. 1890 zawiadamia: „Napisałam nowelę dla *Prawdy* i Świętochowskiemu posłałam“.

Dn. 26. XII. 1890 Aleksander Świętochowski dziękuje Orzeszkowej w pięknym liście, podanym w pierwszym tomie korespondencji Orzeszkowej (*Diugłósy* str. 396 i nast.), za pamięć o *Prawdzie* i ładny dla niej utwór i wypowiada szereg ciekawych uwag filozoficzno-społecznych wysnutych na marginesie *Zrozpaczonego*. Wkrótce też wydrukował go w swoim tygodniku (*Prawda* 1891 nry: 1 z dn. 3 stycznia — 4 z dn. 24 stycznia).

*Bracia, Wielki i Ogniwą* pochodzą z 1894 roku.

Pierwszy z tych trzech utworów powstał wczesną wiosną, bezpośrednio po napisaniu *Australczyka* i *Pieśni przerwanej*. Zawiadamiając o wykończeniu tych dwu powieści Jana Karłowicza w liście z dn. 13. III. 1894 dodaje autorka, iż w twórczym rozpędzie zamierza „rozpocząć w tych dniach jedną jeszcze powiastkę i skończyć ją, jeżeli nic nie przeszkodzi, do Wielkiejnocy starego stylu“ (*Listy* t. II. cz. I str. 89). Zaraz w następnym liście do tego przyjaciela (z dn. 6. IV. 1894) donosi o urzeczywistnieniu wyrażonego przed niespełną miesiącem zamiaru: „Piszę nowelę *Brat*, którą może przywiozę p. Chmielowskiemu“ (*Listy* jw. str. 90). A wybierała się wtedy Orzeszkowa do Warszawy na Wielkanoc rosyjską (29 kwietnia). Czy w istocie rzecz tę sama powiozła Chmielowskiemu, można trochę powątpiewać, gdyż, jak się zdaje, kopistka nie zdążyła w porę przepisać obszernego rękopisu. To pewne jednak, że już na dwa tygodnie przed wyjazdem do Warszawy utwór był zupełnie gotowy. Świadczy o tym data wypisana przez autorkę na ostatniej karcie rękopisu (podana jest według starego stylu): „3 kwietnia 1894 r.“ Potwierdza ją następujące zdanie z listu do Méyeta z dn. 16. IV. 1894: „Skończyłam wczoraj nowelę *Bracia*, która że jest treści poważnej,

---

<sup>1</sup> Rzeczywiście, *Światło w ruinach* drukował po raz pierwszy krakowski dwutygodnik ilustrowany Zygmunta Sarneckiego, *Świat*, w r. 1891 w nrach: 8 i 9 (z dn. 15 kwietnia i 1 maja), z kilkoma rysunkami Pawła Merwarta.

pójdzie sobie do poważnego *Ateneum*<sup>1</sup>. W tydzień później pisząc o tej ostatniej swej pracy do Franciszka Rawity-Gawrońskiego wypowiada Orzeszkowa na temat jej kilka uwag ogólnych, które warto tu przytoczyć: „W tej noweli *Bracia* jest właśnie postać, która wyrzekła się dla idei prawie wszystkiego, cierpi dużo, ciemno myśli i widzi, jednak upiera się przy swoim i innego życia nie chce, bo byłoby gorszym, choć szczęśliwszym. Tacy ludzie stanowią kategorię osobną, żyjących nie dla siebie, cierpiących nie za siebie. Myślę zawsze, że los ludzkości byłby stokroć jeszcze smutniejszym, niż jest, gdyby ich nie było. A co im za to? W tym życiu nic a nic, bo nawet zadowolenia wewnętrznego nie mają, obdarzeni sumieniem niesłychanie drażliwym. Ale wie Pan? Coraz częściej i coraz pewniej myślę, że te duchy otrzymają w jakimś innym istnieniu jakąś wyższą, doskonalszą formę bytu. Inaczej być nie może; inaczej byłby nonsens, a przecież w naturze nie spotykamy nonsensów; dla czegoż więc miałby istnieć tu, gdy idzie o najprzedniejszych ludzi?“ (*Listy* t. II cz. I str. 127 i nast.) W postaci Zenona Hornicza dała autorka wyraz tym swoim poglądom, w usta jego włożyła znaczną część tych swoich „wiar i ukochań“, którym sama była wierna przez całe życie.

Owoce samotnych rozmyślań nad istotą i celem życia człowieka w ogóle, a duchów wybranych, ludzi wyrastających nad przeciętny poziom w szczególności, jest również następną chronologicznie nowela niniejszego zbioru, *Wielki*. Powstała w parę miesięcy po *Braciach*, już w nadniemeńskim Poniemuniu (pod Grodnem), gdzie Orzeszkowa spędzała lato. Czynnikiem autobiograficznym tego utworu najlepiej uwypukla następujący fragment listu powieściopisarki do „Wroga“, jak żartobliwie nazywała czasami swego najbliższego przyjaciela warszawskiego, Leopolda Méyeta; odpowiada tutaj na jego natarczywe zapytania o losy *Pamiętnika*, który mu skreślić dawno obiecała,<sup>2</sup> a opisując nastrój, w jakim rozpoczęła pracę nad nowym utworem (był nim właśnie *Wielki*), daje świetny materiał do genezy psychologicznej tej noweli: „Zaczęłam pisać nowelę — list jest datowany: „14/VI 1894, Poniemuniu“ — ale idzie bardzo powoli, bo latem, na wsi, są zawsze przeszkody. Jednak zapewne napiszę ją wkrótce. Myślę ciągle o pisaniu tego lata swego pamiętniczka dla Wroga. Trzeba się z tym śpieszyć, bo nie wiem dlaczego, ale ciągle mi się zdaje, że to ostatnie lato moje na ziemi. Nigdy dawniej nie doświadczałam tego uczucia i nie mam dla niego żadnych podstaw pozytywnych, ale nie wiedzieć dlaczego, ciągle mi się tak zdaje i bez żadnej okazji co chwilę na myśl przychodzi. Trzeba więc,

<sup>1</sup> *Ateneum* drukowało *Braci* dopiero w roku 1895, w t. I, w zeszytach ze stycznia i lutego.

<sup>2</sup> Zobowiązanie swe Orzeszkowa — jak wiadomo — spełniła, ale tylko

dla ostrożności, napisać pamiętniczek i jeszcze coś w rodzaju testamentu politycznego". Raz jeszcze powraca Orzeszkowa do wewnętrznych — a tym razem i zewnętrznych — okoliczności, w jakich powstawał *Wielki*, w następnym liście do tegoż przyjaciela, pisanym po nieco dłuższej przerwie w ich korespondencji, również z Poniemunia, 26 sierpnia 1894; zdając sprawozdanie z przebiegu kończącego się lata pisze: „Były chwile czarno-księskie, z nieporównaną pięknnością natury, z błogością nieskończonej ciszy wody i powietrza, z tajemniczością światła nocnych, mieszających się z cieniami leśnymi. Były dni promienne, pełne słońca i kwiatów (mam w tym roku pełen ogród bardzo pięknych kwiatów, które mi uprawia ogrodnik grodzieński), pełne też dumań skrytych a smutnych przy blasku promiennym słońca i łez szczelnie zamkniętych w sercu przy hucznym gwarze młodych przeważnie gości. Zwyczajnie, kaprysy duszy, która skądś, nie wiedzieć po co, wzięła sobie na całe życie iskrę poezji czy sztuki. Bodajby to wszystko prędki koniec miało! Już mam dość iskier, blasków, gwaru, ciszy, pióra, życia! Tylko wiem o tym dobrze, że dobrowolnie odchodzić — nie mam prawa“. W takim nastroju pisany i tego nastroju będący pełnym wyrazem *Wielki* został ukończony gdzieś w pierwszej połowie lipca (ściślej daty oznaczyć na razie nie sposób). Właściwie jednak ukończony nie został nigdy. Odpowiadając Méyetowi na wyrzut, że od osób trzecich dowiaduje się o powstaniu nowej powieści pt. *Wielki*, Orzeszkowa (w liście z dn. 4. X. 1894) wyjaśnia: „Nie jest to żadna powieść i nawet nie nowela, tylko tak sobie jakiś fragment z życia artysty, pesymistyczno-filozoficzny, do serii *Melancholików*. Echo Muzyczne drukować go będzie zaraz po Nowym Roku<sup>1</sup>“. Miał przecie rację Méyet pytając o nową powieść. *Wielki* pomysłany był początkowo rzeczywiście jako powieść. Powieść tę zaczęła Orzeszkowa pisać, ale urwała ją na szóstym rozdziale, gdyż nie czuła się wówczas na siłach podolania tak trudnemu przedsięwzięciu. Wykończyła więc na razie — w formie fragmentu — jej początek, ogłaszając go w *Echu Muzycznym*, a następnie — gdy już doszła zapewne do przekonania, że pierwotnego projektu nigdy urzeczywistnić nie zdoła — w II tomie *Melancholików*.

Te pierwsze pięć rozdziałów i początek szóstego powieści pt. *Wielki* ogłoszone zostały z autografu (który obecnie znajduje się w posiadaniu

w części. *Pamiętnik* (który ogłosił Méyet po śmierci autorki w *Kurjerze Warszawskim* w r. 1911 w nrach: 24—39), pozostał nie skończony: urywa się na r. 1862. Napisała go autorka latem 1891. Tu więc chodzi już o dalszy jego ciąg, nigdy nie zrealizowany.

<sup>1</sup> Tak się też stało: *Wielki* ukazał się na łamach *Echa Muzycznego*, *Teatralnego* i *Artystycznego* w r. 1895 w nrach: 1 (z dn. 5 stycznia) — 13 (z dn. 30 marca).

Towarzystwa im. El. Orzeszkowej w Warszawie) w pośmiertnych *Ostatnich nowelach*, wydanych przez Gebethnera i Wolffa w 1921 roku. Znany z II tomu *Melancholików* fragment *Wielkiego* pokrywa się z I i II rozdziałem powieści. Trzy następne opowiadają o dalszych losach „wielkiego”. Więc przede wszystkim Juliusz odzyskuje władzę w prawym ręku i wraca na estradę. „Uderzono w trąby i kotły, przygotowano pochodnie tryumfu, zaśpiewano hymny pochwalne: wielki, genialny, nieoceniony mistrz uratowany został dla świata i przywrócony sztuce!” Na wielkim, pierwszym koncercie spotyka się raz jeszcze z ową skromną nieznaną z dworca. Gra tylko dla niej. Po koncercie pragnie zbliżyć się do niej, poznać ją, ale znowu staje mu na przeszkodzie tłum wielbicieli i — wielbicielek. Z jedną z nich (imieniem Waleria) szuka zapomnienia o Oktawii (która w powieści nazywa się Henryka) „Całe miasto mówiło wkrótce, że jesteśmy zakochani w sobie do szaleństwa, i było to prawdą, lecz trwało niedługo. To porcelanowe naczynie zawierało w sobie trunek gminny“. Nie przyniósł on artyście ukojenia; dręczy go nadal robak samokrytycyzmu: „Kim jestem?“ Po długiej analizie, która wypełnia rozdział IV, dochodzi Juliusz do smutnego stwierdzenia, że treść jego życia oddaje w pełni maksyma: „Jestem sławnym, więc mogę używać; mogę używać, bo jestem wielkim“. „Naprzód pycha, potem materia wysysająca słodki smak życia — z materii“. Więc ten „wielki“ — to kto? „Geldhab i kot chlepcący na miękkiej poduszce słodkie mleczko. Pyszałek i zwierzątko“. To zwierzątko wyjrzało z wielkiego artysty raz jeszcze, gdy po trzech latach niewidzenia się ujrzał swoją dawną narzeczoną, od paru już lat zaślubioną bogaczowi, którego nie kochała. Juliusza opanowuje pragnienie zemsty. Zemścić chce się na niej za to, że mu „rozbiła najpiękniejszą z baniek mydlnych i popchnęła do rozbijania innych“; czuje on bowiem, że „gdyby była wówczas pozostała wierną, gdyby jej miłość okazała się taką, za jaką ją miał, nie byłby może utracił młodzieńczej świeżości uczuć i myśli, nie stałby się pastwą wewnętrznej rozterki“. To branie zemsty nad eks-ukochaną stanowi treść rozdziału V powieści. Czarem swych skrzypiec usiłuje zdobyć broniącą dobrej sławy kobietę. Jej opór, jej walka samej ze sobą podnieca go. „Im dłużej trwała gra zacięta, im zawzięciej motyl nocny krążył dookoła ognia, tym więcej milki skrupuły i litość nad ofiarą, aż umilkły całkowicie i wpadłem w ogień...“ Po chwilowym upojeniu następuje męcząca refleksja: „Co to było? Co zdobyłem? O jaką stawkę grałem tak zapamiętałe? Miłość? Szczęście?“ Nic z tego. Nędzna namiastka i — złudzenie. Złudzenie, jak to, gdy się nam zdaje, „że stąpamy po wawrzynach, kiedy w rzeczywistości chlupią nam pod nogami kaluże...“ Na tym zdaniu urywa się (na 141 stronie) rękopis powieści pt. *Wielki*, następuje po nim tylko wzruszający dopisek poetki: „Czy powieść tę skończę? Któż wie? Nie ja! O Boże, Boże, Boże, zlituj się nade mną!..“

Ostatnim chronologicznie utworem *Melancholików* są *Ogniwa*. Napisane zostały w końcu 1894 roku. Zaczęła je autorka około 1 grudnia (11. XII. 1894 zawiadania Leopolda Méyeta, że w ciągu ostatnich dni dziesięciu „oprócz innych zajęć napisałam połowę noweli, tej, co wiesz, o starym panu i Żydziezegarmistrzu“), a ukończyła około 15 tego miesiąca (16. XII. 1894 donosi przyjacielowi: „Ja nowelę o starym panu i starym Żydzie skończyłam. Gdy będzie przepisana, prześlę. Tytuł — *Ogniwa*“). Postać Żyda-zegarmistrza wzięła Orzeszkowa z rzeczywistości, o czym wspomina w liście do Méyeta z dn. 12. III. 1895: „Rada jestem, że podobała Ci się ta powiastka. Zegarmistrz malowany z natury, i dlatego się udał. To tylko się udaje, na co pisarzowi pozuje sama natura“. Z natury też opisała autorka ów tak ważną rolę grający w kompozycji noweli zegar z kukulką. Wzorowała się tu na zegarze, który — jak wspomina sama w innym liście do tego przyjaciela (z dn. 20. II. 1895) — odziedziczyła po ojcu „wśród wielu innych pięknych, kosztownych i staroświeckich rzeczy“. *Ogniwa* wydrukował po raz pierwszy *Kurier Warszawski* w r. 1895 w nrach: 78 (z dn. 19 marca) — 83, 85 i 86 (z dn. 27 marca). W roku następnym wyszły w I tomie *Melancholików*, po czym znalazły się w III tomie Pism Elizy Orzeszkowej wydanych w r. 1899 przez Hipolita Wawelberga, weszły w skład zbioru *Z jednego strumienia* (Warszawa 1905), wreszcie ukazały się w IX tomie Pism wydanych nakładem Gebethnera i Wolffa w r. 1913. Poza tym nowelę tę wzięła do swej serii Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych, gdzie utworzyła ona tomik 10 (w. r. 1930 wyd. VI).

Tu też dodać wypada, że w serii tej znalazły się także dwa inne utwory niniejszego zbioru, a mianowicie: *Światło w ruinach* (tomik 118; I wyd. w r. 1923) i *Bracia* (tomik 117; I wyd. w r. 1923).

Za podstawę przy opracowywaniu krytycznej edycji *Melancholików* posłużyło wydanie tego zbioru z r. 1896. Uwzględniono przy tym pierwodruki wszystkich utworów składających się na ten zbiór oraz zachowane autografy, będące — z trzema wyjątkami, o których dalej mowa — własnością Towarzystwa im. El. Orzeszkowej w Warszawie. Rękopisy te pozwoliły przywrócić siedmiu utworom zbioru ich postać oryginalną przez usunięcie „poprawek“ purystów językowych i skreśleń cenzury zaborczej. Najbardziej charakterystyczne przykłady omówione są poniżej.

Dla stojącej na czele zbioru *Przedmowy*<sup>1</sup> zachowały się dwa autografy: brulion (R), znajdujący się w cennych zbiorach Towarzystwa im. El. Orze-

---

<sup>1</sup> *Przedmowa* ta powstała jeszcze przed napisaniem *Ogniwa*, w drugiej połowie listopada 1894 (przesłała ją autorka Méyetowi z listem z dn. 30. XI. 1894).

szkowej w Warszawie, oraz czystopis ( $R_1$ ), oprawiony w półplótno (str.16), będący własnością Biblioteki Ordynacji Krasieńskich (Archiwum L. Méyeta; Rkp. Nr 6464). Oczywiście, wydanie niniejsze oparło się na czystopisie ( $R_1$ ). Jednak w trzech wypadkach odstępuje od tej zasady i idzie za brulionem ( $R$ ), przywracając według niego nie istniejące w  $R_1$  wyrazy, opuszczone (wskutek nieuwagi) przez przepisującą rzecz na czysto autorkę. Tak tedy w zdaniu: „Ogromny wzrost przemysłu, ułatwione przenoszenie się z miejsca na miejsce ludzi i rzeczy...” itd. (tu t. I str. 7 w. 26) dodano zaimek zwrotny „się”, którego nie ma ani w  $R_1$ , ani w wydaniu książkowym (osobnym —  $O$ ); podobnie zdanie zaczynające się od słów: „Jak najlepsze naśladowanie...” itd. (t. I str. 8 w. 23) otrzymuje według  $R$  zaimek „innych”, którego również brak i w  $R_1$ , i w  $O$ ; wreszcie zostaje uzupełnione zgodnie z  $R$  zdanie: „nasze cierpienia spełniają czynność jakąś *niezbędną* dla warsztatu, dla nas i dla dzieła” (t. I str. 12 w. 28) — wyrazu podkreślonego nie posiada ani  $R_1$ , ani  $O$ .

Dla dwa pierwszych — w porządku chronologicznym — nowel zbioru autografy się nie zachowały. Pozostały dla nich tylko pierwodruki ( $C$  — w czasopiśmie, jak wyżej) oraz pierwsze (i jedyne) osobne wydanie książkowe ( $O$ ). Gdy jednak porównanie  $C$  i  $O$  z *pomroku* (grudzień 1889) nie przyniosło żadnych rewelacji, pozwoliło tylko poprawić kilkanaście drobnych skażeń w tekście  $O$ , to takie skolacjonowanie o rok wcześniejszej *Jednej setnej* (listopad 1888) przekonało, że poprawną, ostateczną wersję tej noweli przynosi wydanie z r. 1896, że przed oddaniem rzeczy tej do zbioru Orzeszkowa w kilku miejscach ją przerobiła. Oto kilka najbardziej charakterystycznych poprawek autorki:

Zamiast jak obecnie (t. I str. 75 w. 5 i nast.) i jak w  $O$  (t. I str. 106): „Coś wcale innego zamajaczyło mi przed oczami... coś i teraz błędnie i z dala dostrzegam. Stos gorejący, a u jego szczytu człowiek wśród bałwanów dymu stoi jak kolumna niezłomnej wiary i jak posąg zachwycenia... Dwa okna kamienicy miejskiej, wysoko, nad ulicą oświetloną gazem i pełną turkotu odjeżdżających od wrót teatru powozów, błyszczą światłem samotnej lampy...” — było pierwotnie w  $C$  (nr 3): „Coś wcale innego zamajaczyło mi przed oczami... coś i teraz błędnie z dala dostrzegam... Człowiek w czarnej sukni, przed wrogim sobie sądem stojący, taki blady i taki spokojny... Dwa okna kamienicy miejskiej, wysoko, nad miastem pełnem turkotu odjeżdżających od wrót teatru powozów, błyszczące światłem samotnej lampy...”

Zamiast jak obecnie (t. I str. 91 w. 19) i jak w  $O$  (t. I str. 128): „Było to w owej porze bardzo sławne i podziwiane w stolicy świata — bawidelko, rzecz zostająca zawsze w posiadaniu najwięcej dającego; z nią redukowało się wszystko do cyfry” — czytamy w  $C$  (nr. 8): „Była to w owej porze bar-

dzo sławna i podziwiana w Paryżu osóbką, a sprawa z nią redukowiała się do cyfry.“

Zamiast jak obecnie (t. I str. 127 w. 21) i jak w *O* (t. I str. 179): „krzywda moja leży jak na dłoni. Kto mi ją wyrządził? Kto jej winien? Może nikt, a może wszyscy i wszystko?“ — mamy w *C* (nr 40): „krzywda moja leży na dłoni. Przez Boga wyrządzoną mi została? Kto jej winien? Może nikt nie winien, tylko wszyscy i wszystko“.

Poza tego rodzaju poprawkami czy uzupełnieniami starego tekstu dodała autorka do niego kilka zdań, których nie ma w pierwodruku; są to jednak rzeczy bardzo drobne, w niezym nie zmieniające treści utworu. Ze szczegółów wspomnieć raczej należy o przekształceniach dokonanych w mowie Kuleszyny (która, zresztą, w pierwodruku nazywa się Kuleszową). I tak częsty w jej ustach zwrot: „króleńku“ w pierwodruku brzmi: „króleczku“, zamiast wyrażenia: „cinkum-pakum“ mamy tam: „ciukum-pukum“, a zamiast: „proszę usieść“ — „proszę usiąść“.

Jakkolwiek tedy w edycji niniejszej powtórzono tekst *Jednej setnej* z wydania z r. 1896, to jednak w dość licznych wypadkach trzeba było posłużyć się pierwodrukiem, by usunąć sporą ilość błędów zecerskich i wyrażnych poprawek korektorskich, gęsto zachwaszczających tekst tej noweli w jej książkowym wydaniu. Parę jaskrawych przykładów najlepiej rzecz naświetli. W zdaniu: „Kto z tych, którzy tutaj twierdzą lub piszą, myli się, a kto ma słusność?“ (*O* t. I str. 105; tu t. I str. 74 w. 15) trzeba było, idąc za *C* (nr 3), poprawić „piszą“ na „przeczą“. Podobnie w zdaniu: „Trzeba dziś do takich padolów i płaczów zajrzeć, aby spotkać się z optymizmem“ (*O* t. I str. 152; tu t. I str. 109 w. 3) wyraz podkreślony nie ma sensu, a powinno być: „padolów i kątów“, jak jest w *C* (nr 19). Wyrażenie: „jak ten słup na polu sama jedna na świecie“ (*C* nr 23) zmieniło się w wydaniu książkowym na: „jak ten słup nagi sama jedna na świecie“ (*O* t. I str. 159; tu t. I str. 113 w. 15). Zupełnie niezrozumiałe zdanie: „małe, kształt półksiężycyca mające i malutkimi szybkami zakryty otwór w grubym murze“ (*O* t. I str. 155; tu t. I str. 110 w. 29) staje się jasne, gdy zajrzemy do pierwodruku (*C* nr 22), gdzie ma następującą postać: „małe, kształt półksiężycyca mające i malutkimi szybkami napełnione wyrżnięcie w grubej murowanej ścianie“. Przykładów takich cytować można jeszcze wiele. Tych jednak niech wystarczy dla wykazania, że niejednokrotnie należało iść za pierwodrukiem wbrew wydaniu książkowemu, jakkolwiek ono właśnie zawiera ostateczną redakcję tekstu tej noweli.

Poza *Jedną setną* i *Z pomroku* wszystkie pozostałe nowele zbioru zostały opracowane z uwzględnieniem ich rękopisów.

Uwzględnienie autografu *Ascetki* (marzec—lipiec 1890), zachowanego podobnie jak czystopis *Przedmowy*, w Archiwum L. Méyeta (Biblioteka

Ord. Krasieńskich Rkp. Nr 5171), pozwoliło przywrócić temu utworowi jego tło historyczne, którego pozbawiła go cenzura rosyjska wykreślając zeń dłuższy ustęp będący zawołowaną i w skrócie podaną historią powstania styczniowego, w którym „ascetka“ straciła ojca i braci. Skreśliła mianowicie cenzura 13<sup>1/2</sup> wierszy obecnego wydania (tu t. II str. 24 w. 6—19) od słów: „niosąca z sobą gromady ludzkich twarzy“ do: „i wszystkich, których kochała“. I w *Ateneum*, i w wydaniu z r. 1896 (t. II str. 28) mamy krótko: „Była to wojna“. Drugiego wspomnienia „ascetki“ o tej wojnie (znajdującego się tu w t. II na str. 44 ww. 27—33) cenzor wyrzucać już nie potrzebował, bo bez pierwszego stawało się niezrozumiałe, zupełnie „niewinne“, umykało uwadze czytelnika, a zapewne umknęło też uwadze cenzora. Teraz zaś, skoro już wiemy, kiedy spotkało „ascetkę“ kapitalne nieszczęście, możemy się domyślać, że w powstaniu styczniowym brał udział i jej ukończony, że za ten udział poszedł na Sybir i że z nim udała się tam — Klara.<sup>1</sup> Świadczą o tym trzy wzmianki: jedna o surowym klimacie, w którym mieszkają rodzice Klarci (t. II str. 37), druga, że paru tygodni trzeba, aby list z wiadomością do nich doszedł (t. II str. 88), i trzecia — o kilka wierszy od poprzedniej niżej — w słowach matki Romualdy sławiącej ich cierpienia. Poza tym posiadanie autografu pozwoliło usunąć szereg „poprawek“ językowo-stylistycznych dokonanych przez korektora (może przez samego Chmielowskiego?). Dłużej nad tym zatrzymywać się nie warto, bo jakichś specjalnie ciekawych przykładów nie ma (zwykle zmienianie: „paru“ na „kilku“, „mię“ na „mnie“, „rozdzielać coś z czymś“ na „rozdzielać coś od czegoś“ itp.), nadmienić jednak wypada, że skażeń tych jest niewiele: znakomitą autorkę z biegiem czasu i wzrostem sławy poprawiano coraz rzadziej, coraz też mniej — z drugiej strony — miano do tego okazji, bo autorka wskutek presji korektorów warszawskich coraz bardziej — może zresztą zupełnie nieświadomie — przystosowywała swój styl do wymogów stale poprawiających ją purystów (w liczbie których, nawiasem mówiąc, znajdowało się trzech jej serdecznych przyjaciół: Jan Karłowicz, Stanisław Krzemiński i Leopold Méyet).

*Światło w ruinach* (październik 1890) posiada, podobnie jak *Przedmowa*, dwa rękopisy: autograf-brulion (*R*), znajdujący się w zbiorach Towarzystwa im. El. Orzeszkowej, i kopię rękopiśmienną (*r*), dokonaną obcą ręką (jak się zdaje, przez sekretarkę Orzeszkowej, Marynię z Siemaszków Obrębską), z poprawkami autorki; z tej to kopii drukował utwór ten Zygmunt Sarnecki w krakowskim *Świecie*, po czym przeszła ona od niego w posiadanie Janiny

<sup>1</sup> Można się tu dopatrzeć analogii z losami brata męża powieściopisarki, Florentego Orzeszki, z którym poszła na wygnanie — po uzyskaniu zgody Murawjewa — jego narzeczoną.

z Wańkowiczów (córki znanego powstańca 63 roku, majora Jana „Leliwy”, żonę z prof. dr Stanisławem Ciechanowskim, któremu należą się wyrazy głębokiego podziękowania za łaskawe przysłanie z Krakowa tego rękopisu. Na nim, zdawałoby się, należało oprzeć krytyczne wydanie, powinno ono bowiem zawierać tekst późniejszy od tekstu *R*, bo tekst ostatecznie już przygotowany przez pisarkę do druku. Tak jednak nie jest. Owszem, wprowadziła autorka do tej kopii wysyłanej do Krakowa szereg drobnych zmian (przeważnie skreśleń), ale ich jednak — i zupełnie słusznie! — nie zaaprobowała, gdy przyszło do ponownego wydrukowania tej noweli, tym razem w osobnym zbiorze w r. 1896 (*O*). Do tego zbioru nie dała pisarka tekstu z krakowskiego *Świata*, ale raz jeszcze utwór ten przepisała (czy każała przepisać) z autografu-brulionu z pominięciem przekształceń wprowadzonych do tekstu krakowskiego. Trzeba więc było tekst z wydania z r. 1896 (*O*) kolacjonować nie z pierwodrukiem, ani ze służącym mu za podstawę rękopisem krakowskim (*r*), lecz z autografem (*R*), bo on właśnie jest najbliższy ostatecznej redakcji utworu, jaką temu ostatniemu nadała autorka przygotowując go do przedruku; zresztą, podkreślić trzeba, że tekst *R* bardzo niewiele różni się od tekstu *O*, chyba tym, że jest od niego bogatszy, bo — znówu to samo, co było z *Ascetką* — zawiera opis powstania styczniowego, skreślony w *O* przez cenzurę warszawską (brak mianowicie w *O* historii syna „dziadunia”; cenzura wyrzuciła 19<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wierszy obecnego wydania, znajdujące się tu w t. I na str. 160, od słów: „W miarę opowiadania wydo- bywało się z tej historii tchnienie szerokie...” itd. do słów: „Ona mi go zabrała, jej z gotowością oddałbym go po raz drugi!...” ). To jedno. A drugie: wyższość *R* nad *O* płynie i stąd jeszcze, że na jego podstawie można usunąć dość znaczną ilość błędów zecerskich i licznych, jak zwykle, świadomych skażeń tekstu, wynikających ze znanej nam dobrze manii puryfikatorskiej.

Jeśli zaś chodzi o różnice między *R* i *r*, to najciekawsze poprawki dokonane przez autorkę w tekście krakowskim są następujące. Przede wszystkim — jak to już wspomniano — szereg skreśleń, i to nie tylko drobnych, kilku lub kilkunastowyrazowych, jak np. w zdaniu (skreślone wyrazy podkreślono): „Czy ten... który teraz w jakimś buduarze lub w jakiejś sali gry wybornie czas przepędza, *nie rozciął naprawdę łączącego ich węzła*, nie uczynił z ich przysięgi i przyrzeczeństw kłamstwa...” itd. (tu t. I str. 139 w. 21 i nast.), ale również — ustępów dłuższych. Skreśliła tedy autorka na str. 141 według niniejszego wydania wiersze 8—13 (od słów: „Jedna gorzka kropla...” itd. do słów: „która do niej w postaci gościa tego przybywa”); na str. 143 zdanie: „Skąpstwo zapewne, często czepiające się starości, zatracenie wszelkiego estetycznego zmysłu, zidiotyżowanie” (ww.6—8); na str. 148 ww. 17—21 (od słów: „kiedy wpatrywała się w pochyłą głowę...” itd. do: „Pod jego wpływem zapewne”); na str. 151 ww. 25—34 (od słów:

„on nie patrząc na nią odpowiedział“ do: „twarzą prawie dotykała jego ramienia“). Dodatków autorki, dopisanych nad tekstem kopistki, jest mniej. I znowu są tu uzupełnienia drobne: jedno, dwuwyrzawowe, obok większych, bardziej istotnych, jak np., gdy po wyrazie: „Umilkła“ (tu t. I str. 144 w. 11) autorka w r skreśliwszy łącznik „i“ dopisała: „on milczał także. Milczał zwykle, gdy do niego nie mówiono; nigdy pierwszy nie zdobywał się ani na jedno słowo“. Trzecia grupa przekształceń to poprawki. Łączą one dwie czynności poprzednie: pisarka skreśliwszy jakiś wyraz, grupę wyrazów lub nawet zdanie dodaje w zamian coś nowego. Poprawek takich jest również niewiele. Niech jeden też przykład wystarczy. Zamiast krótkiego, lecz wymownego zdania zamykającego nowelę: „To w ruinach jej szczęścia błyska światło ciepłe i czyste“ wołala autorka tak w r utwór zakończyć: „Patrzyła na ruiny swoich złudzeń i radości, w których zapaliło się i rozszerzało, wzrastało — czyste, ciepłe światło. Czy po zniknięciu dawnych wstępowała w nie nowa, nieznaną dotąd, dobroczynną, piękną wieszczka?“ Można się tylko cieszyć, że po dłuższym namyśle przywróciła pisarka pierwotne zakończenie.

Autografy *Zrozpaczonego* (grudzień 1890), *Braci* (kwiecień 1894), *Wielkiego* (czerwiec—lipiec 1894) i *Ogniw* (grudzień 1894), będące — jak już wspomniano — własnością Towarzystwa im. El. Orzeszkowej w Warszawie, jakkolwiek są właściwie brulionami, przynoszą tekst zasadniczo identyczny z tekstem wydania z r. 1896, mogły więc posłużyć do oczyszczenia tych nowel z obcych naleciałości. Poprawki te przecie ograniczają się do rzeczy drobnych, mało istotnych, i dłużej nad nimi rozwodzić się nie warto.

Warto natomiast zwrócić uwagę na dość ciekawe zmiany, jakie wprowadziła sama autorka do *Zrozpaczonego*, już po wysłaniu rzeczy tej do druku; przekształceń tych dokonała na drodze listowej, autograf zatem ich nie zawiera. Rzecz przyczynę swą miała w tym, że pisarka pod wpływem uwagi Méyeta przestraszyła się, że bohater noweli jest zbyt podobny do swego istniejącego w rzeczywistości wzoru, i postanowiła zatrzeć to podobieństwo. Niestety, z wypowiedzi Orzeszkowej i Méyeta nie możemy wywnioskować, o kogo tu chodziło. Przeczytamy je w całości.

W liście z Warszawy z dn. 21 grudnia 1890 pisał Méyet: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Świętochowski będzie *Zrozpaczonego* drukował, chociaż go nie mógł do wczoraj przeczytać, gdyż ja mu zabrałem rękopism do przeczytania. Poznałem od razu „model“, który służył do tego obrazka. Z tej jednej strony podchwycony doskonale; lecz ma on tysiące stron komicznych, których mnie wyzyskać nie podobna. Opowiem je natomiast przy pierwszej sposobności jednemu z moich wrogów, który obrał sobie stałe siedlisko — w Grodnie“.

Ten „wróg“ grodzieński odpowiada na to obszernym listem pisany 27. XII. 1890:

„Kilka dni byłam tak chorą, że z łóżka prawie nie wstawałam, dlatego trochę może za późno przesyłam prośbę dotyczącą się rękopisu noweli *Zrozpaczony*. Bez względu na to, czy on jest jeszcze u Ciebie, czy już u p. Świętochowskiego, bardzo serdecznie proszę, abyś uczynił w nim kilka poprawek i dodatków następujących. Szkoda, że stronice cytować nie mogę, ale myślę, że w tak drobnej rzeczy nie trudno Ci będzie odnaleźć miejsca następujące.

„1) Tam, gdzie mowa o przypuszczalnie posiadanym geniuszu, tłumionym przez okoliczności urodzenia i majątku, niedaleko początku, bo stronica mego rękopisu 5-ta, zaraz po słowach: „Urodziłem się z rodziców biednych jak szczury“ dodać nawias: „(jedyne szczęście, że nie z pospólstwa, lecz z podupadłych karmazynów pochodzących)“, po czym zaraz: „przez całą też młodość byłem szczurem, który marząc o holenderskim serze ze złością gryzie stare podeszwy“, i tu dopiero umieścić wykrzyknik: „Niech diabli wezmą najzłośliwszy ze wszystkich traf urodzenia!“

„2) Tam, gdzie mowa o urządzeniu mieszkania, stronica mego rękopisu 13-ta, „Zdaje się, że dla człowieka ucywilizowanego, dla człowieka z ukształconym smakiem“, tu dodać: „dla człowieka, bądź co bądź, dobrze urodzonego dalej wszystko zostawić, jak jest.

„3) Niewiele dalej, stronica mego rękopisu 17-ta, w miejscu: „Czym ja temu winien, że na świecie, jak widzą, tak piszą“, zaraz po tym zdaniu, zamiast: „że klienci płacą temu, kto sprawy ich załatwia“ — „że ludzie płacą temu, kto dla nich pracuje, nie tylko za pracę, ale i za“ itd.

„4) Znacznie dalej, stronica mego rękopisu 36, gdzie mowa o zakochaniu się w bogatej pannie, zamiast: „Bankierska córka — bogata“ — „Córka milionowego dorobkiewicza — bogata“.

„5) Przy końcu, stronica mego rękopisu 60, gdy przyjaciele oznajmniają mu o wygranej, w zdaniu: „Stoi wśród nich przygarbiony nieco, z włosami zburzonymi nad bladym czołem“ ostatnie słowa przerobić: „ze złocistymi włosy zburzonymi nad bladym czołem“.

„6) Na koniec, w przemówieniu brata Oktawii, u samego prawie końca przedostatniego ustępu noweli, zamiast: „Wiesz, mon cher, ojciec mój spodziewa się, że u niego sumę tę ulokujesz, a gdy on obracać nią będzie, tu seras bientôt un nabab!“ — Wiesz, mon cher, ojciec mój spodziewa się, że w sąsiedztwie naszym dobra nabędziesz... hé, hé! n'allons-nous pas nous amuser là comme des rois“.

„Wszystko. Sama czuję, że bardzo wiele, i przepraszam, przepraszam, przepraszam, ale do poprawek tych przywiązuję taką wagę, że proszę, proszę, proszę. O co mi idzie, powiem ustnie, albo innym razem napiszę. Zresztą, pewną jestem, że domyślasz się. Wprost przerażało mnie odkryte przez Ciebie podobieństwo. Nie myślałam o tym wcale i proszę Cię, drogi przyjacielu, abyś nikomu na świecie spostrzeżenia tego nie udzielał. Zrozumiesz pewno,

że są poważne względy, dla których nie wolno by mi tego uczynić, więc aby wszelką możność przypuszczenia odjąć, powyższe poprawki w rękopisie zaprowadzam. To typ bardzo pospolity i często napotkać się dający, najczęściej u potomstwa zrujnowanych karmazynów, i takim właśnie chcę mieć ten“.

Łatwo się przekonać, że Méyet spełnił zlecenie autorki.

## SPIS RZECZY

	Str.
Ascetka . . . . .	5
Wielki . . . . .	93
Bracia . . . . .	135
Nota bibliograficzna . . . . .	217

---



Biblioteka Główna AP w Siedlcach  
nr inw.: KG - 68



68

**XXVIII**

**Wydawnictwa  
do 1945 r.**